

Czasem warto odrzucić pozory i zajrzeć głębiej...

ANNA
Klejzerowicz

OFIARA
SPEŁNIONA

Purple
BOOK

ANNA
Klejzerowicz

**OFIARA
SPEŁNIONA**

Purple
BOOK
WYDAWNICTWO

Copyright © for the Polish Edition by Purple Book Wydawnictwo, Warszawa 2023
Copyright © by Anna Klejzerowicz, 2023

ISBN 978-83-8310-456-0

Purple Book Wydawnictwo
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa
facebook.com/purplebookwydawnictwo
instagram.com/purple_book_wydawnictwo
www.purplebook.com.pl

Dyrektor Zarządzająca: Iga Rembiszewska
Wydawca: Anna Kubalska
Produkcja: Klaudia Lis
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska
Digital i projekty specjalne: Tatiana Drózdź
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 601 457 030),
Beata Trochonowicz (tel. 506 626 661)

Redakcja: Jolanta Kucharska
Korekta: Monika Kociuba/e-DYTOR, Lingventa
Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Slotorsz
Zdjęcia na I stronie okładki: ©Sarawut Opkhonburi/Shutterstock; ©KaIra78/Shutterstock; ©kpboonjit/Shutterstock; ©Mykola Mazuryk/Shutterstock; ©SUN IMAGE/Shutterstock
Zdjęcie na IV stronie okładki: S.Borisov/Shutterstock

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Poemat](#)

[Wcześniej](#)

[Felicja](#)

[Kryszewo, obecnie](#)

[Kryszewo, koniec listopada](#)

[Kryszewo, początek grudnia. Epilog](#)

[Felicja](#)

[Od autorki](#)

[Podziękowania](#)

Miejsce akcji, wydarzenia oraz osoby występujące w tej książce są fikcyjne.

*Powieść dedykuję mojej Rodzinie,
która zawsze była
i jest dla mnie podporą.*

*Na nic nie przyda się tu czar szatana.
Przekleństwo! przekleństwo! przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona i na wieki...
Widzę umarłą...
I ty umarła... ja ci zamknę powieki,
Zimnego piasku w usta nasypię, a w gardło
Przekleństw, które ty z sobą poniesiesz w daleki
Kraj... na tamten świat... o! nieszczęśliwa!*

*Zrób więc intencję przed obrazem Matki
Boga na krzyżu... ukrzyżowanego.
Zrób jej ofiarę z dziewiczego serca.*

*Gdybyś ty
Była kobietą – gorzej niż to wszystko,
Bo bym ci oczy twe napełnił łzami,
Opowiadając ci moje nieszczęście.
Ale ty jesteś nie z tych, które płaczą.
Ciebie zabijać trzeba przekleństwami;
I piekło całe zakląć przeciw tobie,
Ażeby piekło całe było w tobie.*

*Jeżeli śmierci masz wczesnej przecucie,
Chodź, przedśmiertelne weź pocałowanie.*

Juliusz Słowacki, *Lilla Weneda*

Wcześniej

Powietrze zdawało się drżeć od upału. Zamglona, wyblakła płachta przykryła niebo, które teraz przypominało dekorację teatralną. Bezlitosne słońce pochłonęło wszelkie barwy. Wzdłuż opustoszałej o tej porze szosy ciągnęły się nieużytki, wypalone żarem suche łąki, wyschnięte bagna, gdzieniegdzie poprzetykane samotnymi drzewami. Na horyzoncie majaczyły sine, zasnut falującymi oparami upału wzgórza morenowe. Rozgrzany asfalt zatrwał duszne powietrze smrodem topionej smoły.

Był środek wakacji.

Idące poboczem dziecko się nie śpieszyło: wiotkie, zgarbione, w granatowych szortach, z których wystawały chude opalone nogi. Z daleka trudno było wskazać płeć. Gdyby jednak ktoś podszedł bliżej, po przykrywających szyję gęstych, jasnorudych, skręconych w naturalne loki włosach, w których tkwiła błyszcząca różowa spinka w kształcie kwiatka, mógłby się domyślić, że to dziewczynka. W pewnej chwili mała niecierpliwym ruchem zerwała ozdobę i rzuciła ją w trawę, po czym potrząsnęła głową, burząc fryzurę. Mogła mieć jedenaście, może dwanaście lat. Mrużyła oczy, chroniąc je przed wszędobylskim pyłem i ostrym słońcem. Wydawała się zdenerwowana, przygnębiona, zbuntowana, zła na cały świat... A może tylko była zmęczona upałem. Stukała niecierpliwie w ekran różowego smartfona, szukając czegoś, pewnie ulubionej muzyki, od czasu do czasu leniwie kopała nogą kamyki. Tkwiące w uszach słuchawki sprawiły, że nie słyszała warkotu silnika. Kiedy auto nagle zahamowało obok niej, z wrazenia aż upuściła telefon. Ten stoczył się w zarośla i tam pozostał.

Drzwi samochodu się uchyliły.

– Wsiadaj! – polecił ktoś tonem nieznośnym sprzeciwu.

FELICJA

Wraz z początkiem września z radością wróciłam do Kryszewa. Tęskniłam za tym z pozoru sielskim grajdołkiem, który tak naprawdę aż drżał od podskórnego tajemnego życia. Czułam, że jestem w domu. Brakowało mi długich rozmów z Gretą, mojej pracy, pizzy z lokalnego baru, zachodów słońca nad wzgórzami, zapachu szyszek z otaczających miasteczko lasów i tataraku znad jeziora. Najbardziej jednak brakowało mi Artura. Dopiero teraz zrozumiałam, jak bardzo Pałka stał się ważny w moim życiu. W podróży towarzyszył mi cień Sebastiana. Tak przynajmniej miało być. W pewnym momencie jednak przestałam go widzieć. Zastąpiło go jasne słońce południa i cała ta szalona krzątanina związana ze zbieraniem materiałów dla redakcji amerykańskiego magazynu. Tak jakby on sam usunął się... w cień. Nie, żal nie zniknął, ale oswoił się, przestał ranić. Zostaliśmy z Burem sami, lecz tym razem nie była to ta dojmująca, bolesna samotność jak przed rokiem. Przeciwnie, czas na moich kamperowych wozach po krajach basenu Morza Śródziemnego spędzałam aktywnie, w połowie sierpnia odliczając już dni do powrotu.

Odzyskałam spokój i coś, co można by nazwać radością życia. Nauczyłam się cieszyć prostymi sprawami, poezją codzienności: pogodnym porankiem, słońcą morską bryzą, zapachem kawy, smakiem dojrzewających na słońcu pomidorów, pięknem krajobrazu, pogawędkami z ludźmi. Nie ciągnęło mnie do alkoholu, nie musiałam topić w nim swoich lęków. Uciążliwości związane z pandemią minęły, a o wojnie ze wschodnią granicą starałam się myśleć racjonalnie: to przecież niejedyna wojna niszcząca ten świat. Nie mam na to żadnego wpływu, a ludzkość i tak nigdy się nie zmienia, zwłaszcza że na południu Europy byłam od niej znacznie dalej i fizycznie, i psychicznie. Codzienność w kamperze służyła mi, miałam już doświadczenie i nauczyłam się czerpać z niej satysfakcję. Dobrze się w tym czułam.

Ale najbardziej cieszyła mnie droga do domu...

Kiedy Greta ujrzała mnie zaraz po powrocie, stwierdziła, że odmłodziłam. Szczerze mówiąc, tak właśnie się czułam. Zdecydowaliśmy z Pałką, że zamieszkamy razem. Może nie od razu, bo jednak wiązała mnie praca. Na moim poddaszu połączonym z biurem redakcji było mi wygodnie, a z Gdańska miałabym trochę za długi dojazd. Z kolei Artur musiał być gotowy na każde wezwanie w mieście, więc na razie spotykaliśmy się w Kryszewie albo w Gdańsku, tak jak wcześniej, na luzie snując plany na przyszłość. Mnie to wystarczało. On nie oponował, nie chciał mnie do niczego zmuszać. Tygodniowy zaledwie urlop Artura spędziliśmy razem na żaglówce na Mazurach. Przyznam, że w tym regionie byłam po raz pierwszy w życiu. Greta mnie wypchnęła, bo źle się czułam z tym, że miałam sporo wolnych dni, na szczęście Kaśka doskonale dawała sobie radę z gazetą.

Spodobało mi się proste życie z Arturem. Jeziora też, jacht jakby nieco mniej. Za to Bury okazał się urodzonym żeglarzem, ku uciesze Pałki, który był w swoim żywiole. Niestety lato miał kiepskie, w okolicach Trójmiasta bowiem grasował pedofil, seryjny morderca dzieci. Zanim go złapali, zabił trzy dziewczynki, w tym jedną w naszych lasach. Palczyński jest uważany za twardziela, lecz to nie do końca prawda: nigdy nie wyzbył się wrażliwości. Boli go krzywda innych bardziej, niż to pokazuje, szczególnie gdy dotyka ona tych najbardziej bezbronnych, dzieci, zwierząt...

Za to go pokochałam.

Tak, pokochałam.

Bingo! Wreszcie to powiedziałam!

Po naszym powrocie z jezior życie się ustabilizowało. Gładko weszłam w codzienny tryb: gazeta, urząd gminy, zbieranie informacji, portal. Później życie prywatne, które wreszcie miałam, a właściwie zaczynałam mieć i się nim cieszyć. Wieczorami znowu praca w redakcji.

Miła, bezpieczna monotonia. Aż do tego popołudnia, gdy...

Kryszewo, obecnie

– Kochanie, zaraz jadę do Kryszewa, a po południu zabieram cię na pizzę. – Kiedy Palczyński zadzwonił, Felicja kończyła pracę w biurze i wybierała się na miasto, by śledzić życie codzienne mieszkańców gminy. – Nie będę miał dużo czasu. Więc szykuj się i bądź gotowa około siedemnastej, zresztą wcześniej jeszcze przekreślę, bo sam do końca nie wiem, jak długo namzejdzie.

– Ale mówiłeś, że dzisiaj łapiecie złodzieja rowerów w Gdańsku? – Weszła mu w słowo, starając się ukryć zadowolenie.

– Tak miało być, ale...

– Czyżby już siedział w kazamatach? Dorwaliście chłoptasia? – zaśmiała się dziennikarka, puszczając oko do stukającej w klawiaturę Kaśki siedzącej przy drugim biurku.

– Hm... Czyli nic jeszcze do was nie dotarło? Byłem przekonany, że nasz bezcenny Ryba od razu da wam cynk.

– A co się stało? – Felicja spoważniała, wyczuwając, że chodzi o jakąś grubszą sprawę. Nawet Malinowska oderwała się od komputera i wpatrzyła się w szefową.

– Ano to, że w waszym uroczym miasteczku mamy kolejnego nieboszczyka. A ściślej mówiąc, nieboszczkę, która raczej nie zmarła na serce – odparł. – Co wy robicie w tej pipidowce, że bez przerwy coś się u was dzieje?

Stefańska od razu dopadła ciekawość połączona z ekscytacją, czego zwykle doświadcza w podobnych okolicznościach. Czuliła się jak pies myśliwski przed polowaniem. Nie potrafiła się tego wyżyć, choć Greta od lat pastwiła się nad nią, nazywając ją dziennikarskim sępem, i to niekoniecznie w żartach.

– Tylko nie gadaj tego przy Grecie! – powiedziała szybko, by oddalić od siebie niechciane emocje. – Bo wiesz, że ona jest lokalną patriotką. Zabije cię i grono trupów się powiększy. Poza tym Kaśka siedzi obok, a też jest lokalsem...

– Zartuj przecież! – zreflektował się komisarz. – A tak serio, to zrozumiałe zjawisko. Mała wyselekcjonowana społeczność, większość to przybysze z Trójmiasta, najczęściej powiązani z biznesem. No więc u was to wszystko się kotłuje. Przekaż pani Kasi, żeby się nie obrażała. A Greta chyba jeszcze o niczym nie wie. To, tego, no... jeszcze później pogadamy w knajpie, bo teraz muszę się zbierać.

– Czekaj, czekaj! – Prawie wrzasnęła. – Tak mnie nie zostawisz! Mów szybko, co jest grane, kto kogo załatwił, o co chodzi? – Pomyślała, że pewnie ktoś wyrównuje porachunki, skoro Artur wspomniał o biznesach, a może jakaś bójka.

Palczyński jednak pozbawił ją złudzeń.

– No właśnie, nie wiadomo, o co chodzi. To bardzo dziwna sprawa. Listonosz znalazł martwą kobietę w jej własnym domu pod Kryszewem. Drzwi były otwarte, mężczyzna zawołał, a że nikt się nie odzywał, więc zajrzał do środka i odkrył zwłoki. Z roztrzaskaną głową...

– Ale wypadek czy morderstwo? Może spadła ze schodów?

– Nie leżała przy schodach. Poza tym... mówiłem, że to bardzo dziwna sprawa. Ofiarą jest matka dziewczynki zamordowanej w lipcu przez seryjnego. Tego pedofila.

– Nie rozumiem. Przecież on siedzi! Może kobieta załamała się po śmierci dziecka i popełniła samobójstwo?

– Nic na to nie wskazuje – odparł ostrożnie. – Raczej przeciwnie. Ale powoli, na spokojnie wszystko wyjaśnimy.

Kaśka dawała Felicji gwałtowne znaki.

– Czy możemy przyjechać na miejsce zbrodni? – zapytała szybko dziennikarka. Przy jej nodze natychmiast zameldował się Bury, jakby rozumiał wagę sytuacji. Czasami nazywała go psem śledczym, bo czy inaczej mógł się nazywać pies dziennikarki śledczej?

Pałka się zawałał.

– Ewentualnie jedna z was. Lepiej ty – zgodził się ostatecznie. – I tylko na chwilę. Zanim na miejsce dotrze prorok...

– Brz, skarbie, mów po ludzku. Prokurator. Tak wolę. Prorok w tym kontekście brzmi złowieszczo. Dobra, jadę. Kaśka jeszcze ma robotę. Daj namiary! – Omijała wzrokiem nachmurzoną twarz młodszej koleżanki, która już raz dostała po głowie, więc niech się trzyma z daleka od zabójstw.

* * *

Parterowy dom stał na obrzeżach Kryszewa na stosunkowo nowym, rozbudowującym się osiedlu w stylu kanadyjskim. Stefańska od razu wiedziała, dokąd powinna się kierować. Na szutrowej drodze przed jedną z posesji – mniej więcej pośrodku osady – dostrzegła kilka samochodów, w tym radiowóz policyjny. Przed nieruchomością natomiast zebrała się już spora grupa gapiów, zapewne okolicznych mieszkańców. Wśród aut rozpoznała stare volvo Palczyńskiego. Podjechała jeszcze kawałek i zostawiła

swojego vana nieco z boku. Wysiadła, próbując ogarnąć sytuację, zanim jednak zdążyła dołączyć do zebranych przed domem, wyszedł po nią komisarz ubrany już częściowo w strój ochronny. Nawet w takim momencie na widok jego wysokiej szczupłej sylwetki i ascetycznej męskiej twarzy z przymrużonymi jakby w wiecznym uśmiechu jasnymi oczami poczuła przyspieszone bicie serca. Na jego skroniach pojawiły się już pierwsze srebrne pasemka i nieco się garbił, ale dla niej był najbardziej pociągającym facetem na ziemi. Przeciwnieństwo Sebastiana – i dobrze...

– Mamy tylko chwilę, Feli – powiedział ścisłym głosem. – Prorok... prokurator już jedzie, a wiesz, że on nie znosi dziennikarzy. Na razie jesteś jedyna. Fotografuj teraz, byle szybko. A ja ci wszystko powiem. Ofiara to Sabina Kopczyńska, lat trzydzieści siedem. Jej córka, Julia, została zamordowana przez pedofila parę miesięcy temu, w wakacje. Miała dwanaście albo trzynaście lat, dokładnie nie pamiętam. Kopczyńska jest mężatką, ale od pewnego czasu mieszkała tutaj sama, podobno mąż ją opuścił. Zdaje się, że małżeństwo nie wytrzymało próby czasu po śmierci dziecka. Tak twierdzą sąsiedzi i to się faktycznie często zdarza...

– To ten mąż ma przekichane. Nie wejdzimy do środka? – zapytała, pstrykając jednocześnie zdjęcia domu i otoczenia.

– Nie. Nasz medyk w tej chwili bada zwłoki. Uwierz mi, to nie jest przyjemny widok. Technicy zabezpieczają ślady w całym domu i ogrodzie. Nie ma mowy, żeby im teraz przeszkadzać.

Westchnęła.

– Rozumiem, w porządku – odparła smętnie. – Mam nadzieję, że mi pokażesz wasze zdjęcia z miejsca zbrodni. Bo to zbrodnia, tak?

– Wszystko na to wskazuje, choć odpowiedź przyniesie sekcja zwłok – wyjaśnił ostrożnie komisarz.

– To sąsiedzi? – Wskazała brodą milczących gapiów.

– Tak. Chętnie dzielą się informacjami, choć znają się tylko z widzenia, jak to na nowych osiedlach.

– Spokojna głowa. Niby się nie znają, ale i tak wszystko wiedzą – prychnęła. – Ludzie nie potrafiały żyć bez plotek, nieważne gdzie mieszkają. Jak ona wyglądała?

– Ofiara?

– No. Była ładna?

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Ale przecież zawsze powtarzasz, że wszystko może mieć znaczenie. A to była jeszcze młoda kobieta.

– Nie wiem, czy ładna. Nieboszczycy zwykle nie są ładni. Nie oglądałem jej pod tym kątem, ledwie zdążyłem rzucić okiem, czekam na prokuratora. Później znajdziemy jej zdjęcia... gdy żyła.

Felicja pokiwiała głową.

– Czyli nic tu po mnie – powiedziała, w duchu planując kolejną wizytę na osiedlu, by przepytat sąsiadów. – Wracaj do pracy, a ja pojedę do redakcji. Mogę opublikować krótkie info na portalu?

– Masz do tego prawo. I tak niczego jeszcze nie wiadomo, więc informacja musi być zwięzła.

– Rozumiem. Nie wspomnę, kim jest ofiara. O, chyba właśnie nadjeżdża ten wasz prorok! – W ulicę wjechała czarna limuzyna, z przyciemnionymi szybami. – To ja się zmywam. Zobaczymy się później w pizzerii, tak?

Uścisnęła ją nieznacznie.

– Jasne! Zadzwoń.

* * *

– Kasiu, nie musisz się dąsać, i tak nic nie widziałam! – Felicja rzuciła kurtkę na krzesło, witając się z rozradowanym Burym. – Nie udało się wejść do środka, bo siedzieli tam technicy i lekarz, a poza tym właśnie dojeżdżała na miejsce święta krowa, czyli prokurator, który nienawidzi dziennikarzy patrzących mu na ręce, bo może nie są czyste. Nie masz więc czego żałować. Pstryknęłam tylko kilka zdjęć otoczenia i tyle. Zaraz zredagujemy notkę na portal. Masz trochę kawy? Zmarzłam. Zrobiło się chłodno...

– Jest w dzbanku. – Asystentka wskazała brodą na parapet, który nazywały bufetem. – Nalać ci?

– Sama sobie naleję. – Stefańska sięgnęła po kubek. – No przestań się już, cholera, wkurzać!

– Przecież się nie wkurzam! – rozeźmiała się Malinowska. – Nie traktujcie mnie jak dziecko specjalnej troski. Pokaż te zdjęcia. – Zaczęła szybko przesuwac klatki na ekranie smartfona Felicji. – Poznaj osiedle, przejeżdżałam tamtędy parę razy. I co tam się stało? Kto zginął?

Stefańska usiadła za swoim biurkiem, żeby zgrać fotki na komputer.

– Nieznana mi Sabina Kopczyńska, młoda, przed czterdziestką. To znaczy, dla ciebie już stara, ale ty jesteś siusiumajtką...

– Niech ci będzie siusiumajtko, szefowo, ale ja akurat kojarzę tę kobietę! – przerwała jej Kaśka. – Sprawa pedofila. Okropna tragedia z tą dziewczynką... jej córką. – Pokręciła głową. – Ciebie tu wtedy nie było, siedziałaś gdzieś w Grecji albo Chorwacji, kiedy to się stało. Zbok dotarł nawet tutaj. Mała Julia była jego przedostatnią ofiarą. Później, gdzieś w lasach oliwskich, napadł na starszą dziewczynkę, czternastoletnią, którą zgwałcił, ale ta na szczęście uciekła mu. Zaraz potem go złapali. A tę Julię zgarznął podobno z szosy. Rozmawiałam wtedy z obojgiem jej rodziców. Biedni ludzie, to trauma na całe życie. Koszmar... – Pokręciła głową.

– Rzeczywiście, koszmar. Jakie wrażenie zrobili wtedy na tobie? – Felicja przytuliła psa, który wdrapał się na jej kolana.

– Czy ja wiem, żal mi ich było. Oboje byli zrozpaczeni. Niestety, nie wspierali się, może tylko na początku. Zaczęli obwiniać się nawzajem, zwłaszcza ona jego, że ciągle w pracy, ciągle nieobecny. On był spokojniejszy, choć widać było, że też cierpiał. Ale że ją zabije, to mi nie przyszło do głowy...

– Co?! – Felicja poruszyła się tak gwałtownie, że aż Bury zeskokczył z jej kolan i z godnością wrócił na wersalkę. – Skąd ci to przyszło do głowy?! Tak szybko osądziłaś faceta?

Kasia się zmieszała.

– Ja... sorry, Felicja. Nie chciałam nikogo osądzać. Ale to się już rozniosło i ludzie dzwoniли do nas z pytaniami. Mówiłam, że nic jeszcze nie wiadomo, więc dzielili się podejrzeniami. Wszyscy uważają, że to on ją zabił, że to oczywiste. No bo niby kto inny, komu by zależało? Ten zbroczeniec siedzi w areszcie. A z mężem była skłócona, on ją rzucił. Sąsiedzi podobno często słyszeli awantury w ich domu. Rozstali się jakiś czas temu...

– Nie wydawaj wyroków, od tego jest sąd – upomniała ją Felicja. – To zabójstwo nie musiało mieć związku z tamtą sprawą. Może to zbieg okoliczności. Nie znamy tych osób, ich życia. I to jest zadanie dla nas. – Uśmiechnęła się łagodnie do młodszej koleżanki, próbując zatuszować swój wybuch.

Przed rokiem młoda dziennikarka została pobita przez bandziorów, więc teraz Stefańska była przewrażliwiona co do jej nadgorliwości w sprawach kryminalnych.

– Rozumiem. Jasne. Możesz na mnie polegać. – Malinowska wzruszyła ramionami, ale oczy jej zabłyśły na hasło „zadanie”.

Wydoroślała ostatnio, zeszczupiała i – mimo wciąż jeszcze widocznych blizn – wyładniała. Przestała nosić aparat ortodontyczny i zmieniła toporne okulary na bardziej twarzowe. Wciąż jeszcze związywała włosy w ulubiony koński ogon, ale ta fryzura dodawała jej uroku. Już nie sprawiała wrażenia szarej myszki.

– Wiem, dzięki. – Felicja uśmiechnęła się szerzej. – Jutro rano obgadamy to i przygotujemy plan działania. Dzisiaj mam się spotkać z Pałką w pizzerii, może jeszcze coś z niego wyciągnę. A teraz leć do domu, masz wolne. Ja tu i tak siedzę. Aha, Kaśka! – Przypomniała sobie, kiedy Malinowska już wkładała płaszcz. – Greta nie dzwoniła? Czy ona w ogóle wie?

– Ojej, znów dałam ciała! – Kasia westchnęła i się zarumieniała. – Zapomniałam ci przekazać. Nie dzwoniła, ale wie. Ja do niej zadzwoniłam. Od razu chciała tam jechać, to znaczy na miejsce zbrodni, ale odwiodłam ją od tego. Powiedziałam, że wystarczy twoja obecność. Zgodziła się, prosiła tylko, żebyś się z nią skontaktowała po powrocie...

* * *

Ostatni krytyczny rzut oka w lustro. Sylwetka może być, obcisły czarny sweter do dzinsów lekko ją wysmukła. Żadnych ozdób, świecidełek, to nie w jej stylu. Zamiast makijażu opalizujący błyszczek do ust, odrobina pudru na czubek nosa. Rysy twarzy ostre, napięte, oczy nieco podkrążone, trudno. Naturalna śródziemnomorska opalenizna. Ciemne włosy spięte z tyłu. Gumką. Bez farby. Nie wstydziła się swoich pierwszych srebrnych nitek. Artur je lubił.

Zarzuciła kurtkę. Włożyła do kieszeni papierosy, zapalniczkę, portfel, komplet kluczy i telefon. Palczyński chciał po nią przyjechać, ale się nie zgodziła, zamierzała jeszcze zrobić drobne zakupy. Umówili się w pizzerii. Gdy w końcu dotarła na miejsce, on już siedział przy stoliku w rogu. Wstał, by pomóc jej zdjąć kurtkę i odsunąć krzesło. Wciąż ją to deprymowało, trochę bawiło, trochę rozczulało.

– Długo czekasz? – zapytała.

– Niedługo, może kwadrans. Ale na tyle długo, że już złożyłem zamówienie i nasze pizze za chwilę wjadą! – Uśmiechnął się. – Dla ciebie to, co zwykle, czyli z owocami morza. I sałatka. Mam nadzieję, że trafiłem?

– Świetnie! A wino?

– Piwo. Nie mają wina. Pięknie wyglądasz.

– Dzięki. – Już chciała wypalić, że on też, ale zrezygnowała. Kiedyś zrobiłaby to. Ostatnio jednak uświadomiła sobie, że pewnego rodzaju nawyków lepiej nie komentować, pod warunkiem, że nikomu nie szkodzą.

Rzeczywiście, ledwie zdążyła usiąść, a kelner już przyniósł zamówienie. Byli tak głodni, że przez pierwsze minuty skupili się tylko na jedzeniu. Nadkomisarz sprawiał wrażenie nieco przygaszonego.

– Jesteś zmęczony? – Felicja odłożyła sztućce.

– Trochę. Długo nam zeszło. I jeszcze ten cholerny prorok się czepiał. On nie widzi powodu, żeby łączyć tę sprawę z zabójstwem dziecka. Szybko, szybko. Sprawdzić, co z domu zginęło. Ma być wynik, i po sprawie. Najpewniej jakiś włamywacz. E, co tu dużo gadać... – Machnął ręką.

– A ty uważasz, że to morderstwo, które ma związek z tym pedofilem?

Policjant wzruszył ramionami.

– Zamordowana córka, zaraz potem matka. Czy to wygląda na przypadek?

– Wiesz, że nie wierzę w przypadki.

– Ale oni wierzą. Bo to najmniej skomplikowane. Byle odtrąbić sukces.

– A ty na kogoś stawiasz? Mąż? Bo chyba nie zemsta tego pedofila lub jego krewnych czy koleś, przecież nie przy zabójstwie tej małej Kopczyńskiej został złapany.

Palczyński kończył jeść. Dolał Felicji piwa do szklanki, on pił tylko wodę.

– Nie wiem, na nikogo jeszcze nie stawiam, nie na tym etapie! Mam mętlik w głowie, jak zawsze, gdy nakładają się dwie sprawy. Nie ma co spekulować, trzeba dokładnie wszystko zbadać. Huk roboty przed nami. Jeśli chcecie się włączyć, to bardzo proszę, popytajcie miejscowych, posłuchajcie plotek. Na razie nawet nie wiemy, kim są ci ludzie. Oprócz tego, że on pochodzi stąd, a ona sprowadziła się tu po ślubie, pochodzi... pochodziła z Gdyni.

Stefańska napiła się piwa i pokiwała głową.

– Na pewno popytamy. Kaśka uważa, że mordercą jest mąż. Greta też tak sądzi. Rozmawiałam z nią. Jest wściekła, bo znów jej ukochana gmina ucierpiała. Ale podobno wszyscy podejrzewają męża. To furiat zdaje się...

– Wiesz, zazwyczaj w takich sytuacjach współmałżonek jest pierwszym podejrzanym. Mogli się posprzeczać i nerwy puściły, tyle że facet ma mocne alibi. W czasie, kiedy prawdopodobnie ją napadnięto, siedział przy stole w towarzystwie swojej matki i sąsiadki, która przyszła z wizytą. A potem odprowadził sąsiadkę, bo już było ciemno. Gość mieszka z matką, odkąd wyprowadził się z domu. Zatem raczej odpada. To nie on. Chyba że sekcja zweryfikuje czas zgonu.

Dziennikarka westchnęła.

– Dobra. Na początek trzeba to wszystko ogarnąć. Opowiedz mi najpierw o tym pedofilu, bo mnie ta sprawa ominęła – poprosiła, opierając się wygodnie na krześle.

Pedofil, a raczej gwałciiciel i seryjny morderca, dokopał nam tego lata jak mało co. Pojawił się nagle, nie był karany, choć – jak się okazało – incydenty z molestowaniem nieletnich miał już na koncie. Tylko jak zwykle: nikt tego nie zgłaszał, nie dostrzegali, niestety, w takim kraju żyjemy. Do tej pory jednak nie napastował ani nie zabijał. Ale jak raz zaczął, to... Dobrze, że został ujęty, bo mógłby mieć jeszcze wiele ofiar na sumieniu. A rozpoczął swołocz swoje popisy od usiłowania gwałtu i pobicia miejscowej ośmiolatki w lasach pod Kartuzami, gdzie spędzał urlop nad jeziorem. Miał żonę i dwie małeletnie córki, które – nawiasem mówiąc – molestował, choć małżonka udawała, że niczego nie widzi. Tamtemu dziecku też nikt nie uwierzył, nawet rodzina zlekceważyła opowieść małej, dlatego sprawa nawet nie wypłynęła. Tymczasem skurwiel spakował walizki i razem z rodziną wrócił do Tczewa, skąd pochodził. Na wszelki wypadek, żeby nie rzucić się w oczy. Jak oficjalnie twierdził, warunki im nie odpowiadały, za mało mieli luksusów. To było w czerwcu. A na początku lipca już działał w okolicach Trójmiasta. Tym razem napadł na jedenastolatkę z Gdyni, którą uprowadził pod jakimś pretekstem z placu zabaw. Niestety tym razem i zgwałcił, i zabił. Z zimną krwią pobił dziewczynkę, uderzył kamieniem w głowę, ogłuszył, a na koniec udusił. Ciało zakrył liśćmi i gałęziami, nie zostawił śladów. Był przygotowany. Tę zbrodnię zaplanował. Zajmował się akwizycją, miał więc ułatwione zadanie, dużo czasu spędzał w trasie. Mała Kopczyńska była jego kolejną ofiarą. Zabrał ją z szosy na stopa. Wracala sama nad jezioro, bo żadne z dzieci nie szło w tym samym kierunku. Dalej sytuacja rozwinęła się podobnie: wywiózł małą do lasu, gdzie znaleźliśmy ślady, tam ją przypuszczalnie próbował zgwałcić, ale mu się z jakiegoś powodu nie udało, więc ją pobił i udusił. Pojawiła się jednak pewna różnica w porównaniu z poprzednim morderstwem. Tym razem nie zostawił ciała w lesie, tylko przeniósł je – a raczej przewiózł – i ukrył w piwnicy zrujnowanego budynku starej szkoły w Kryszewie. Tej, która od lat stoi pusta i niszczeje. Dlaczego tak zrobił? Trudno powiedzieć. Zapewne chciał opóźnić odkrycie zwłok, a ten budynek wydał mu się idealnym miejscem. Zrujnowany, niepilnowany, z dziurawym ogrodzeniem, teren porośnięty starymi drzewami i chwastami. To własność prywatna, ktoś kupił obiekt parę lat temu,

ale go zapuścił i porzucił, bo nie miał środków na remont, a teraz już nie ma czego remontować. Swoją drogą, trzeba wreszcie coś z tym zrobić. Budynek grozi zawaleniem, a przecież bawią się tam dzieci.

I to właśnie dzieci znalazły po dwóch dniach ciało Julki Kopczyńskiej. Skurwysyn chyba nie czuł się usatysfakcjonowany, bo już kolejnego dnia z rana dopadł nastolatkę uprawiającą jogging w lasach oliwskich. Ta miała szczęście w nieszczęściu. Wprawdzie wciągnął ją do samochodu, pobił i zgwałcił, ale udało jej się uciec. To silna, wysportowana dziewczynka, no i starsza, prawie piętnastoletnia. Julia miała dwanaście i pół, w tym wieku to spora różnica. Piętnastolatka wyrwała się mu. Jacyś spacerowicze zareagowali na jej krzyki, co spłoszyło zbrojceńca. Szybko odjechał z miejsca zdarzenia, ale miał gnój pecha, bo znalazł się świadek, który zapamiętał – przynajmniej częściowo – numery rejestracyjne jego pojazdu. A wtedy już szybko go dopadliśmy. Nie spodziewał się zatrzymania. Przyparty do muru, do wszystkiego się przyznał, a później się wyparł. I do tej pory przez cały czas zmienia zeznania, raz udaje niewiniątko, raz wariata. Bawi się z nami w kotka i myszkę. Ale nic mu to nie pomoże.

Będzie siedział.

Nazywa się Jarosław Żak, ma trzydzieści siedem lat. Z zawodu jest nauczycielem, katechetą, w wakacje dorabiał sobie akwizycją. Obie dziewczynki, które ocalały, twierdzą, że kiedy je krzywdził, to się modlił. Tak, dobrze słyszysz. Modlił się. I nawet śpiewał. Podobno kiedy „wymierza karę” swoim córkom, to też się za nie modli. Ta nastolatka, ma na imię Dorota, usłyszała po gwałcie, jak mamrocze do siebie śpiewnie: „Idźcie, ofiara spełniona”. Właśnie wtedy podrapała mu ryja, wyrwała się i uciekła.

Na szczęście żyje, ale długo będzie wychodziła z traumy. Otarła się o piekło, spotkała na swojej drodze diabła w ludzkiej skórze. Wciąż jest hospitalizowana, leczona po urazie... przez takie gówno, bo to nie jest człowiek! – Nadkomisarz zaperzył się, aż goście przy sąsiednich stolikach zamilkli skonsternowani.

Felicja słuchała uważnie i notowała coś na serwetce, bo tym razem nie zabrała ze sobą swojego ukochanego notesu. Kiedy Pałka skończył opowiadać, jeszcze przez dłuższą chwilę siedziała zamyślona, popijając piwo.

– A może to nie on? – wypaliła nagle.

– Co nie on? – Artur nie krył zaskoczenia, wpatrywał się w nią ze zmarszczonym czołem.

– No, może to wcale nie ten... jak mu tam... nie ten Żak? – Wzruszyła ramionami. – Może to pomyłka? Skoro się nie przyznaje.

Nadkomisarz prawie się roześmiał.

– Ach, to masz na myśli... Nie, nie, wykluczone. To on, bez dwóch zdań. Mówiłem ci, że na początku przyznał się do napaści. Dopiero potem wszystko odwołał, być może pod wpływem adwokata. Teraz kręci. Ale to na sto procent on, są wiarygodni świadkowie, jest numer rejestracyjny samochodu. Świadek co prawda zapamiętał tylko ostatnie cyfry, ale to wystarczyło do zidentyfikowania gnoja. No i miał na sumieniu przypadki molestowania, nawet we własnej rodzinie, potwierdzone przez krewnych, sam się zresztą tego nie wypierał, tylko tłumaczył je sobie po swojemu. Tu nie ma mowy o pomyłce – zakończył.

– W porządku – westchnęła. – Tak mi tylko przyszło do głowy, odwołuję. A później, jakby to ująć... no, powiedzmy, po aresztowaniu go, tutaj, w Kryszewie, nie było żadnych incydentów?

– Poza tym, że ludzie gotowi go byli zlinczować, to nie. Co było w Kryszewie? Odbił się pogrzeb Julki. Byłem tam. Wtedy jeszcze do małżeństwo, jej rodzice, byli razem, oboje w żałobie. Poza tym inne osoby z rodziny, babcia, drudzy dziadkowie, jakieś ciotki. Dzieciaki z klasy, nauczyciele, sąsiedzi. Normalnie. No i tyle. O tym, że Kopczyńscy później się rozeszli, dowiedziałem się dzisiaj. A i to nieformalnie, bo rozvodu nie było, nawet pozwu, więc może to było tylko chwilowe rozstanie, może postanowili od siebie odpocząć. Dowiemy się więcej, kiedy przesłuchamy męża. Aha, jeszcze jedno... ta Kopczyńska, matka Julki, podobno ona... trochę jakby oszalała po jej śmierci, prawie zamieszkała na cmentarzu. Zapytaj Rybę, to ci opowie, jak kilka razy ściągała ją stamtąd po nocach, zresztą na wezwanie małżonka. Bo jego nie słuchała, rzucała mu się do gardła, jak to określił. Nie życzyła też sobie pomocy psychologa, prawie go pobila. A mąż się o nią zamartwiał. Możliwe, że pękł, nie wytrzymał napięcia i wiecznego obwiniania. Zresztą oboje się nawzajem obwiniali. On ją, że była zbyt pobłażliwa, że puściła małą samą nad jezioro, ona jego, że był „nieobecnym” ojcem. No ale to normalne w tak traumatycznej sytuacji jak nagła utrata dziecka... na dodatek w wyniku przestępstwa. – Palczyński sięgnął po szklanke z wodą.

– Gdzie pracowali? – zapytała Felicja.

– Jeszcze niewiele wiemy o ich życiu prywatnym. Jakoś mi to umknęło, były dziś ważniejsze sprawy. Od jutra zaczynamy przesłuchania. Ale ktoś wspomniał, że on ma firmę transportową, a ona chyba kieruje tam magazynem. Z tym, że to nie do końca pewna informacja, trzeba ją zweryfikować.

Po wyjściu z baru Palczyński zapytał z nadzieją:

– Co teraz? Może pojedziemy do mnie?

Felicja się zawahała.

– Nie dziś. Już późno, a muszę jeszcze wyprowadzić Burego na wieczorny spacer, przygotować materiały na jutro – odparła. – Poza tym chciałabym trochę pogrzebać w sieci...

– Skarbie, nie wariuj. Daj nam popracować.

– Ależ pracujcie sobie! Sam mówiłeś, że trzeba się jak najwięcej dowiedzieć o tej rodzinie – nadąsała się półzartem.

– Dobra, w porządku! Od czego chcesz zacząć?

– Najpierw pogrzebię w sieci. Przejrzę media społecznościowe. Przynajmniej wyrobię sobie zdanie i zobaczę, jak wyglądają. Ona wyglądała, bo o nią głównie chodzi. A zanim ty wyślesz mi zdjęcia, to... wiesz.

– Nie wiem. Wysłałbym ci jutro. – Uśmiechnął się rozbrajająco. – To daj znać, czy jeszcze jest potrzeba, bo faktycznie w internecie znajdziesz wszystko. A co potem?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Chyba pogadam z Gretą. Możliwe, że ona coś mi powie. Zna tutaj prawie wszystkich, a lokalne plotki ma w małym palcu. Będzie wiedziała, jak dotrzeć do ludzi.

– Greta na pewno będzie pomocna. Aha, czytałem waszą notkę prasową. Jest dobra, znasz się na swoim fachu, bo przecież nie zdążyliśmy tego ustalić. Ciekawe, co jutro znajdziemy w mediach...

– A więc miastowi dziennikarze też dotarli?

– A jak! Pewnie, że dotarli. Szarańcza. Tacy jesteście.

– To nasz zawód – skwitowała.

– Wiem, wiem. Jesteście potrzebni, a opinia publiczna ma prawo wiedzieć. Znam to. I nie mam pretensji w przeciwieństwie do...

– Proroka! – dokończyła ze śmiechem.

– Tak.

– No to wracam na chatę. – Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Nieważne, kto patrzy! Niech poplotkują.

– Sama, po ciemku? Mowy nie ma! Odprowadzę cię, zresztą zostawiłem auto na parkingu blisko twojego domu... biura. Jeśli się zgodzisz, mógłbym wam towarzyszyć na spacerze. Tobie i Buremu.

– Zgodzę się – odparowała bez namysłu. – Ale już bez żadnej kawki czy herbatki. Następnym razem, komisarzu.

– Niech ci będzie, redaktorko... – Palczyński rozłożył ręce w geście bezradności, jednak z jego twarzy o ostrych jastrzębich rysach nie schodził uśmiech.

* * *

Felicja zaparzyła w dzbanku herbatę i włączyła komputer. Było już późno, Bury po spacerze chrapał błogo na półpiętrze. Szybko przejrzała materiały przygotowane – głównie przez Kaśkę – na portal i wysłała je do korektorki. Odetchnęła głęboko, po czym wpisała w wyszukiwarkę odpowiednie słowa kluczowe. O wypadku lub zabójstwie Sabiny Kopczyńskiej, poza ich notką, nie było jeszcze wzmianki. Nawet konkurencyjna lokalna gazetka milczała. Znalazła natomiast sporo artykułów o pedofilu, w których obok innych ofiar wspomniano Julkę, a także miejscowy – od razu rozpoznała „pióro” Malinowskiej – poświęcony głównie małej Kopczyńskiej. Przy tekstach, owszem, znajdowały się zdjęcia, lecz zamazane, trudno z nich było odczytać wygląd dzieci, a wiedziała, że w przypadku seryjnych zabójców bardzo często jest on istotny.

Zalogowała się na Facebooka i Instagrama, odszukała profile Sabiny. Na szczęście nikt nie zdążył ich zablokować. Przerzuciła oś czasu, weszła w folder ze zdjęciami. Kobieta zamieszczała ich wiele, prawie bez tekstu, zwykle z kokieterijnymi komentarzami w stylu: „Pozdrawiamy znad morza”, „Sjesta w ogrodzie” albo: „Cześć, to ja w drodze do pracy, prawda, że okropnie się dziś prezentuję?”, po czym następował wysyp fot, od których niejedna kobieta i niejeden facet mogliby dostać zawału, choć pewnie z różnych powodów. Cóż, była ładna, zapewne lubiła się pokazywać, kreować swój wizerunek. Bardzo kobieca naturalna blondynka, choć widać było, że często farbowała włosy na różne odcienie, z upodobaniem zmieniając image. Przed czterdziestką, jednak na oko wyglądała młodziej, wyraziste rysy, oślniewający biały uśmiech, ciemne oczy, duży biust. Dobrze prezentowała się w obcisłych bluzkach z dużym dekoltem. Na niektórych zdjęciach pokazywała się z mężem i córką. On – Sławek, jak wynikało z podpisów – również dosyć przystojny, muskularny, kędzierzawy rudy blondyn. Dziewczynka podobna do ojca: jasnooka, długonoga, jeszcze młodzieńczo wiotka, z burzą kręconych rudawych

loków opadających na ramiona. Przypominała słynne anioły Leonarda, czasem do złudzenia. Na swój sposób śliczna... była. Ostatnie wpisy datowano na czerwiec tego roku. Od lipca posty Sabiny ustały.

Stefańska bez trudu znalazła wśród jej znajomych profil Sławomira Kopczyńskiego. Kliknęła, ale szybko stamtąd wyszła rozczarowana. Facet rzadko coś publikował, jeśli już, to politykę i muzykę, różne linki. Nic osobistego, a od kilku miesięcy on również zamilkł. Ostatni zapis to zdjęcie profilowe z żalobną nakładką w postaci czarnej wstążki oraz płonący znicz jako zdjęcie w tle.

Z kolei na Instagramie działała już tylko Sabina. Zamieszczała te same fotki co na Facebooku. Ze wszystkich emanowała pozytywna energia, a przynajmniej pozytywne przesłanie: sielankowy obraz szczęśliwej rodziny, niezłe sytuowanej, rozwojowej. Przystojna para, jeszcze stosunkowo młoda, z uroczą córeczką, wprawdzie bez zwierząt, za to z modnym ogródkiem w postaci starannie utrzymanego trawniczka w stylu amerykańskim, w pożądanej lokalizacji, przy nowoczesnym bungalowu.

Felicja uchyliła luft i zapaliła papierosa. Zamyśliła się. To tyle na początek, ale... i to dobre, uznala wrzescie. Jakieś pojęcie już sobie wyrobiła. Zerknęła na zegar: było jeszcze przed północą, więc Greta na pewno nie śpi. W skrzynce odbiorczej znalazła kilka powiadomień o próbach połączeń z jej numeru. Niestety, w restauracji wyłączyła telefon, a potem zapomniała go uruchomić. Zdecydowała się oddzwonić teraz.

– To ja. Nie śpisz jeszcze?

– No wiesz co! – obruszyła się Greta. – Po pierwsze, nie chodzę spać z kurami, a po drugie, od kilku godzin czekam na telefon od ciebie! Dlaczego nie odbierałaś, do jasnej cholery?!

Stefańska się skrzywiła.

– Nie wrzecz – upomniła przyjaciółkę. – Przecież się doczekałaś. Nie odbierałam, bo miałam wyciszony telefon. Byłam w knajpie z Pałką, próbowałam wycisnąć z niego trochę informacji na temat tej ostatniej sprawy...

– Sprawy Kopczyńskiej, rozumiem? To było samobójstwo, zabójstwo czy wypadek? – Greta natychmiast przeszła do rzeczy.

– Z tego, co mi mówił, samobójstwo jest wykluczone, wypadek raczej też.

– Czyli kolejne morderstwo?

– Na to wygląda, sorry, Gretka. Ktoś jej roztrzaskał głowę zdaje się, że pogrzebaczem. Gliny zabezpieczyły na miejscu zbrodni zakrwawiony pogrzebacz, teraz będą go oczywiście badać, ale moim zdaniem to już tylko formalność. Została zaatakowana od tyłu, niczego się nie spodziewała. Sama na ten pogrzebacz nie upadła ani nie dzieliła się nim w potylicę. – Felicja zapaliła drugiego papierosa. Ostatniego, zdecydowała. Tymczasem Greta wściekała się dalej, dziennikarka oczami duszy widziała, jak rwie sobie włosy z głowy.

– Niech to szlag... Znowu! Chyba oszaleję. Znowu będzie o naszej gminie głośno, a nie o taki rozgłos nam chodzi. Ale nic więcej nie wiadomo? To było jakieś włamanie, napad?

– Nic z tych rzeczy. To musiał być ktoś, komu bez obaw otworzyła drzwi.

– Albo ktoś wcześniej już siedział u niej ukryty i czekał, aż wróci do domu... – spekulowała polityczka.

– To byłoby ślady włamania – uściśliła Felicja. – Chyba że miał klucz.

– Wiadomo, na kogo to wskazuje – stwierdziła pani wójt. – I niestety, to prawdopodobne. Mam nadzieję, że twój Pałka szybko zamknie tę sprawę. A wy z Kaśką trzymajcie rękę na pulsie.

– Znałaś tych ludzi?

– Trochę. – Greta lekko się zawahała. – O tyle, że wyrabiali sobie u nas w urzędzie potrzebne papiery, pozwolenia na budowę i tak dalej. Kilka lat temu, kiedy kupili tam działkę i stawiali chałupę. Trochę kłótlivi, ale w sumie zdarzali się gorsi od nich. Byłam wtedy radną, to osiedle należało do mojego okręgu. Potem spotykaliśmy się od czasu do czasu w urzędzie albo na ulicy. Ale to, co przydarzyło się ich córeczce, to tragedia! Znasz tę sprawę? Wtedy ostatni raz rozmawiałam z jej matką. W wakacje.

– Mogłabyś mi o tym opowiedzieć? O tej rozmowie i w ogóle o wszystkim, co o nich wiesz. O dziewczynce też.

– Tak, ale nie teraz, to nie jest na telefon. Wpadnij do mnie jutro po południu, tylko ty sama, pogadamy spokojnie przy kawie albo winie.

– Okej, będę – zgodziła się dziennikarka. – W takim razie wcześniej spróbuję podpytać sąsiadów.

– Tylko uważajcie na siebie, Felicja! Ty i Kasia. Żeby nie było jak w zeszłym roku przez tę wariatkę z Budomaksu – ostrzegła Greta, zanim się rozłączyły.

Promienie słoneczne przeciskały się przez żaluzje, budząc Felicję skuteczniej niż budzik w telefonie. Nawet na półpiętrze zrobiło się zbyt jasno na spokojny sen. Jedyne Buremu żadne światło nie przeszka-
dzało. Jego postawi na nogi brząk miski, w której dostaje jedzenie. Felicja, wciąż ziewając, zeszła na
dół i włączyła ekspres. Podczas swoich wypadów w okolice Morza Śródziemnego nauczyła się pić
czarną kawę na powitanie dnia. Potem zaś, jak Turcy, pijała głównie mocną herbatę, zapewniającą jej
kondycję na dłużej.

Podniosła żaluzje i rolety, oficjalnie zapraszając słońce. Wyrzała przez okno: piękna letnia pogoda,
choć powietrze rześkie, a barwy już bardziej jesienne. Błękitne niebo, ożywcza czerwień winobluszczu,
coraz bardziej pożółkłe liście drżące na drzewach, jakby bały się, że spadną, prawie złote w promie-
niach słońca, trawa już nieco rdzawa – wszystko to podziałało niczym zastrzyk energii. Felicja weszła
pod prysznic, a gdy wróciła do aneksu kuchennego, kawa już na nią czekała. Wokół unosił się hipno-
tyczny zapach, bogatszy niż jej smak, jak twierdziła.

Postukała w psią miskę i napełniła ją chrupkami, a gdy Bury raczył leniwie zejść, przywitani się jak
zwykle. To ich codzienny ceremoniał, należało witać się długo i entuzjastycznie. Śniadanie zjadła
najlepiej zorientowanych: matki lub babcie z dziećmi, emerytów, osoby pracujące w systemie zmiano-
wym. Tak nawet będzie lepiej, mniej sensacji, bardziej kameralnie, wtedy ludzie chętniej się zwierzają.
Następnie do Grety, która przywita ją zastawionym stołem, a potem zrobią naradę...

Popijając kawę, planowała dzień. Najpierw wybierze się na osiedle Kopczyńskiej, które nosiło cza-
rodzielską nazwę Złoty Róg. O tej porze pewnie nie wszystkich sąsiadów zastanie, ale na pewno tych
najlepiej zorientowanych: matki lub babcie z dziećmi, emerytów, osoby pracujące w systemie zmiano-
wym. Tak nawet będzie lepiej, mniej sensacji, bardziej kameralnie, wtedy ludzie chętniej się zwierzają.
Następnie do Grety, która przywita ją zastawionym stołem, a potem zrobią naradę...

Wstawiała właśnie kubek do zlewu, gdy – gdzieś z oddali – doleciała melodyjka z telefonu. Rzuciła
się po niego na półpiętro i w ostatniej chwili zdążyła odebrać. Na ekranie pojawiła się poczuwa gęba
Ryby.

– No, hej, Rybko! Co tak wcześniej dzwonisz?

– Bo wiem, że nie śpisz. – Młody policjant zarechotał. – Pałka mi mówił, że wybierasz się z rana na
osiedle pogadać z sąsiadami świętej pamięci Kopczyńskiej. Mam cię obstawiać.

– Co?!

– Oj, żartuję przecież! – parsknął. – Mam skorzystać z okazji i też ich przesłuchać, ułatwiając ci
pracę. Czyli robimy w tym razem! Zawsze lubiłem robić z tobą różne rzeczy, Felka...

– Spadaj, głupku, bo rzucę słuchawką. I nie Felka! Mam nadzieję, że Artur tego nie słyszy?

– Nie bój się, życie mi jeszcze miłe. Ale on przecież wie, że byliśmy razem, zanim nawet Seba-
stian...

– Stop!

– Przepraszam. – Ryba się speszył. – Wymknęło mi się. Wiesz, że tylko tak głupio żartuję. Justynka
by mnie zabiła! Kurczę, mała ze mnie... No to jak robimy? Mogę po ciebie podjechać, bo właśnie
wychodzę z komisariatu. Przynajmniej nie będziesz musiała szokować ludzi na ulicach tym swoim kara-
wanem...

– Podjeżdżaj, gówniarzu. To mi nawet pasuje. Zaraz schodzę, będę czekać na dole. – Rozłączyła się.

Gdy zeszła, policjant właśnie podjechał. Stał przy krawężniku i zatrząbił, a gdy zobaczył Felicję na
ścieżce prowadzącej do furtki, wysiadł z samochodu. Był bez munduru, tego dnia włożył sweter.
Zauważyła, że zmężniał, wyglądał jak gliniarz z amerykańskich seriali. To już nie ten nieopierzony
chłopaczek, jakiego poznała przed kilkoma laty. Wysoki, przystojny, muskularny, opalony brunet ze śla-
dami wczorajszego zarostu. Tylko oczy pozostały te same w ogorzałej twarzy: intensywnie niebieskie –
jak kawałek nieba – i roześmiane.

„Justynka ma szczęście”, pomyślała nie bez dumy, bo w końcu świadomie i z premedytacją przyczy-
niła się do tego małżeństwa.

Na powitanie pocałował ją w policzek.

– Cześć, staruszk! Nieźle wyglądasz! – Błysnął białymi zębami. Obserwując ją na ścieżce, zapewne
też ją oceniał.

– Serio? – Roześmiała się, wsiadając do nieoznakowanego radiowozu. – Widocznie tak działa śród-
ziemnomorskie słońce.

– Albo adrenalina związana ze śledztwem, co? – Mrugnął, cofając samochód, by wyjechać na
główną drogę.

– Też możliwe. A ty co tak nieoficjalnie, gdzie mundurek?

Wzruszył ramionami nad kierownicą.

– Teraz działam jako kryminalny. Nie afiszujemy się. Po co od razu płoszyć ludzi... – Włączył się
do ruchu.

Od osiedla, na którym mieszkała i pracowała Felicja, czyli od siedziby redakcji, do osiedla Kopczyńskiej nie było daleko, z dziesięć minut jazdy.

– Robimy tak. – Ryba zwołnił. – Pukamy do drzwi czy tam dzwoniemy, nieważne, jak się da. Ja wyciągam blachę i proszę o chwilę rozmowy. Ty występujesz jako osoba towarzysząca z ramienia urzędu, gdyby ktoś dopytywał. I tak niektórzy cię zapewne rozpoznają. Oczywiście przepytanie prowadzę ja. Pasuje?

– To znaczy, że nie będę mogła zadawać pytań? – obruszyła się dziennikarka. – Nie, nie pasuje!

– Ależ będziesz mogła! Spoko. Tyle że ja zaczynam rozmowę i każdy wątek z osobna. Postaraj się podążać za moim tokiem i pytaj w ramach tematu. Jeśli o czymś zapomnę lub coś przeoczę, to wal śmiało.

Felicja pokiwała głową.

– Okej, bo już chciałam wysiadać. Jesteśmy na miejscu, skręcaj!

– Chcę podjechać z drugiej strony – odparł. – Od łąk. Tam też jest dojazd na osiedle. Będziemy się mniej rzucać w oczy...

I rzeczywiście, nieco dalej skręcił na gruntową drogę biegnącą wzdłuż pól, a raczej byłych pól, obecnie przeznaczonych pod budowę kolejnych domów. Dotarli do łąki ograniczonej sosnowym laskiem. Tu znajdował się drugi wjazd na osiedle i tam zaparkowali, by dalej pójść piechotą. Dopiero teraz Felicja przyjrzała się osadzie: obszerne parterowe domy, niemal identyczne, choć różnie wykończone, upchnięto na niewielkim terenie. Przed każdym wygoszparowano miejsce na miniaturowy trawnik, prawie jak w Ameryce, tyle że tutaj posesje były ogrodzone płotami – od rustykalnych, drewnianych, przez kute w metalu, po tradycyjne, z siatki. Przystanęli u wylotu uliczki, badając wzrokiem sytuację. Nikt na nich nie zwracał uwagi. Panowała cisza, nie licząc warkotu piły elektrycznej. Pewnie przed zimą ktoś tnie drewno na opał.

– Od kogo zaczynamy? Lecimy po kolei? – zapytała.

– Nie, to chyba bez sensu. Wybiórczo. I tak ludzie Pałki będą tu jeszcze kołędować od drzwi do drzwi.

– Dom Kopczyńskiej znajduje się blisko tamtego wjazdu. To może jednak...

– Bez znaczenia, to mała zbiorowość, wszyscy się znają, choćby z widzenia. Zaczynamy tutaj, ale najpierw sprawdzimy, gdzie toczy się jakieś życie. Rozumiesz. – Poklepał ją po ramieniu. – Może ktoś kosi trawnik, może grilluje albo coś jeszcze. Wtedy możemy do takiego delikwenta po prostu zagadać.

– Kosiarki nie słyszę, więc może na pierwszy ogień ten, który rąbie drewno?

– To gdzie tutaj. – Ryba wskazał kierunek. – O, stamtąd dochodzi, spod tego żółtego domu. Jest jakiś facet, tam, w głębi.

– No to chodźmy, szkoda czasu! – Felicja ruszyła z miejsca, pociągając młodego aspiranta.

Gdy ten gestykulował, by zwrócić na siebie uwagę pracującego na posesji mężczyzny, Felicja zauważyła poruszającą się firankę w domku naprzeciwko. To będzie kolejny ich cel.

Starszy mężczyzna wreszcie zauważył wysiłki Ryby i odłożył piłę, by podejść do furtki.

– Tak? – rzucił.

Miał dobre ponad siedemdziesiąt lat, dobiegał raczej osiemdziesiątki. Ale był sprawny i wyglądał na pojętnego. Miał na sobie kraciatą koszulę i kamizelkę. Nosił okulary.

„Inteligent na emeryturze”, oceniała Stefańska.

Zgodnie z umową Ryba wylegitymował się i chciał przedstawić Felicję, jednak facet od razu zaprosił ich na swoją posesję.

– Tam, pod domem, jest ławka. – Wskazał. – Słonko przyświeca, jest ciepło, można posiedzieć na zewnątrz. Co podać?

– Nic, dziękujemy. Mamy tylko kilka pytań.

– A no to chodźcie, chodźcie państwo! A o co? Jak policja, to pewnie o tę sąsiadkę, co się zabiła? – Starszy pan poprowadził ich do zielonej ławeczki z boku domu.

Usiedli.

– Zabiła się? Dlaczego tak pan uważa? – zapytał Ryba.

– A nie tak było? Zona mówiła, że ta kobieta niedawno pochowała dziecko zamordowane przez jakiegoś zbrojnego, co tu latem grasował. A mąż ją porzucił. Tacy są teraz młodzi. Dobrze jest, jak jest lekko, a przy pierwszym problemie nie wytrzymują. Miękczy tacy. Nie do życia ich, panie, wychowują, tylko do zabawy. Nie każdego, oczywiście. – Zerknął na Rybę i się zmieszał. Chyba się zorientował, że siedzący na ławce mężczyzna jest jeszcze młodszy. – No to sądziłem, że ona skończyła ze sobą, biedaczka... – Wzruszył ramionami, wciąż patrząc na policjanta z zaciekawieniem.

– Możliwe. Jeszcze dokładniej nie wiemy, jak zginęła. – Aspirant pokiwała głową ze zrozumieniem. – A żona w domu?

– Nie, na zakupy pojechała. Zawsze przed obiadem jeździ. Ale ona też więcej nie wie, tyle, co i mnie powtórzyła.

– Znalście państwo to małżeństwo? Kopczyńskich? – wtrąciła Felicja.

– Tak się nazywali? – podchwycił starszy pan. – Tego nie wiedziałem. Myśmy z nimi nigdy nie rozmawiali, ja ich nawet z widzenia nie za bardzo kojarzę. Żona może lepiej, bo na nasze zebrania osiedlowe to ona chodzi. Ale my dla nich żadne towarzystwo, za starzy. Zresztą... po to się tu na emeryturze pobudowaliśmy, żeby na resztę życia mieć spokój. Jak się chcecie dowiedzieć więcej, to młodszym popytajcie, tutaj głównie młodzi mieszkają z dziećmi. A ja to chętnie bym do mojego drewna wrócił, żeby chrustu nie musieć zbierać, jak to nam jakiś minister radził! – Mrugnął porozumiewawczo do Felicji, która uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Podziękowali i wyszli.

– Cholera, ma rację, może jednak powinniśmy przyjechać po południu! – zastanawiał się Ryba.

– Czemu? Matki z dziećmiakami namierzmy. O, a tutaj – przypomniała sobie poruszającą się w oknie firankę... –

Nie zdążyła dokończyć, gdy drzwi segmentu naprzeciwko uchyliły się i wyjrzała zza nich tęga kobieta około trzydziestki. Pomachała do nich, więc od razu podeszli.

– Dzień dobry! – powitała ich przy furcie. – Domyślałam się, że do mnie też przyjdziecie, i chciałam uprzedzić dzwonek, żeby dzieciaka nie obudził. Wreszcie mi zasnął, mój mały. Bo ja pana oficera poznałam – oznajmiła z dumą. – Pan pewnie tego nie pamięta, ale kiedyś nas pan legitymował, a ja sobie pomyślałam, co za przystojny policjant...

Felicja szturchnęła Rybę w bok, żeby przestał się kretyńsko uśmiechać.

– Przykro mi, nie pamiętam – bąknął, oblewając się pąsem. Zawsze ją bawił „panieński” rumieniec na jego policzkach.

– Nic nie szkodzi. – Machnęła ręką. – Tak sobie myślę, że państwo chodzą tu w związku ze śmiercią Kopczyńskiej?

– To prawda. Znały się panie?

– Trochę tak. Wejście, zapraszam. Tylko nie do środka, bo mały. Sami wiecie. Możemy porozmawiać na werandzie?

– Oczywiście. Dziękujemy.

– A pani to chyba nasza miejscowa redaktorka? – Uśmiechnęła się gospodyni do Felicji, gdy już usiedli przy stoliku na wąskim zadaszonym ganku.

– Zgadza się, pani Stefańska jest tutaj ze mną z ramienia urzędu gminy – wtrącił Ryba.

– Gwiazdy mnie odwiedziły! Jak to powiem mężowi, to pęknie z zazdrości. Powiem wam, że tak, znałam Sabinę, nawet byliśmy po imieniu, choć ona ode mnie starsza i dziecko starsze... miała. – Mina jej zrzedła. – Ale często spotykałyśmy się w sklepie i czasem zapraszałyśmy na kawę do ogrodu, bo ja na wychowawczym, a ona miała nienormowany czas pracy. Trochę się razem przegadało. Ale nie powiem, żebyśmy dobrze się znały. Nie przyjaźniłyśmy się, jeśli o to chodzi, choć ona czasem mi się zwierzała ze swoich takich, no, codziennych spraw. Że mąż coś źle kupił albo nie skosił trawnika, sami wiecie, takie tam zwyczajne rzeczy. Ale potem, od śmierci tej córki... wiecie, o co chodzi. Biedna mała. Swoją drogą, co za straszna tragedia, makabra, teraz już zawsze będę się bała o synka, tyłu tych świrów dookoła... sami wiecie. No więc, odkąd to się stało, Sabina się wycofała. Przestała w ogóle rozmawiać z ludźmi. Ja się jej nie dziwię, na jej miejscu też bym nie chciała...

– Wcześniej z mężem dobrze żyła? – Aspirant przerwał monolog gospodyni. – Dlaczego rozstali się po śmierci córki?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Wydawali się dobrym małżeństwem – odparła z wahaniem. – Dobrze im się powodziło. Normalna para. No sami wiecie. Klócili się czasem o duperele, wiecie, jak każdy. Ale nigdy bym nie pomyślała, że ją zostawi w nieszczęściu.

– Rozumiem, że ona bardzo przeżyła tę tragedię – podchwyciła Felicja. – A jej mąż?

– Oboje to przeżywali. Przecież to było ich jedyne dziecko! Tylko inaczej. Sabina tego nie ukrywała. A Sławek... czyli Kopczyński... no wiecie. Jakby zgaś. Zaczął pić i się awanturować.

– Pani Kopczyńska o tym pani mówiła?

– Nie musiała. Słysząc ich było, jak się wyszło na drogę. Te domki mają cienkie ściany. Wiecie sami.

Zamilkli na chwilę.

– Ale ja głupia! Może chcecie czegoś? Kawy, herbaty? Ale mam tylko ziołową...

– Nie, nie, dziękujemy. – Felicja wzdygnęła się na myśl o ziołowej herbacie. – Nie mamy tyle czasu, może uda nam się porozmawiać z kimś jeszcze.

– To ja wam radzę pogadać z ich najbliższą sąsiadką. Domek obok, na skraju, zielony. Ona nie pracuje, to powinna być w domu. Też ma małe dzieci. Były z Sabiną przyjaciółkami. Kiedyś. Z tego, co wiem, ostatnimi czasy o coś się posprzeczały i prawie zerwały kontakt, ale nie da się do końca, jak się mieszka obok siebie. Teraz ta biedna Kalińska ma wyrzuty sumienia. Jej starsza córka kolegowala się z Julką Kopczyńskich...

– O, super, dzięki za radę. Przyda się nam. Proszę jeszcze powiedzieć – kontynuowała Stefańska – czy Sabina Kopczyńska była do tego stopnia załamana, by się zabić?

Oczy kobiety rozbłysły.

– A to ona się zabiła?!

– Tego jeszcze nie wiemy – podchwycił Ryba, zerkając na dziennikarkę ostrzegawczo.

– Aha. – Kobieta pokiwała głową. – Rozumiem. Czy była na tyle załamana? No sami wiecie. Stracić dziecko to coś potwornego. Ale ja bym jej o to nie podejrzewała.

– Dlaczego?

– No wiecie – zastanowiła się rozmówczyni. – To nie ten typ. Ona silna była. Ostra babka. Nie poddawała się łatwo.

– A pani uważa, że co się stało?

– Skoro pytacie, to odpowiem. Tylko niech to nigdzie nie wyjdzie, dobrze? Bo strach. Nigdy nie wiadomo, kto do czego jest zdolny. My z mężem uważamy, że to on ją zabił. Choć od niej odszedł, to dalej przychodził się awanturować. Ona mu zresztą nie była dłużna. I pewnie przy którejś z tych awantur... no, wiecie – zamilkła.

– Inni sąsiedzi zgadzają się z państwem?

– Raczej tak. – Znowu wzruszyła ramionami. – Jego tu nikt za bardzo nie lubi. Uważali, że to prosty chłop, co dzięki Sabinie się wywindował. Bo sami wiecie, on jest lokalem, to znaczy miejscowy. A Sabina była elegancka, ładna, miła.

– No tak. Sami wiemy. Ja też jestem miejscowy – odezwał się z przekąsem Ryba.

Kobieta przycisnęła dłonie do ust.

– Ojej! Panie władzo, przepraszam, ja nie chciałam! Tak głupio wyszło. Nie to miałam na myśli, poza tym, sami wiecie, tylko cytowałam...

– Oczywiście, że rozumiemy – przyznała Felicja, by zapobiec dalszej wymianie zdań na ten temat. –

Proszę się tym nie przejmować, nie przysłiśmy łapać pani za słówka. Bardzo nam pani pomogła. Pożegnamy się już i pójdziemy do tej pani...

– Kalińskiej. Iwony – odpowiedziała gospodyni.

– Właśnie. Do widzenia! Jeszcze raz dziękujemy. Proszę nas nie odprowadzać, trafimy i zamknijemy furtkę.

– Co za głupia cipa! – syknął Ryba, gdy oddalili się od posesji. – No sama wiesz...

– Przystań się ciskać, wyluzuj, laska się po prostu zagalopowała – drwiła Stefańska, gdy zmierzali na początek osady. – Najważniejsze, że jej się spodobałeś!

– Daj spokój. Wkurwia mnie to i tyle.

– Doskonale to rozumiem, mnie też wkurwia.

– Ale ty nie jesteś lokalem.

– Nie, ale zawsze i wszędzie byłam czarną owcą. – Wzruszyła ramionami. – Więc już mnie to nie rusza.

Ryba objął ją i wreszcie się uśmiechnął.

– No to chodź, czarna owco, bo chyba zbliżamy się do domu tej... jak jej...

– Kalińskiej. Iwony.

Po drodze spotkali starszą panią z pieskiem na smyczy, ale powiedziała im, że nic na temat Kopczyńskich nie wie, mieszka tu od niedawna, przyjechała do wnuków. A może po prostu nie chciała rozmawiać. Nie mogli jej do niczego zmusić, nie prowadzili oficjalnego przesłuchania.

Poszli dalej, aż do głównego wjazdu na osiedle, gdzie bez trudu znaleźli posesję Kalińskich. Nie wielki zielony domek z obowiązkowym zadbanym trawniczkiem od frontu. Na parapetach oraz wzdłuż granic działki odznaczały się płomienną barwą posadzone w równym szeregu jesienne turki, jakby strzegły nieogrodzonego terenu.

Wybrukowaną ścieżką przeszli prosto do drzwi domu i zadzwonili. Po chwili otworzyła je kobieta mniej więcej czterdziestoletnia, o ostrych rysach twarzy i bystrych oczach ubrana w niebieski dres. Jasne włosy związała w kiték.

– Mam nadzieję, że państwo niczego nie sprzedają – oznajmiła w progu, mierząc ich wyzywającym spojrzeniem. – Bo nie kupię.

– Bardzo rozsądnie. Ale my w innym celu. – Policjant wyjął legitymację, na którą kobieta ledwie zerknęła. – Starszy aspirant Zygmunt Ryba oraz Felicja Stefańska z urzędu gminy. Jeśli pani jest Iwoną Kalińską, to chcielibyśmy zadać kilka pytań...

– Co przeszkrobałam?

– Nie wiemy, co pani przeszkrobała, ale nie to nas w tej chwili interesuje. Przyszliśmy porozmawiać o Sabinie Kopczyńskiej. – Felicja zdecydowała się włączyć do tej wymiany zdań.

Kalińska znieruchomiała, wyraz jej twarzy nagle się zmienił, stał się jakby nieobecny. Lekko zamglonym wzrokiem spoglądała gdzieś w dal.

– O Sabinie... – powtórzyła zamyślona. – Rzeczywiście. W sumie to powinnam się przeciw tego spodziewać.

– Podobno panie się przyjaźniłyście.

– Tak. Chyba tak. To prawda i nieprawda. Trudno, będę musiała to wyjaśnić. Wejdźcie, proszę...

Wprowadziła ich do nowoczesnie urządzonego, otwartego wnętrza. Pośrodku tej na oko okazałej przestrzeni – pomimo niewielkich gabarytów domu – królował kominek, przy nim stał niski stół otoczony wygodnymi skórzanymi fotelami. Poprosiła, by usiedli.

– Zaparzę kawy – oznajmiła, zanim zdążyli zaprotestować, i zniknęła we wnęce kuchennej. Po chwili doleciał z niej znajomy aromat.

– Proszę wybaczyć mój strój. – Zerknęła znacząco na dres, stawiając jednocześnie dzbanek na blacie stolika. – Chciałam posadzić trochę kwiatów. Denerwują mnie te identyczne trawniki, są takie bezosobowe. Córka w szkole, młodszego zabrała babcia, więc mam trochę czasu dla siebie – dokończyła jakby z żalem.

– Nie zajmujemy pani dużo czasu – pocieszyła ją Felicja.

Pani Iwona pokiwała smętnie głową.

– Pójdę po filiżanki – westchnęła.

Czekali w milczeniu, gdy rozlewała napar do filiżanek. Ryba sięgnął po herbatnika. Felicja darowała sobie ciastko, kawę natomiast przyjęła z ochotą. Czuła, że pomoże jej na dobre się rozbudzić.

– No to pytajcie państwo. – Kalińska usiadła naprzeciwko, wpatrzona w okno. Było widać, że myślami jest daleko stąd.

Ryba zerknął na dziennikarkę, jakby szukał u niej wsparcia. Dziwne zachowanie gospodyni najwyraźniej go onieśmiewało.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli powie nam pani o Sabinie Kopczyńskiej wszystko, co pani uważa za ważne – zaproponowała Felicja łagodnie. – Po kolei, od początku, czyli od tego, jak się panie poznały...

– Dobrze. Spróbuję. Najwyżej później dopytacie. Z Sabiną znałyśmy się już wcześniej, z pracy. Byłyśmy wtedy zatrudnione w jednym biurze w Gdyni. Obie mieszkaliśmy z rodzinami na Obłuzu. Można powiedzieć, że przyjaźniłyśmy się najpierw my dwie, a potem we czwórkę z naszymi mężami, zwłaszcza w czasie, kiedy nasze dziewczynki były małe. To była bliska znajomość. Często spotykaliśmy się u nas albo u nich w domu, latem chodziliśmy z dziećmi na plażę, na molo, razem spędzaliśmy urlopy. No i w końcu wspólnie zaplanowaliśmy przeprowadzkę na wieś. Marzyliśmy o własnych domach, najlepiej blisko siebie, mieliśmy dosyć mieszkania w blokach. To były realne plany. Nasi faceci nie najgorzej zarabiali, my też nie siedziałyśmy z założonymi rękami pomimo dzieci.

Udało się. Kiedy Sabina znalazła dewelopera, który stawiał kanadyjskie domki na Złotym Rogu, od razu zaklepaliliśmy dwie działki obok siebie. Trochę to trwało, wzięliśmy kredyty, ale w końcu pobudowaliśmy się: najpierw oni, my trochę później, ponieważ w międzyczasie urodziłam drugie dziecko. Gdy się w końcu tu przeprowadziliśmy, świętowaliśmy przez kilka dni! Oczywiście wspólnie. To był piękny czas. Dziewczynki razem poszły do szkoły, tutaj, w Kryszewie. Nasza Daria do zerówki, Julia do pierwszej klasy. Wszystko się układało, dopóki nie zaczęły dorastać... – urwała, zdawało się, że lzy napłynęły jej do oczu. Przez pewien czas wszyscy siedzieli w milczeniu, Kalińska spoglądała w okno na splechek ogrodu, jakby wypatrywała tam swoich wspomnień.

– Co się wydarzyło, kiedy zaczęły dorastać? – zapytała po dłuższej chwili Felicja.

Kobieta drgnęła.

– W zasadzie nic się nie wydarzyło – odparła zamyślona. – Nic szczególnego. Ale wszystko się zmieniło.

– Proszę opowiadać dalej – poprosił Ryba.

– Nie wiem, jak to powiedzieć. Julia Kopczyńska była wyjątkową dziewczynką. Bardzo wrażliwą, zamkniętą w sobie. Wcześniej były z moją Darią jak siostry, w końcu razem się wychowywały. Jednak potem Julia się odsunęła. I nie, nie miało znaczenia to, że była o rok starsza i poznała w klasie inne dzieci. Ona w ogóle stroniła od rówieśników. Nie miała przyjaciół, koleżanek. I nikomu się nie zwie-

rzała. Choć dalej od czasu do czasu spotykały się z Darią, spacerowały lub siedziały razem na huśtawce w ogrodzie, to prawie nie rozmawiały.

Kiedyś Julka bąknęła Darii coś, z czego wyraźnie wynikało, że nie jest szczęśliwa. Dziwiło mnie to, bo było jeszcze przecież za wcześnie na młodzieńcze bunty czy nastoletnie miłości. Czułam więc, że problem musi tkwić w domu. Zaczęłam obserwować, co się u nich dzieje, bo żal mi było dziecka. Nie wierzyłam, że może dochodzić do bicia czy molestowania, z pewnością Sławek nie jest tym typem. Zawsze był dobrym ojcem, chociaż często nieobecny. Dużo pracował, musieli spłacać kredyt. Natomiast Sabina stała się nadmiernie opiekuńczą matką. Nie żeby w tym było coś złego, ale... aż do przesady. Pilnowała córki, woziła i odbierała ją ze szkoły jak przedszkolaka. Tutaj nikt tak nie robi, to nie jest duże miasto, dzieci dojeżdżają autobusem szkolnym. Nigdzie jej samej nie puszczała. A jednocześnie stroiła ją jak lalkę. Zapuszczała jej włosy, czesała w wymyślne fryzury, wplatała kokardy i inne ozdoby: spinki, sztuczne kwiatki, różne świecidełka, wstążki, opaski. Malowała tej małej paznokcie, przyklejała tropy. Kupowała przepiękne sukienki, buciki, korale, pierścionki, torebki, aż moja Daria jej tego zazdrościła. Też chciała choć jedną taką sukienkę, jaką ma Julka, jak to dzieciak. Musiałam jej kupić, ale potem i tak w niej nie chodziła, wołała wytarte dzinsy, szorty i podkoszulki. Zapytałam raz Julii, czy ona też by nie wołała, zwłaszcza latem, w upały. Odpowiedziała, że wołałaby sto razy, ale mama jej nie pozwala, bo ma „wyglądać ładnie i porządnie, jak dziewczynka powinna”...

Julia była uroczą, lecz absolutnie to nie był typ słodkiej laleczki. Lubiła sport, świetnie pływała, jeździła na nartach, czytała dużo książek, nie tylko dla nastolatek. Później Sabina zaczęła sama wybierać jej książki i narzucać lekturę. Więc, pomijając szkołę, mała przestała czytać.

Dziwiłam się Kopczyńskim, że niszczą jej indywidualność. Zapytałam na osobności Sławka, co strzeżółko do głowy Sabinie, że traktuje małą tak... przedmiotowo. Najpierw był zdziwiony, ale potem załapał, o co mi chodzi, lecz tylko machnął ręką. Zbył mnie. Uważał, że nic takiego się nie dzieje, Sabina po prostu troszczy się o córeczkę, może nadmiernie, ale takie prawo matki. Nie zgodziłam się z tym, jednak nie chciałam z nią o tym rozmawiać, zasugerował lojalnie, żebym pogadała w cztery oczy z Sabiną i wyjaśniła jej, co to jest nadopiekuńczość.

Zaryzykowałam, choć niechętnie. Sabina nigdy nie była łatwą rozmówczynią, zawsze raczej kapryśna i wybuchowa. A od jakiegoś czasu ona też wyraźnie się ode mnie odsunęła. Nagle uświadomiłam sobie, że nasza przyjaźń się rozmyła. To było przykre odkrycie, czułam się osamotniona. Jednak spróbowałam. Pewnego dnia, kiedy dzieci były w szkole, a nasi mężowie w pracy, wzięłam kawałek ciasta, które specjalnie w tym celu upiekłam, i poszłam do niej. Zdziwiła się, bo już od dawna nie spotykałyśmy się, ot tak, zwyczajnie, na pogaduchy przy kawie. Prawdę mówiąc, w ogóle się nie spotykałyśmy... nie spotykaliśmy, tyle co przez płot, cześć, cześć, ładną dziś mamy pogodę i takie tam. Zaczęło się niewinnie, od takich właśnie bzdurek, ale kiedy wreszcie zebrałam się na odwagę i poruszyłam temat Julki, wybuchła prawdziwa awantura...

Zapytałam żartem, czy szykuje córkę na konkurs piękności. I dodałam, że to jest chyba niekonsekwencja: z jednej strony robić z niej modelkę, z drugiej – trzymać jak w klatce. Od razu zaczęła krzyzczeć: że jestem złośliwa, że zazdrościsz, żebym pilnowała własnego nosa i dziecka, zamiast się wtrącać w jej metody wychowawcze. Zaszokowała mnie. Próbowałam się bronić, przeproszałam ją, ale ona dopiero się rozkręcała.

– Jestem, twoim zdaniem, złą matką, bo chcę, żeby moja córka porządnie wyglądała i była grzeczna?! – rzuciła mi z oburzeniem.

Ja jej na to, żeby zainteresowała się bardziej uczuciami córki niż swoimi oczekiwaniami wobec niej. Że Julia sprawia wrażenie stłamszonej. Ale to nic nie dało, nawet nie chciała mnie słuchać.

– Dawniej taka nie byłaś – zaryzykowałam. – A teraz zachowujesz się jak ci konserwatywni ideolodzy, spece od wychowania dziewczynek. Ma mieć „ugruntowane cnoty niewieście”? Ma być ładna i potulna, tak? Tego dla niej chcesz? – Byłam pewna, że to zadziała, ale to tylko dołało oliwy do ognia. Jej odpowiedź sprawiła, że oniemiałam. Brzmiała mniej więcej tak:

– A co, twoim zdaniem lepiej, żeby była jak chłop?! Jak twoja Daria, która robi co chce i zachowuje się jak ulicznik?

– Sabina, co ty wygadujesz? Wstąpiłaś do jakiejś sekty? – zdenerwowałam się. – Nigdy nie byłaś nawet religijna!

– A może teraz jestem? Nie wolno mi?! – Spiorunowała mnie wzrokiem. Ręce mi opadły. Co miałam dodać? Wstałam i wyszłam. Teraz sobie wyrzucam, że nie byłam dość stanowcza. Może gdybym wtedy nie uносиła się honorem, wszystko potoczyłoby się inaczej?

Mam mętlik w głowie.

Gdy Julka padła ofiarą tego zbrojenia... wiecie o tym, prawda? Gdy to się stało, posypało się wszystko. Ich życie, ale i nasze życie. Moja córka też to przeżywa i pewnie ta trauma zostanie w niej na

zawsze.

Mam wrażenie, że Sabina przyciągała kłopoty. Że ściągnęła zło na swoje dziecko. Nie wiem, jak do tego doszło, bo w tamtym czasie prawie się już nie kontaktowaliśmy, lecz jednego do końca życia nie zapomnę. To było jak horror. Krótko po tej tragedii Sabina dopadła mnie na drodze przed posesją i spoliczkowała, wrzeszcząc z płaczem, że mam, czego chciałam. A, nie, zaraz... użyła liczby mnogiej: „Chcieliście, żebyśmy jej dała więcej luzu, no to teraz macie! To wasza wina! Przez was zginęła! Obyscie się w piekle smażyli za moje dziecko!” – wykrzyczała coś w tym stylu.

Pewnie sąsiedzi też to słyszeli, choć przezornie pozamykali się w domach, bo przecież tacy są dyskretni. Uprowadzając pytanie, nie mam pojęcia, kogo oprócz mnie miała wtedy na myśli. Podejrzewam, że Sławka. To znaczy, ojca Julki, swojego męża.

A teraz... nie ma już Julki, nie ma Sabiny. Nie ma ich wszystkich, a nasze życie nigdy już nie będzie takie samo. Wciąż o nich myślę. Trudno się z tym pogodzić. Czuję się tak, jakby nasza wspólna przeszłość była snem.

Iwona Kalińska ponownie umilkła, nadal patrząc w okno. Wszystko, o czym mówiła, co zapewne czuła, malowało się na jej twarzy: żal, bezradność, zagubienie, rezygnacja. Felicja miała ochotę poradzić jej, żeby przestała rozpamiętywać przeszłość i zaczęła żyć własnym życiem, bo ma dla kogo. Że czasu i tak nie cofnie. Milczała jednak świadoma, że nikt nie oczekuje od niej rad czy tym bardziej pocieszeń, a Ryba zapewne uznałby, że to nieprofesjonalne.

– Ale zaraz, chwileczkę – odezwał się, pocierając czubek nosa. – Niech to ogarnę. Czy sugeruje pani, że Sabina Kopczyńska naraziła swoje dziecko na niebezpieczeństwo... z powodów religijnych?

Kalińska z trudem oderwała wzrok od szyby.

– Nic takiego nie powiedziałam, zrelacjonowałam tylko naszą ostatnią rozmowę. Sabina zmieniła się, zmienił się jej światopogląd. Jakby uległa indoktrynacji. Nigdy wcześniej nie kojarzyłam jej z tak wstecznymi poglądami dotyczącymi wychowania dziecka. Dlatego przyszło mi coś takiego do głowy, ale to tylko moje subiektywne odczucia – wyjaśniła spokojnie, choć lekko drżącym głosem. – Natomiast absolutnie nie uważam, że narażała córkę. Przeciwnie! Może gdyby nie zmiękla, nie uległa moim i być może swojego męża argumentom, to Julia żyłaby do dziś...

– Była wierząca? Chodziła do kościoła? – wtrąciła Stefańska, popijając machinalnie wystygłą już kawę.

– Nic o tym nie wiem. – Rozmówczyni wzruszyła ramionami. – Nigdy przedtem nie chodziła ani nie identyfikowała się z kościołem. Ale, jak wspomniałam, zmieniła się. Myślę jednak, że ona po prostu bardzo się o Julcię trzęsła. Co gorsza, okazało się, że miała rację. Zrobić drugą kawę?

– Nie trzeba, proszę się nie fatygować, zimna też jest dobra. Czy mogła trafić do jakiejś sekty religijnej?

– Nawet nie wiem, w jaki sposób... i czy są jeszcze u nas takie sekty. Wątpię. Ale zapisała Julię na religię. Moja Daria nie chodzi.

– Sekt różnego rodzaju nie brak – podchwycił Ryba. – Choć ostatnio żadna nie dała nam się we znaki. No nic, przyjrzymy się temu wątkowi. Dziękujemy pani, choć nie obiecuję, że na tym koniec. Możliwe, że jeszcze będziemy się do państwa zgłaszać. – Wstał, dając znak Felicji, że czas na nich.

– Proszę się nie krępować – odpowiedziała Kalińska, również wstając. Ponieważ na jej twarzy wciąż malowała się apatia, Stefańska jednak złamała zasady i powiedziała do niej współczująco:

– Niech się pani nie poddaje. Depresja to straszna choroba, zwłaszcza gdy ma się dzieci.

Gospodyni pokiwała tylko głową z bładym uśmiechem.

– Wiem o tym. Proszę się o mnie nie martwić. Wezmę się w garść – odparła.

– I co sądzisz? – zapytała dziennikarka, gdy wracali do samochodu.

– Ciekawych rzeczy się dowiedzieliśmy o denatce! Tyle tylko, że nie ogarniam – odparł Ryba. – Skomplikowani ludzie...

Stefańska przez chwilę milczała, wyglądało, że intensywnie o czymś myśli. Odezwała się ponownie dopiero na końcu gruntowej drogi:

– Ten pedofil podobno był, to znaczy jest, fanatykiem religijnym. Mówił mi o tym Artur.

Młody policjant zatrzymał się jak wryty pośrodku drogi – prawie na niego wpadła – i spojrzął na nią zaszokowany.

– Rany, to fakt! – Puknął się w głowę. – Myślisz, że ona... ta Sabina... że mogła mieć z nim jakiś kontakt?!

– Nie mam pojęcia, trzeba by to jakoś sprawdzić. Ale nie uważasz, że to trochę dziwny zbieg okoliczności?

* * *

– Takie rzeczy się przecież zdarzały – kontynuowała już w samochodzie. – No wiesz, mamusie wplątywały siebie i swoje dzieci, zwykle córki, w powiązania z niebezpiecznymi ludźmi.

Ryba skinął głową.

– Pamiętam takie przypadki – zgodził się. – Choć najczęściej chodziło o seks, romanse. Ale nie tylko. Bywało, że i o interesy.

– No więc powinniście się temu przyjrzeć. Jej kontaktom. Wysadź mnie gdzieś tutaj. Najlepiej przed centrum handlowym.

– Przecież podrzucę cię pod sam dom!

– Nie trzeba – zmieszała się. Ryba by nie odpuścił, uwielbiał wszelkie wizyty. A Greta przecież powiedziała wyraźnie „tylko ty sama”. – Wysiądę tutaj. Muszę najpierw zrobić zakupy i załatwić parę spraw.

– Myślałem, że wracasz do biura.

– Mam jeszcze trochę roboty na mieście. Kaśka siedzi w biurze.

– Okej. – Wjechał w zatoczkę naprzeciwko supermarketu. – A jak ona sobie radzi?

– Kto? Kaśka?

– No, Kaśka, a kto...

– Doskonale, choć staramy się z Gretą trzymać ją z dala od potencjalnych niebezpieczeństw. – Uśmiechnęła się. – Z trudem – dodała, wysiadając.

– Ty też na siebie uważaj, Felka.

– Felicja.

– Dobra! – zaśmiał się. – Nie patrz tak na mnie, bo się ciebie boję. Powodzenia w pracy. Pogłaszcz ode mnie Burego.

Tym ją udobruchał.

– Dzięki, Zygmus. A ty uściskaj rodzinę. – Zatrzasnęła za sobą drzwi auta, pomachała mu jeszcze przez szybę, po czym wolnym krokiem udała się w kierunku centrum. Pomyślała, że skoro już tu jest, kupi coś do kawy u Grety. Może jakieś pączki.

* * *

Na posesji Grety prawie zderzyła się z jej gosposią. Rzadko ją widywała, ale też nieczęsto bywała tu tak wcześnie. Przywitały się.

– Już pani ucieka? Chyba nie przeze mnie?

– A skąd! Już robotę skończyłam. Wszystko wam przygotowałam i lecę tera do drugiej klientki. – Rozeźmiała się starsza pani. – Do widzenia.

– Do widzenia... – Felicja odwzajemniła uśmiech.

Akurat uchyliły się drzwi i wyjrzała przez nie Pazikowa, ponaglając ją:

– Szybciej, szybciej, wszystko stygnie!

– Kupiłam pączki. – Dziennikarka wręczyła przyjaciółce w pachnącym kawą holu paczkę z ciastkami.

– Po co? Specjalnie upiekłam ciasto. Jest jeszcze ciepłe.

– Ho, ho, ho! Ty upiekłaś? – Felicja zdjęła kurtkę i odwiesiła ją na wieszak. – Czy raczej gosposia?

Greta prychnęła.

– Gosposia zrobiła kruszonkę. Bo wiem, że lubisz.

– Dla mnie może być sama kruszonka! Nawet bez ciasta. Ale zjem wszystko. Pączki też. Głodna jestem jak wilk, bo od rana zasuвам.

– To może wolałabyś najpierw coś konkretnego? Jakies kanapki?

Felicja machnęła ręką.

– Daj spokój, dla mnie ciasto z kruszonką jest jak najbardziej konkretne. Tylko oprócz kawy zrób jeszcze mocną herbatę. Czarna! Bo kawę już piłam.

– Ale nie taką jak u mnie – odparowała Greta. – Idź do salonu, odsapnij, a ja zaraz przyjdę z ciastem...

Czekając na przyjaciółkę, Stefańska rozłożyła się na sofie w pokoju dziennym Pazików, obok zmruczonej Księżniczki – rozpieszczanej perskiej kocicy, uratowanej z pseudohodowli. Jak zwykle podziwiała ich obszerny, supernowoczesny, funkcjonalny i zawsze zadbanej dom. „Bez dochodzącej gosposi Grecie raczej trudno byłoby utrzymać go w tym stanie”, pomyślała. Choć Felicja wolała tradycyjne stare chaty, w których wyczuwało się obecność duchów przeszłości.

Po niezbyt długiej chwili pojawiła się Greta z tacą. Po powrocie z urzędu przebrała się w legginsy i luźną turkusową tunikę. Z rozpuszczonymi na ramiona blond włosami wyglądała świeżo i młodzieńczo.

– Herbata będzie później. Do twoich pączków. Teraz moje ciasto i kawa. Tylko odkroiłam kawałek dla Przemka – tłumaczyła się. – Zje, jak wróci z pracy, kocha słodczyce. Reszta jest dla nas.

Ciasto – szarlotka z kruszonką i rabarbarem – pachniało już z daleka. Podobnie jak kawa w dzbanku.

– Wciąż tak dużo pracuje? – Felicja leniwie zwlekła się z sofy i usiadła przy szklanym stoliku.

– Przemek? A weź! Stale to samo. Nie musiałby, ale to pracoholik. Twierdzi, że wszystko robi dla nas, ale ja wiem, że firma to jego życie, my z kotem jesteśmy na drugim miejscu. Mam nadzieję, że odstawiłaś samochód? Kawa jest z whisky.

– Spoko. Przyszłam pieszo, bo jeździłam z Rybą.

– O! – Greta uniosła brew, jednocześnie nakładając ciasto na talerzyki. – No proszę. Byliście na tym osiedlu?

– Tak.

– Macie coś ciekawego?

Stefańska zajęła się nalewaniem kawy.

– Chyba nawet bardzo... – odparła z namysłem, a następnie streściła pani wójt wyniki porannych „przesłuchań”. Oraz swoje wnioski.

Greta Pazik wysłuchiwała jej uważnie i się zamyśliła.

– Wiesz, to chyba naprawdę ma ręce i nogi – odezwała się w końcu. – Mam na myśli twój ciąg myślowy. Coś w tym jest. Kobieta nagle zmienia się w bigotkę, no, może przesadzam, nie znamy szczegółów, opieramy się tylko na relacji tej przyjaciółki, ale dla uproszczenia. W każdym razie odbija się to na jej córce, która niedługo potem pada ofiarą pedofila opętanego manią religijną. A następnie sama ginie w tajemniczych okolicznościach. Dziwne. Jednak ten zboczeniec nie mógł jej zabić. On przecież siedzi. Gdyby popełniła samobójstwo, wszystko byłoby jasne...

– Ale tego nie zrobiła. To raczej pewne.

– Są już wyniki sekcji?

– Czekają na nie. Ale to tylko formalność, Pałka nie ma wątpliwości. – Felicja napiła się kawy. – I masz rację: pedofil jej nie zabił...

– Ale?

– Nie własnoręcznie. Ale nie znamy okoliczności, jak sama słusznie zauważyłaś. Może kogoś wynajął, napuścił?

– Tak niby mogło być. – Greta pokiwała głową. – Tylko po co? Z zemsty? Przecież przyznał się do zabójstw tych dzieci.

– Przyznał się, potem wszystko odwołał, teraz milczy. – Dziennikarka wzruszyła ramionami. –

Powtarzam: nie znamy wszystkich okoliczności. Chętnie pogadałabym z tym skurwysynem, ale przed rozprawą raczej mnie do niego nie dopuszczą. Muszę się zdać na Artura i liczyć, że podzieli się informacjami.

– Podzieli się, bo już nieraz okazała się pomocna. Jak nie on, to nasz Ryba. A tymczasem co zamierzasz?

– Jeszcze dokładnie nie wiem. Szukać, choćby po omacku. Mówiłaś, że znałaś małżeństwo Kopyńskich?

Greta zeskubywała kruszonkę z ciasta.

– Znałam o tyle, o ile. Ale w sumie tak, trochę ich oboje poznałam. Rozmawialiśmy przy różnych okazjach. Najpierw kiedy się tu budowali, a potem po śmierci tej małej. Wcześniej i później to byli jakby zupełnie inni ludzie. Ta tragedia bardzo ich zmieniła. No, ale trudno się dziwić.

– Na pewno. Każdy by się zmienił. Opowiedz mi o nich? Ciekawa jestem twojego punktu widzenia.

– Oczywiście, przecież po to się spotkałyśmy. Tylko pójdę po herbatę, bo widzę, że aż się krzywisz od mojej popisowej kawki. – Greta podniosła się z krzesła. – I może też te pączki przyniosę...

– Nie licz na zbyt wiele, aż tak dużo nie mam do powiedzenia. Aż tak dobrze ich nie znałam. Za to od początku mnie zainteresowali... w tym sensie, że to nie była zwyczajna, pospolita para, ludzie, których się szybko zapomina. Odwrotnie, rzucali się w oczy i pamiętało się o nich. Mieli w sobie taki rodzaj magnetyzmu. Nie potrafię powiedzieć, na czym on dokładnie polegał, chyba po trochu na wszystkim: oboje przystojni, atrakcyjni, ona naprawdę bardzo ładna, choć trudno byłoby nazwać ją sympatyczną. Trochę drapieżna, typ współczesnej, ostrej, przebojowej młodej kobiety. Dobrze ubrana, inteligentna, pewna siebie. On zresztą też, choć znacznie od niej spokojniejszy, bardziej stonowany, nieco flegmatyczny. Tak, dokładnie. Różnica rzucała się w oczy. Sabina jest, to znaczy była, przepraszam... ener-

giczna, nerwowa. No i przez to zapewne kłótliva. Uparta. Lubiła stawiać na swoim. Dała nam się mocno we znaki, stale w pretensjach, w fochach, choć potrafiła być też bardzo miła, wręcz czarująca, ujmująca czy jak to tam określić. Jeśli tylko czegoś chciała. Interesowna? Nie wiem, być może tylko kapryśna i nawykła do tego, że wszyscy zawsze tańczą tak, jak ona zagra. Pewnie była rozpieszczana w dzieciństwie.

On, Sławek, zawsze ją wspierał. Nawet jeśli czasem tylko biernie. Jego znałam z widzenia wcześniej, bo pochodzi stąd. Ale nie z prostej rodziny, jak sugerowali ci sąsiedzi. Matka dentystka na emeryturze, ojca nie pamiętam, chyba od dawna nie żyje, nie wiem, kim był. On sam, ten Sławek, też po studiach, inżynier. Za prostytutka Sabina by z pewnością nie wyszła. No i ta dziewczynka...

Ona też zwracała na siebie uwagę – głównie eterycznym urokiem. Taki mały elf. Trochę jakby niezręczystwa. Poza tym bardzo cicha, chyba nieśmiała z natury. Raczej nie sprawiała wrażenia zahukanej, po prostu zamkniętej w sobie, zamysłonej. Ale to było kilka lat temu, dzieci się zmieniają.

Potem nie miałam już z nią kontaktu. Z jej rodzicami też praktycznie nie za bardzo. Kiedy się w końcu pobudowali i zamieszkali na tym osiedlu, nie było więcej okazji do spotkań. Oni obracali się w zupełnie innym środowisku, byli znacznie młodszy, towarzyskich kontaktów nie utrzymywaliśmy. Tyle co od czasu do czasu mijaliśmy się na ulicy albo w sklepie, kłanialiśmy się sobie i tyle.

Nigdy, ale to nigdy w życiu nie podejrzewałam Sabiny Kopczyńskiej o fanatyzm religijny, ale... nie wiem, może akurat przegapiłam ten moment. Zupełnie jej nie kojarzyłam z tego typu osobą.

W wakacje, gdy wydarzyła się ta tragedia, odwiedziliśmy ich razem z moją radną z tego okręgu. Chciałyśmy pomóc, wesprzeć jako gmina. Taki u nas od lat obyczaj, zresztą wiesz. Jeszcze z czasów, gdy była tutaj prawdziwa wieś. Lubię pielęgnować stare tradycje. Byłam też obecna na pogrzebie małej. Wtedy zobaczyłam zupełnie innych ludzi. Ona pogrążona w letargu, całkowicie bez siły, apatyczna, jakby stale na prochach. Tak może zresztą było. Jednak nawet wówczas niestabilna, zmienna: potrafiła w krótkim czasie popadać w skrajne emocje, raz płakała, potem zaczynała krzyczeć, by następnie z powrotem zapaść się w sobie. On z kolei spięty, nerwowy, też jakby nieobecny. Było od niego czuć alkohol. Pamiętam też, że chodził w kółko jak tygrys w klatce. Dopóki ona na niego nie wrzasnęła, żeby wreszcie usiadł na tyłku, bo nie zniesie tego ustawicznego krąwienia.

W ich domu panował bałagan. Nikt nie miał siły sprzątać, babcię i sąsiadki, które chciały im pomóc, wyprosilili. Sabina wyprosiła. Na pogrzebie ślaniała się, mdlała, musieli odprowadzić ją do samochodu. On ją przez cały czas podtrzymywał, osłaniał, choć sam był w fatalnym stanie, postarzały, błady. Bardzo się o nią troszczył. Z czułością. Zresztą od początku widać było, że jest w niej zakochany, i to raczej z wzajemnością, sprawiali wrażenie dobrego małżeństwa. Naprawdę. Aż trudno uwierzyć, że ją po tym wszystkim porzucił. Choć tak, wiem, że to się w podobnych sytuacjach zdarza. Ludzie nie wytrzymują napięcia. A może za bardzo ją kochał? Wtedy emocje potrafią eksplodować...

– Czyżby aż tak eksplodowały, że ją w końcu zdziesiął pogrzebaczem? – wyrwało się Felicji cynicznie.

– Nie to miałam na myśli. Ale... – Greta urwała, sięgając po dzbanek z herbatą.

– Ale? – ponagliła ją dziennikarka, zabierając jej naczynie. Nalała sobie parującego napoju do chińskiej filiżanki.

Pani wójt wzruszyła ramionami.

– Teoretycznie wszystko jest możliwe – dokończyła. – Nie znam się na tym. Nie jestem psychologką.

– Mimo wszystko nie uważasz, że to on ją zabił?

– Nie wiem. Raczej nie. Trudno mi w to uwierzyć. Moi zdaniem nie jest typem mordercy, to miły, kulturalny facet...

– Jakim znowu typem? Nie ma czegoś takiego! Nie każdy morderca to wytatuowany zbir z wygolonym łbem i paskudną mordą.

– Uważasz mnie za kretynkę? – oburzyła się Greta. – Wcale tak nie myślę. Po prostu nie mieści mi się w głowie, że Kopczyński mógłby zabić żonę, którą kochał.

– Niby kochał, a został w najtrudniejszym momencie życia?

– Wiesz, Sabina bywała trudna... Nie wiemy, co między nimi szasło. Słyszałam, chyba od Ryby, że ona obwiniała jego, znaczy męża, za śmierć córki.

– A on ją.

– Możliwe. Oskarżali się nawzajem. Że nie dopilnowali małej. To musiało być dla nich obojga piekło...

– Więc, oczywiście teoretycznie, mogło skończyć się awanturą, podczas której poniosło go i ją trzasnął.

Greta Pazik odłożyła na talerzyk nietkniętego pączka, którego wcześniej bezmyślnie ścisnęła w dłoni. Machinalnie wytarła rękę serwetką. W przeciwieństwie do niej Felicja pożerała już drugie ciastko, popijając je gorzką herbatą.

– Teoretycznie mogło tak być – zgodziła się Greta. – Ale moim zdaniem tylko w skrajnych okolicznościach. Gdyby na przykład dowiedział się czegoś nagle, nie wiem, że go zdradzała na przykład...

Stefańska zastępyła. Z wysiłkiem przełknęła ostatni kęs pączka.

– A zdradzała? Sądziś, że to możliwe? Na przykład z tym zbrojencem? Przecież mogła nie wiedzieć, że to pedofil i psychol!

– Felicja! Spekulujesz w tym momencie. Przecież nie ma żadnych dowodów na to, że oni w ogóle się znali. Zbrojeniec nie był stąd, na szczęście, choć nie dla tych biednych dzieci, ale przynajmniej dla mojej gminy.

– To akurat bez znaczenia, stąd tylko rzut beretem do Gdańska. Za to wiele wskazuje, że Kopczyńska uległa w pewnym momencie jakiejś, w domyśle religijnej, manii. A ten zbok był fanatykiem.

Pazikowa parsknęła gorzkim śmiechem.

– To niczego nie dowodzi. Sama wiesz, że w tym kraju jest mnóstwo fanatyków – odparła drwiąco.

– Szczególnie ostatnimi czasy jest ich wysyp. Ale fakt, że warto by to sprawdzić. Tylko jak?

– Zapytać go...

* * *

Po powrocie na poddasze Felicja najpierw wyprowadziła psa, a potem jeszcze przez chwilę porozmawiała w ogrodzie ze swoimi gospodarzami. Ci oczywiście wypytywali o sprawę śmierci Kopczyńskiej, podzieliли się też swoją teorią. Bez zaskoczenia: ich zdaniem – o ile ofiara sama się nie zabiła – zrobił to mąż. No bo „te miastowe bogacze” to przecież chore ludzie, zepsute, bez moralności, zdegenerowane...

Dziennikarka nie wdawała się w dyskusje, przywołała Burego i wróciła na górę. Kaśki już nie było, robota została wykonana, o czym informowała zdawkowa kartka naklejona na monitor. Dziewczyna nie przestała się dąsać, że nie pozwolili jej na udział w nowym śledztwie. Felicja uznała, że dla świętego spokoju będzie musiała jednak przydzielić jej w tej sprawie jakieś bezpieczne zadanie, żeby nie czuła się wyłączone.

Przesłodzona ciastkami u Greta przygotowała szybki obiad w postaci słodko-kwaśnej chińskiej zupki, nakarmiła psa, a następnie – z puszką piwa i notatkami – usiadła przy komputerze, by spisać swoje dotychczasowe spostrzeżenia i uwagi. Nie było tego wiele. Musiała się zastanowić, co powinna zrobić...

Ostatecznie Stefańska zdecydowała się podzielić ich redakcyjne śledztwo na dwa, w zasadzie równoległe, piony: pierwszy, dotyczący zagadkowej śmierci Sabiny Kopczyńskiej oraz drugi, nawiązujący do sprawy dziewczynki, czyli Julii Kopczyńskiej. Dziennikarka wysłała bowiem z założenia, że obie te historie łączą się ze sobą i zabójstwo Sabiny prawdopodobnie jest następstwem albo wręcz skutkiem tragicznej śmierci jej dziecka. Taką hipotezę od samego początku przyjęła instynktownie, ale i świadomie, bo z zasady nie uznawała tak zwanych zbiegów okoliczności, które, jeśli w ogóle występowały, to tylko – jej zdaniem – jako wyjątki potwierdzające regułę.

Kwestie dotyczące dziewczynki, jako te bezpieczniejsze, czysto reporterskie, bo praktycznie sprawa została zamknięta przez policję, postanowiła powierzyć Kasi Malinowskiej. Na dzień dobry poprosiła ją więc o przeprowadzenie wywiadów w szkole, do której uczęszczała mała Kopczyńska. Bardziej miały to być luźne rozmowy z dziećmi i nauczycielami, chodziło przede wszystkim o uzyskanie wyraźniejszego portretu Julki oraz wychylenie momentu, w którym dziewczynka została poddana wychowawczej – czy może raczej antywychowawczej – presji matki.

Kaska wyglądała nareszcie na w pełni usatysfakcjonowaną i pełną zapału. Od razu chwyciła za telefon, by umówić się z dyrektorką szkoły podstawowej w Kryszewie, którą dobrze znała jeszcze z czasów, gdy była tam uczennicą, a obecna szefowa szkoły nauczycielką języka polskiego.

– Jestem umówiona na jutro! – oznajmiła, odkładając słuchawkę. – Pani dyrektor udostępni mi dokumentację szkolną, a poza tym ułatwi kontakt z nauczycielami Julki i jej kolegami z klasy. Czy raczej koleżankami, jak podejrzewam, bo dzieci w tym wieku trzymają się raczej w obrębie własnej płci – dodała.

– Tylko dobrze się przygotuj do tych rozmów. Możesz improwizować, ale ułóż sobie w pamięci listę pytań.

– Jasne, przecież wiem! Nie pierwszy raz przeprowadzam wywiady – obruszyła się dziewczyna.

– No to super, młoda, powodzenia. – Felicja uśmiechnęła się z aprobatą. – A teraz trzymaj za mnie kciuki, będą dziś gadać z Arturem. Chcę go poprosić, żeby nieoficjalnie porozmawiał w areście z tym

pedofilem. Mnie tam nie wpuszczą, muszę jakoś przekonać Pałkę. Problem w tym, czy w ogóle raczy mnie wysłuchać – westchnęła.

– Chodzi ci o twoją teorię, że ten zboczeniec mógł znać wcześniej matkę Julii?

– Dokładnie. Znać, a nawet może coś więcej...

– Myślę, że komisarz da się przekonać, a co mu szkodzi? – Malinowska jak zawsze tryskała optymizmem.

– Wiesz, jak jest z glinami. – Felicja machnęła ręką. – Oni wszyscy raczej nie przepadają za dziennikarskimi pomysłami. Tak czy inaczej, trzymaj kciuki, bo zaraz spróbuję się do niego dodzwonić.

Kasia pokazała jej zaciśniętą pięść.

– A ty czym się zajmiesz? – zapytała. – Poza urabianiem pana komisarza?

– Jeszcze nie jestem pewna. To znaczy nie wiem, od czego zacząć. Ale chyba na pierwszy ogień wzięłabym tego męża...

– Też tak właśnie myślałam! Żeby poznać to wszystko z drugiej strony! – Uśmiechnęła się tryumfalnie młoda asystentka.

Zajęły się organizowaniem swoich zajęć. Przez chwilę pracowały w ciszy. Nagle Felicja o czymś sobie przypomniała:

– Kasiu. – Oderwała dziewczynę od komputera. – Jak już będziesz w szkole, dowiedz się, kto uczył religii w klasie Julki Kopczyńskiej. Bo przecież ten pedofil był katechetą! A może...

– Nie – przerwała jej Malinowska. – Na pewno nie on. To już wiadomo. W naszej szkole katechezę od lat prowadzą zakonnice.

– Domyślam się, że nie on, przecież na pewno to sprawdzali. Ale może znajdziesz jakieś powiązania. Może gdzieś się zetknęli, na jakiejś oazie czy jak to się tam u nich nazywa. Nie znam się na tym, za moich czasów jeszcze było normalnie, szkoła to szkoła, a religia w kościele.

– I tak właśnie powinno być – skonstatowała młodsza dziennikarka. – Dobra, oczywiście poweszę...

Palczyński wysłuchał Felicji spokojnie i – o dziwo – zgodził się z jej tokiem rozumowania. Obiecał, że spróbuje porozmawiać z oskarżonym. Był, co prawda, sceptyczny i tego nie ukrywał, przyznał jednak, że nie brali pod uwagę takiego scenariusza, więc warto się upewnić. Z tym że trudno powiedzieć, kiedy mu się to uda, postara się jak najszybciej. Przy okazji komisarz poinformował Felicję, że w przypadku Saby Kopczyńskiej podczas autopsji oficjalnie potwierdzono udział osób trzecich. Ktoś był u niej w środę wieczorem, pomiędzy godziną dwudziestą a dwudziestą trzecią. I ją zabił. O żadnym samobójstwie lub wypadku nie ma już od tej pory mowy.

To jej nie zdziwiło.

Odetchnęła z ulgą, mając już tę rozmowę za sobą, do tego z nie najgorszym skutkiem. Kolejny krok naprzód.

Zanim jednak zaczęła planować swoje dalsze działania, postanowiła przejść się „na miasto”, by po pierwsze odetchnąć świeżym powietrzem, po drugie wyprowadzić Burego, a po trzecie kupić w kiosku fajki, których jej zabrakło. Skusiła ją piękna jesienna pogoda. Zostawiła asystentkę w biurze i przypięła psu smycz. Kundelek nauczył się grzecznie chodzić w uprzęży, jednak nadal za tym nie przepadał. Jako typowy wiejski psiak – wiejski Burek – wolał swobodę.

Poszli.

Zanim dotarła do centrum, dwie osoby zapytały ją o „to morderstwo”. Po kilku latach pracy na stanowisku rzeczniczki prasowej gminy większość mieszkańców miasteczka kojarzyła ją. Formalnie to wciąż była duża wiejska gmina, ale w samym Kryszewie nie mogła już liczyć na tradycyjny kaszubski dystans, tutaj ludzie byli inni, różni, zazwyczaj napływowi. Ciekawość wyrażano otwarcie, a plotkowano zawzięcie. Zbyła ciekawskich, lecz kiedy dotarła do kiosku, sprzedawczyni od razu wzięła ją w obrotu, przepytując na wszelkie możliwe sposoby i komentując ochoczo wymijające odpowiedzi. W końcu Felicja postanowiła nie być jej dłużna. Skoro już temat sam wypłynął...

– A pani jak uważa, że co tam się wydarzyło? – zapytała, gdy kobieta na chwilę zamilkła, odliczając jej resztę.

– No jak to co! – Kioskarka rzuciła drobne na plastikową tackę. – Wszyscy tu tylko o tym gadają. Przecie nie rzuciła się ze schodów. Morderstwo, na bank! Tylko dziwne, że po tym, jak tę jej córeczkę zabił ten psychopata...

– Ale kto miałby ją zamordować, tę matkę? Psychopata w areszcie siedzi.

Rozmówczyni się zachnęła.

– Może naskłał jakiego współnika? Tak przecie mogło być.

– Ale po co?

– Może, żeby się zemścić. Ci psychopaci często się mszczą. Nawet z za krat się odgrają, że ludzie boją się, kiedy ich wypuszczą...

– I myśli pani, że tak właśnie było? – Felicja pogłaskała Burego, który piszczał z nudów, szarpiąc smycz.

– Ja się tym aż tak bardzo nie interesuję – oznajmiła obłudnie kioskarka. – No ale z klientami muszę pogadać. Ludzie mówią, że mąż ją załatwił. Szkoda go, bo to sympatyczny mężczyzna. Może się załamał, biedaczek, i oszalał?

– Może i tak – skwitowała Felicja, zgarniając do kieszeni drobniaki razem z paczką papierosów i gumą do żucia.

– Ale ja w to nie wierzę – dodała kioskarka. – Może jaki inny wariat się trafił? Albo złodziej. Teraz co rusz to gwałty, morderstwa, pobicia. Nawet wśród młodzieży! Taki świat nam się zrobił...

– Chyba zawsze taki był, tylko dawniej mniej się o tym mówiło. Muszę uciekać, bo pies ciągnie. Do widzenia! – Felicja odeszła pospiesznie, by uniknąć dalszych spekulacji, i tak nic nowego niewnoszących.

Słońce powoli zachodziło, zaczynało się ściemniać. „Dni robią się coraz krótsze”, pomyślała z zalem. W centrum miasteczka, wokół ronda, trwały roboty drogowe, kładziono nową kostkę chodnikową. W związku z tym miejsca do mijania się na trótarze ubył o połowę, zostało jedynie wąskie przejście, co z kolei powodowało ścisk, korek oraz, co za tym idzie, nerwy przechodniów.

Najwięcej ludzi zgromadziło się przy przystanku autobusowym, gdzie przechodzący mieszało się z czekającymi na autobus. Sporo ludzi akurat wychodziło po mszy z kościoła znajdującego się naprzeciwko wiaty.

Usiłowała zręcznie pomiędzy nimi lawirować, prowadząc Burego krótko, tuż przy nodze. Nagle ktoś ją szturchnął. Niby nic nadzwyczajnego, co chwilę to się zdarzało w ścisłości. Jednak usłyszała tuż przy uchu coś jakby szept, a raczej ciche syknięcie:

– Nie interesuj się tą sprawą!

Była niemal pewna, że dobrze zrozumiała, choć ten dziwny świszczący komunikat brzmiał niewyraźnie, do tego towarzyszyło mu głuche warczenie Burego. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, czy był to męski, czy kobiecy głos. Na parę sekund zamarła, zdezorientowana, niepewna znaczenia całej tej sytuacji, po czym odwróciła się gwałtownie. Lecz nikt przy niej nie stał, tylko pies warczał, szczerząc kły na przechodzących obok w pośpiechu ludzi. Raczej rzadko widywała pocziwego Burka w takim stanie, teraz jednak nie zwracała na to większej uwagi, rozglądając się dookoła. Nie zauważyła nikogo wzbudzającego podejrzenia. Ludzie poruszali się w różnych kierunkach, niektórzy poszturchiwali ją, przeciskając się do przystanku, gdzie właśnie podjeżdżał ostatni spóźniony autobus. Nikt nie patrzył w jej stronę. Jakieś dwie starsze kobiety, staruszek o kulach, młoda dziewczyna, facet w okularach... To mógł być każdy.

Chyba że się przesłyszała lub komunikat wcale nie był adresowany do niej. Tak też mogło przecież być. Być może ktoś tylko z kimś rozmawiał i przypadkowo w rozmowie padły te słowa. A Bury warczał podenerwowany zbiorowiskiem, do jakiego nie był przyzwyczajony. Uspokoiła się trochę i kiedy autobus nareszcie odjechał, zabierając tłum ze sobą, poszła w stronę domu. Możliwe, że jest przewrażliwiona. Nie była jednak do końca przekonana, wracając ciemnymi, opustoszałymi już bocznymi uliczkami. Na szczęście Bury przestał warczeć i wiernie podązał obok niej.

Dodawał otuchy...

Po powrocie na poddasze zastanawiała się, czy dzwonić do Pałki i opowiedzieć mu o swojej przygodzie. Wahała się. Kaśki już nie zastała w biurze, więc nie miała się z kim naradzić. Kusiło ją, żeby komuś się z tego zwierzyć, wciąż nie czuła się uspokojona. Znała już tego typu pogroźki – o ile tym razem były to faktycznie pogroźki, może tylko pomyłka, a może dobra rada – i dobrze wiedziała, że konsekwencje bywały różne: niektórzy poprzestawali na groźbach, inni przechodzili od nich do czynów. Doświadczyła już jednych i drugich. Ludzie w desperacji stawali się nieprzewidywalni, szczególnie gdy za tymi działaniami kryło się przestępstwo.

Ostatecznie jednak, skoro sama nie była pewna, z czym ma do czynienia, postanowiła na razie nie zawracać Palczyńskiemu głowy. Lepiej, żeby nie spanikował. Powie mu ewentualnie przy okazji, kiedy się spotkają. Mogła zadzwonić do Grety, nie było zbyt późno, na pewno jeszcze nie śpi. W końcu się zdecydowała.

Pazikowa odebrała po pierwszym dzwonku, jakby czekała na telefon od niej. Przyznała, że nie może przestać myśleć o tej sprawie.

– Gretka, jak wygląda Kopczyński? – zapytała na wstępie Felicja. – Widziałam zdjęcia na fejsie, ale wiesz, tam nie zawsze fotki odpowiadają rzeczywistości...

– A co?

– Nienawidzę, jak odpowiadasz pytaniem na pytanie! – zirytowała się Felicja. – Odpowiedz mi najpierw, dobrze?

– Niech ci będzie. Wygląda nieźle. Wysoki, ani gruby, ani chudy, włosy kręcone, rudawe. Na oko czterdziestolatek.

– To by się zgadzało z tym, co widziałam w sieci. Nie nosi przypadkiem okularów?

– Raczej nie, przynajmniej ja nigdy go nie widziałam w okularach. Czy możesz wreszcie wyjaśnić, o co chodzi? – Tym razem Greta się zdenerwowała.

Dziennikarka streściła jej wszystko, łącznie ze swoimi rozterkami.

– No i wiesz, jedynym facetem, który rzucił mi się tam w oczy, był gość w średnim wieku w okularach, który wsiadał do autobusu – dokończyła. – Ale to raczej nie on syczał mi do ucha, pytam dla formalności. Zresztą wyglądał przeciętnie i chyba był łysawy.

Greta przez chwilę milczała. Zastanawiała się.

– Jak łysy, to na pewno nie Sławek. Będziesz z nim gadać, to sama poznasz, czy to mógł być on, ale głowę daję, że nie pasuje – oznajmiła wreszcie. – Swoją drogą, współczuję ci. Znowu przeżywać takie rzeczy, brr...

– A co sądzisz o całej tej sytuacji? Mam się bać? Potraktować to serio?

– Tak! – Podchwyciła natychmiast przyjaciółka. – Masz potraktować to serio i powiedzieć o tym swojemu komisarzowi. Na wszelki wypadek. Jeśli to nie była pomyłka i nie podsłuchiłaś czyjejs rozmowy, to obie wiemy, jakie mogą być następstwa. Ale przynajmniej moim zdaniem, nie ma na razie powodów do hysterii. Jest jak najbardziej prawdopodobne, że się przesłyszałaś. To mogła być też po prostu sugestia – dokończyła spokojnym, lecz zarazem pewnym siebie tonem urodzonego polityka.

Felicja odetchnęła. Poczula się o wiele lepiej. Przez myśl jej przemknęła refleksja, ile może zdziałać zwykła rozmowa z kimś bliskim, zaufanym i podzielenie się problemem. Jakby wręcz namacalnie spadła z człowieka połowa ciężaru!

– Dzięki, Gretka. Też tak myślę. Ale chyba nie wytrzymam i jutro od razu pojedę do tego faceta.

– Masz jego adres?

– Tak, Pałka wspomniał, że mieszka teraz u swojej matki, a Kaśka wie, gdzie to jest.

– Ja też wiem, jakby co. Powodzenia, zadzwoń później.

– Jasne. Śpij dobrze – Stefańska rozłączyła się, wzięła laptop, zawołała Burego i razem poszli na antresolę.

Dom rodzinny Kopczyńskiego stał niemal w centrum Kryszewa, co prawda nieco w głębi, schowany za terenami zielonymi i innymi posesjami – nie przy głównej ulicy, ale łatwo było trafić. Felicja dotarła tam bez problemu piechotą. Dyskretnie, lecz z uwagą zlustrowała najpierw maleńki zadbane ogródek, w którym nadal jeszcze – mimo późnej jesieni – kwitły kolorowe rabatki. Parterowy budynek był skromny, zbudowany z czerwonej cegły. Stare lokalne budownictwo. Na podjeździe stały dwa samochody: stare, wysłużone białe punto oraz elegancki szary nissan.

Nie zapowiedziała wizyty, więc miła starsza pani, która otworzyła jej drzwi, sprawiała wrażenie zaskoczonej. Mimo to przyjęła ją gościnnie, jakby była oczekiwanym gościem.

Kobieta miała zapewne ponad siedemdziesiąt lat, jednak doskonale się trzymała. Szczupła, zadbana, ubrana z klasą, choć na sportowo, siwe włosy modnie przycięte. Dentystka na emeryturze, Felicja przypomniała sobie słowa Greta. Z dobrej medycznej lokalnej rodziny Rogowskich, ceniona w gminie, szanowana przez byłych pacjentów. To wszystko musiało być dla niej trudne do zniesienia.

– Syn? – Zmieszala się pani Kopczyńska. – Ależ tak, oczywiście, za chwilę będzie, tylko wyskoczył po cukier dla mnie... robię przetwory na zimę. Ale niechże pani wejdzie i rozgości się. Jak tylko wróci, od razu go przyprowadzę. Napije się pani kawy? – trąkotała nerwowo, prowadząc dziennikarkę z ciemnej sieni do mrocznego pokoju, najwyraźniej pełniącego w tym domu funkcję salonu. Na honorowym miejscu stał tam duży telewizor, oprócz niego były stół i dwa fotele. – Syn mieszka teraz na poddaszu, ale zwykle tutaj razem przesiadujemy. Po tym nieszczęściu...

– Podwójnym – wtrąciła Stefańska.

– Tak. Niestety. To pani jest naszą redaktorką? Miło mi, że mogę panią poznać. Ale czemu zawdzięczamy wizytę? Bo policja już u nas była.

– Tak, wiem. Chciałam porozmawiać z pani synem o tych dwóch tragediach. Proszę się nie obawiać, będę delikatna. Gmina aktywnie włącza się w dochodzenie, żeby jak najszybciej wykryto sprawców. A ja pracuję dla urzędu gminy. – Felicja usiadła wygodnie we wskazanym przez gospodynię fotelu.

– Rozumiem. Ale morderca mojej wnusi – kobiecie załamała się głos – siedzi już w więzieniu.

– W areszcie. Chodziło mi raczej o zabójstwo pani Sabiny.

– Zabójstwo? Nie samobójstwo? To już pewne?

– Tak. Przykro mi.

– To strasne. Aż trudno uwierzyć. Czuję się winna za syna, że on ją wtedy opuścił. No, ale się nie dogadywali, więc on uznał, że może lepiej będzie, żeby na jakiś czas się odizolował. Chciał uniknąć scen i awantur. Po stracie dziecka oboje przeżywali ciężki okres. Jednak kto by przewidział takie nieszczęście...

– To prawda. Bardzo państwu współczuję.

– To ja pójde zaparzyć kawy. – W głębi domu rozległ się odgłos otwieranych drzwi. – O, właśnie syn wrócił – dodała. – Wszedł przez podwórko, od kuchni. Zaraz go zawołam.

– Dziękuję.

Gdy kobieta wyszła, Felicja rozejrzała się po pokoju. Wazony z kwiatami, kasztany i żołądźcie w kolorowych miseczkach. Nad drzwiami duża stara reprodukcja pejzażu Chełmońskiego. Na ścianach wzorzyste tapety oraz mnóstwo rodzinnych fotografii, a także wesołych dziecięcych obrazków. Wszystkie oprawione zostały w ozdobne ramki. Z daleka dostrzegła, że zdjęcia w większości przedstawiają dziewczynkę na różnych etapach jej rozwoju. Zamierzała wstać, by bliżej im się przyjrzeć, lecz usłyszała przytłumione głosy, a następnie zbliżające się kroki. Po chwili w progu stanął mężczyzna, którego znała już całkiem dobrze z fotografii.

Nie sposób się było pomylić. Od razu wszędzie by go rozpoznała i z całą pewnością nie był to łysy facet w okularach z przystanku autobusowego. Jednak – w porównaniu z fotkami z fejsa – zmienił się, teraz wyglądał poważniej, bujna kędzierzawa czupryna prezentowała się mniej ogniście, wyraźnie posiwiał na skroniach. Schudł, pod oczami miał sińce. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Ewidentnie życie mu dokopało, zauważyła w duchu. Nadal był jednak przystojny.

Przywitali się i przedstawili sobie nawzajem.

– Wiem, po co pani przyszła, mama mi pani powiedziała – powstrzymał ją, gdy zaczęła się usprawiedliwiać. – Rozumiem. To miło ze strony urzędu gminy, że was to obchodzi. Cóż, proszę pytać, o co pani chce. Mam nadzieję, że będę pomocny.

– Dziękuję, doceniam to. Nie każdy jest tak wyrozumiały. Chyba wolałabym... – przerwała, gdyż weszła pani Kopczyńska z tacą.

– Przyniosłam kawusię i domowe herbatniczki. – Zaczęła starannie rozstawiać na stole filiżanki, cukiernicę, dzbanek, talerzyki, łyżeczki. Trochę to trwało. Felicja wstała, by jej pomóc, ale gospodyni grzecznie podziękowała. – Czy będę jeszcze potrzebna? – zapytała na koniec, zabierając tacę.

– Raczej... – Stefańska ponownie zamilkła, zauważając, że kobieta patrzy nie na nią, lecz na syna.

Ten odpowiedział krótko:

– Nie, mam, nie będziesz. A jeśli nawet, to cię zawołam.

– To ja wrócę do moich przetworów. – Kopczyńska się wycofała.

– Zatem? – podjął przerwany wątek Kopczyński.

– Skoro pan rozumie, o co nam chodzi, to chyba wolałabym, żeby najpierw pan mi po prostu wszystko opowiedział. Jak to wyglądało z pańskiego punktu widzenia. Jeśli będę miała dodatkowe pytania, zadam je na koniec. Zgoda? – zaproponowała.

Sławomir Kopczyński podrapał się po głowie i lynął kawy. Felicja też upiła trochę. Napój był gorący, mocny i gorzkawy. Zagryzła ciasteczkami, by go zneutralizować.

– Od czego mam zacząć? – zapytał bezradnie.

– Może od Julki? – Wstała, podeszła do fotografii i przyjrzała im się bliżej. Potwierdzały wersję sąsiadki. Gdy dziewczynka była młodsza, wyglądała inaczej: normalnie ubrana, w szorty albo dżinsy, krótko ostrzyżona, lekko piegowata, naturalna, uśmiechnięta. Z wiekiem zeszytniała i posmutniała, wystrojona w kokardy i sukienki z falbankami. Wydawało się, że na jej pięknych, kręconych rudych włosach fryzjerzy ćwiczyli się w swej sztuce.

– Od Julki... – powtórzył Kopczyński cicho.

I zaczął mówić, najpierw powoli, ostrożnie, z trudem formułując myśli, potem z coraz większym zaangażowaniem.

Była naszą jedynaczką, skarbem, oczkiem w głowie, ukoronowaniem naszego związku. Wszystko, całe nasze życie koncentrowało się na niej. Szczególnie żona poświęcała jej cały wolny czas, którego mnie brakowało. Pochłaniała mnie praca, firma, chciałem zapewnić moim dziewczynom najwyższe standardy. Nie pochodzę z bogatej rodziny. Owszem, mama dentystka jako tako zarabiała, ale pracowała w ośrodkach, nigdy nie dorobiła się prywatnego gabinetu. Ojciec był nauczycielem, uczył w technikum, od dawna nie żyje. Prawdę mówiąc, rodzice przez całe życie się dorabiali, postanowiłem uniknąć podobnego losu. I udało nam się, wszystko szło jak z płatka. Sabinę poznałem na zabawie karnawałowej i zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Okazało się, że z wzajemnością. Po paru miesiącach wzięliśmy ślub, zaraz potem założyłem działalność gospodarczą. Żona też pracowała. Kiedy urodziła się Julcia, miała przerwę, a do pracy wróciła, gdy mała poszła do szkoły. Nieźle nam się wiodło, byliśmy udanym małżeństwem, szczęśliwą rodziną. Zbudowaliśmy dom, bez większych problemów spłacamy... spłacaliśmy kredyt. Wyjeżdżaliśmy dwa razy do roku za granicę na wakacje, latem nad ciepłe morza, zimą na narty w Alpy. Dziecko rosło zdrowo. Znajomi widzieli w nas wzór, zazdrościli nam sukcesów. Czuję dumę: piękna żona, piękna córka. Kochałem je obie do szaleństwa.

Zaczęło się psuć, kiedy żona przeszła operację ginekologiczną, po której lekarze oznajmili, że nie będzie mogła mieć więcej dzieci. Choć tłumaczyłem jej, że niczego nam do szczęścia nie brakuje, bardzo to przeżywała. W tym czasie Julia zaczynała dorastać, źle mówię... raczej dojrzewać. Z małego słodkiego brzdąca zrobiła się długonoga pannica, która miała już swoje sprawy. I nagle Sabina, moja żona, wpadła w jakiś amok. To było jak obsesja. Nie potrafiła pogodzić się z faktami, koniecznie chciała zatrzymać czas. Z jednej strony stroiła ją jak lalkę, jakby Julia wciąż była małym dzieckiem, z drugiej – trzęsła się nad nią jak kwoka, do przesady. Prawie trzymała ją pod kluczem. Nie rozumiałem, co nią kieruje, ale nic nie mówiłem, nie chciałem wywoływać konfliktów. Widać było, że Julcia jest nieszczęśliwa, jednak żona tego nie zauważała. Myślałem, że z czasem jej minie, i dalej siedziałem cicho. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że takie zachowanie nie jest normalne, że mogło mieć podłoże psychiczne. Teraz to sobie wyrzucam. Może gdybym w porę zareagował...

Przez cały czas zastanawiam się, czy gdybym wtedy zachował się inaczej, czy... możliwe, że nie doszłoby do tej tragedii. Bo cała ta atmosfera źle wpływała również na córkę. Julka miała już dwanaście lat, zaczynała się buntować. Coraz częściej odmawiała wykonywania poleceń. Pojawiły kłótnie, awantury. Wtedy już próbowałem je godzić. Tłumaczyłem żonie, że nie ma racji, niestety, nic do niej nie trafiło. Na odwrót, piekliła się coraz bardziej, na mnie też się już boczyła.

No i tak to się potoczyło. Prostą drogą do nieszczęścia. Córka zaczęła uciekać z domu. Nie żeby na długo, zawsze wracała, ale wymykała się, znikwała, zamknęła się w sobie. Zrobiła się nieprzyjemna, stawała się matce, sprzeciwiała we wszystkim. Mnie również przestała ufać, wcale się jej nie dziwił. Nie obroniłem jej. Nie sprostałem.

Tamtego strasznego dnia też uciekła. Jak zwykle pracowałem, żona wydzwaniała do mnie do firmy, że znowu jej nie ma, że nie odbiera telefonów, ale, przyznaję, zbyłem ją. Miałem dość. Zlekceważyłem

sytuację. Zamiast jej wtedy szukać, ja jak tchórz zamknąłem się w biurze. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko dodać, że myśmy wtedy nie wiedzieli o tym zbrodnicu. Policja nie ostrzegała, a o tamtych wcześniejszych przypadkach nie słyszeliśmy. To się zresztą działo gdzie indziej, wydawało się, że tutaj, u nas, jest bezpiecznie. Niestety, to było złudne bezpieczeństwo. Nasze dziecko spotkało na swojej drodze śmierć. Proszę mi darować, trudno mi o tym mówić...

Reszty dowiedziałem się później. Julia poszła bez pozwolenia nad jezioro, bo tam byli jej rówieśnicy, mieli jakąś imprezę, zabawę, takie zawody. Wiadomo, że matka by jej nie puściła. Wracając do domu sama, inne dzieci mieszkały bliżej, szły inną drogą. Julia musiała przejść szosą parę kilometrów w przeciwnym kierunku. Sabina do niej dzwoniła i pisała esemesy, ale córka już nie odpowiadała. Za pierwszym razem się rozłączyła, bo żona na nią nakrzyczała, a potem w ogóle przestała reagować. Później, kiedy ją znaleźli, nie miała przy sobie komórki. Nie znaleźli jej. Nie wiadomo, co się z nią stało, czy ją zgubiła i kiedy. W drodze do domu, prawdopodobnie gdzieś na szosie, dopadł ją ten bydlak i wciągnął – albo zwałił – do swojej furgonetki. Być może myślała, że ją podwiezie do domu, pewnie się spieszyła, nie chciała przeginać, bała się reprimendy. Nawet nie chcę tego wiedzieć, nie chcę nawet o tym myśleć.

Wtedy świat się nam zawalił.

Chciałbym go dopaść. Zabić. Tak, chciałbym go zabić. Własnoręcznie. Ale będzie siedział na koszt podatnika, a jak wyjdzie, będzie mordował dalej, inne dzieci. Kiedy go złapali, nie czułem nawet satysfakcji. Przepraszam...

Wtedy nasze małżeństwo się rozpadło. Dom zrobił się pusty, ponury, ogarnęła nas apatia. Nie widzieliśmy już celu ani sensu życia. Żona zrezygnowała z pracy, nie była w stanie na niczym się skupić, brała tabletki i całe dnie przespiała, a nocami siedziała w kuchni i paliła papierosy albo przesiadywała na cmentarzu przy grobie Julci. Parę razy musiałem ją stamtąd siłą wyprowadzać. A ja z kolei tylko w pracy potrafiłem się wyciszyć. Kiedy nie pracowałem, szukałem ukojenia w alkoholu. Obwinialiśmy siebie o to, co się stało, ale i obwinialiśmy siebie nawzajem. Zwłaszcza ona... Sabina mnie o to winiła. Twierdziła, że zamiast ją wspierać w wychowaniu Julki, ja jej na wszystko pozwalałem, że gdyby nie to, gdyby nie czuła wsparcia z mojej strony, nie byłaby taka rozpuszczona i nie doszłoby do tej tragedii. Wyrzucała mi też ten ostatni dzień, kiedy zostałem w robocie, zamiast szukać małej. Mnie to w końcu zabolęło i zrzuciłem całą winę na nią. Na te jej chore obsesje, które doprowadziły córkę do buntu. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że tak dalej nie może być, że musimy się rozstać, wyrwać się z tego piekła, dać sobie czas. Zdecydowałem się odejść i któregoś dnia po prostu spakowałem manatki. Zostałem jej kartkę, że chwilowo wyprowadzam się do matki, klucze zostawiłem w doniczce. Myślałem, że powrót do domu rodzinnego przyniesie mi ukojenie, i fakt, po części tak się stało. Mama zadbała o moje zdrowie psychiczne, odwiodła mnie od nadużywania alkoholu, by topic w nim żał. Chyba nie zdawałem sobie sprawy z tego, co Sabina musiała tam sama przeżywać. Dopiero po fakcie to zrozumiałem. Dlatego byliśmy z mamą pewni, że targnęła się na swoje życie. Informacja od policji, że to było zabójstwo, wstrząsnęła mną. Nadal nie mogę w to uwierzyć. To brzmi jak absurd.

Nie mam pojęcia, kto to mógł zrobić. Gdybym miał zgadywać, to chyba najbardziej logiczne wydaje mi się, że ten skurwiel kogoś nasłał z zemsty, ale dlaczego akurat na Sabine? Tego zupełnie nie rozumiem. Teraz wiem, że nie do końca znałem swoją żonę. Nie wiem, czy w jakiś sposób mogła go sprokować. Od dawna mi się już z niczego nie zwierzała. Wszystko się między nami wypaliło, nawet trudno powiedzieć kiedy.

Wiem też, że to głównie mnie podejrzewają. I ludzie, i policja. Z automatu jestem pierwszym podejrzanym. Sam bym na ich miejscu siebie podejrzewał. Raz, że zazwyczaj w pierwszym rzędzie obciąża się współmałżonków, a dwa, że osobiście dałem im do ręki dobre powody. Ale – przysięgam z ręką na sercu – nie zabiłem jej. Nie mógłbym. Klóciliśmy się, ale... Naprawdę kochałem żonę. Kochałem je obie do bólu.

Kiedy Kopczyński przestał mówić, do pokoju przez uchylone drzwi zajrzała jego matka.

– Może jeszcze kawki? – zapytała przyciszonym głosem, zerkając z troską na syna, który siedział ze spuszczoną głową, pocierając czoło opuszkami palców.

Na dźwięk jej głosu się wyprostował.

– Przynieś, mamo – odpowiedział, zanim Felicja zdążyła podziękować.

Kobieta kiwnęła głową, wzięła dzbanek i zniknęła.

– Lepiej niech już idzie po tę kawę – dodał. – Przynajmniej zajmij się czymś. Martwi się o mnie.

– Trudno się dziwić.

– Tak. Matka to zawsze matka.

Tego dziennikarka już nie skomentowała. Jej matka wiecznie się o nią martwiła, ale nic z tego nigdy tak naprawdę nie wynikało. To była raczej, zdaniem Felicji, zaborcza, toksyczna troska, przypominająca

bardziej zranioną miłość własną. Córka nie spełniła jej oczekiwań. Potrzebna była rekompensata.

– Wróćmy do tematu – zaproponowała. – Czy chce pan powiedzieć, że pańska żona była chora? Miała problemy psychiczne? Leczyła się?

– Sabina? Nieee... chyba nie. Nic nie wiem, żeby chodziła do psychiatry czy innego lekarza, ale moim zdaniem miała jakiś problem.

– Słyszałam, że w którymś momencie stała się jakby... nadmiernie religijna – podchwyciła. – Tak rzeczywiście było?

Kopczyński spojrzał na nią zdumiony.

– Religijna? Nie, tak bym tego nie nazwał.

– A jak?

– Nie wiem, może... zasadnicza? Konserwatywna? Trudno powiedzieć. – Wzruszył ramionami.

– I przenosiła to na dziecko?

– Zgadza się.

Weszła pani Kopczyńska z kawą. Zamilkli, kiedy nalewała ją do filiżanek.

– Ale jedzcie ciasteczka – odezwała się drżącym głosem. – Sławciu, częstuj panią, przecież jesteś tu gospodarzem...

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do niej Felicja. – Nie trzeba, sama się poczęstowałam. Bardzo dobre herbatniki.

– Cieszę się, jedzcie, jedzcie... – Kopczyńska stanęła niezdecydowana.

– Proszę zostać i usiąść z nami – poprosiła dziennikarka, ignorując wymowne spojrzenia jej syna. – Mam jeszcze pytania do obojga państwa.

– Dobrze. – Gospodyni zajęła miejsce w rogu wersalki.

– Weź moją filiżankę, mam. Nie będę pił więcej kawy.

– Dziękuję, synku.

– A więc żeby już nie przedłużać... – podjęła Stefańska. – Czy jest możliwe, że pańska żona wpadła w jakiś towarzystwo, nowe środowisko?

Starsza pani drgnęła, co nie uszło jej uwagi.

– Nie mam pojęcia. Ale to możliwe – odparł Sławomir.

– Czy ma pan jakąś teorię, dlaczego żona nagle się zmieniła?

– Myślę, że mogło to mieć związek z tym, że Julka zaczęła dorastać. Ona temu nie podołała wychowawczo. Chciała wciąż mieć małą dziewczynkę. Jednak, oczywiście, mogło to się stać pod czymś wpływem, tego nie wykluczam.

– A co pani o tym sądzi? – Felicja zwróciła się do jego matki.

Kobieta zawahała się tylko przez moment, po czym wybuchła:

– Ona go zdradzała! Miała kochanka! Wszyscy o tym wiedzieli, tylko nie ty! – Spojrzała na syna czerwona z emocji.

– Mamo!

– Tak było!

– Kim on był, ten kochanek? – zapytała dziennikarka.

– Tego to ja już nie wiem.

– Jak to?

– Powtarzam tylko to, o czym ludzie plotkowali. Nie mówili, kto to jest. Pewnie sami tego nie wiedzieli.

– No właśnie! – wtrącił porywco Kopczyński. – Plotki! Wszyscy niby wiedzieli, ale kochanka nikt na oczy nie widział... Pięknie! Pograżasz mnie, mam, nie pomyślałaś? Podsuwasz im motywy! Teraz pomyśl, że zabiłem ją, bo miała kochanka!

Matka zakryła dłonią usta, spłoszona.

– Proszę mówić bez obaw – uspokoiła ich Felicja. – Nie jestem policjantką.

– No właśnie, synku. Przecież nasz miły gość nie jest z policji...

– A pan? – Stefańska spojrzała Kopczyńskiemu prosto w oczy. – Pan jej nie zdradzał?

Mężczyzna się zachnął.

– Nigdy – odparł z mocą, wytrzymując jej spojrzenie. – Zależało mi na żonie.

– Nawet po wyprowadzce?

– Chciałem do niej wrócić. Chciałem, żebyśmy zaczęli wszystko od nowa. Mama może zaświadczyć.

Pani Kopczyńska pokiwała głową.

– To prawda, pani redaktor. Był w niej przez cały czas zakochany jak nastolatek, nawet po kilkunastu latach małżeństwa. Nigdy by jej nie zdradził. Przysięgam na wszystko, że tak było. Nie udało ci się

życie, synku – dodała ze smutkiem. – Po śmierci wnuczki dla nas wszystkich nastąpił koniec świata.

Felicja dołąca sobie kawy, choć wcale nie miała na nią ochoty. Potrzebowała jednak chwili przerwy dla wyciszenia atmosfery.

– Jeszcze tylko o jedno chciałabym pana zapytać – odezwała się, odstawiając filiżankę na stolik. –

Pańska żona zginęła w środę wieczorem. Zgon nastąpił pomiędzy dwudziestą a dwudziestą trzecią. Gdzie pan przebywał, kiedy to się stało?

– Policja już ze mną o tym rozmawiała. Tak się składa, że byłem tutaj, w domu. Razem z mamą i naszym gościem.

– Pani to potwierdza?

– Odwiedziła nas sąsiadka – wyjaśniła Kopczyńska. – Przyniosła wino domowej roboty i posiedzieliśmy sobie razem, bo jej mąż wyjechał w trasę, jest akwizytorem, a ona nie chciała sama siedzieć w domu. Potem syn ją odprowadzał, ale to już było po jedenastej. Poprosiłam go o to, żeby sąsiadka nie szła samotnie po ciemku, nie była całkiem trzeźwa. A kiedy wracał, spotkał po drodze drugiego sąsiada, który wracał z Gdańska, i go podwiózł, i jeszcze poszli do niego na kieliszek przed snem. Denerwowałam się, bo... no, rozumie pani, syn i tak miał już problem z alkoholem.

– A ta sąsiadka...

– Nie, proszę pani. Ona jest w moim wieku! Zna syna od dziecka.

– Chciałam zapytać tylko, czy potwierdza tę wizytę.

– Oczywiście. Jak mogłaby nie potwierdzić. To też już policjanci sprawdzali. I z sąsiadem też rozmawiali.

– Dziękuję państwu. – Dziennikarka wstała. – Pożegnaj się już. Jeśli można, prosiłabym jeszcze tylko o wymianę numerów telefonów, na wszelki wypadek. I proszę się trzymać. Życie zawsze daje drugą szansę.

W drodze powrotnej musiała przejść obok przystanku i nagle dziwnie się poczuła. Rozejrzała się bacznie dookoła w obawie, że ktoś ją obserwuje. Wszystko jednak wyglądało zwyczajnie. Odgoniła od siebie te myśli w obawie, że popada w paranoję. Kiedy dotarła do swojej stacji połączonej z biurem redakcji, zdziwiła się, widząc na podjeździe samochód Grety. I rzeczywiście, Pazikowa siedziała na górze razem z Kaśką, która właśnie parzyła kawę w aneksie kuchennym. Bury oderwał się od Grety, by powitać entuzjastycznie swoją opiekunkę.

– Hej, wójcino, wpadłaś do nas z wizytą czy służbowo? – zapytała Felicja, tarmosząc sierść psa.

– Mam trochę wolnego. Spotkałam po drodze Kasię, która właśnie do ciebie szła, więc i ja wpadłam. A co, nie cieszysz się?

– Nie, no, cieszę...

– Już wyprowadziłam Burego! – Kaśka wyjrzała z kanciapy. – Usiądź. Zaprosiłam panią wójt na kawę, zaraz będzie gotowa. Dla ciebie herbata?

– Tak.

– Już się robi!

Felicja zdjęła kurtkę i włączyła komputer, sprawdzając szybko pocztę i wiadomości. Nic pilnego nie przyszło. Codzienne polityczne awanturki i wojna, do której wszyscy już przywykli, czyli standardowa groteska współczesnego świata. Żadnych ważnych maili, na szczęście.

Padła na fotel naprzeciwko Grety, z ulgą zrzucając trapery. Kaśka akurat przyniosła kawę i herbatę dla swojej szefowej, a do tego talerz kanapek, po czym razem z Burem zajęła wersalkę.

– Jak ci poszło? – zapytała.

Felicja się skrzywiła.

– Nie wiem, chyba dobrze, ale mam mieszane uczucia. Macie coś przeciwno, żebyśmy zapaliła?

– Jeśli o mnie chodzi, też chętnie zapalę. – Wzruszyła ramionami Greta. – Życie jest ciężkie. Kolejna fala wirusa, zadymy, nuklearne pogroźki i na dodatek zbrodnia w mojej gminie. Bez używek nie uniosę tego. Mam nadzieję, że mnie poczęstujesz.

– Lepiej byćście coś zjadły, a nie tylko jarały! Zaczekajcie, uchylę przynajmniej okno... – odparła z rezygnacją młodsza dziennikarka, która jako jedyna z nich była niepalącą. Nie licząc psa.

– A tobie jak? – zagadnęła ją Felicja, szukając w kieszeni papierosów. – Byłaś w końcu w tej szkole?

– Oczywiście, że byłam. Poszło okej, choć też mam mieszane uczucia...

Greta sięgnęła po kubek z kawą.

– Dobra, dziewczyno, która pierwsza opowiada? Felicja? Jak wypadł Kopczyński w twoich oczach? Stefańska obszernie streściła im swój wywiad, od czasu do czasu zerkając do ulubionego pogniecionego notatnika, w którym tradycyjnie robiła zapiski na gorąco.

Greta i Malinowska słuchały jej uważnie.

– Czyli w zasadzie wszystko się zgadza – zauważyła Pazikowa. – Ale z tym kochankiem? Może coś się tej kobiecie przysniło?

– Trudno powiedzieć. Ale jeśli ona rzeczywiście miała kochanka...

– To byłaby kluczowa informacja!

– I to zdecydowanie. To by wszystko zmieniało.

– Ale jemu wierzysz?

Stefańska się zastanowiła.

– Myślę, że raczej jest szczerzy, chociaż...

– No?

– Nie wiem. Chwilami wydawał mi się jakiś śliski. Niby kochał tę żonę, ale jednocześnie robił z niej wariatkę.

– Nie tylko on – zauważyła Greta. – Jej chyba naprawdę odbiło. Jego wersja tylko to potwierdza.

– Niby tak. – Felicja zaciągnęła się dymem. – Ale lojalny mąż nie mówi tak o żonie, którą kocha. Poza tym on się wciąż jakby usprawiedliwia. Tak cwanie, między słowami. Z jednej strony poczuwa się do winy, z drugiej tak wszystko składa, żeby było na nią. A ona się już przecież nie obroni...

– E, to ludzkie jest! – Greta machnęła ręką. – Każdy chce wypaść jak najlepiej w oczach innych ludzi. Upredziłaś się.

– Nie sądzę. Ja się tak łatwo nie upredzam.

– A może on... – zaczęła Malinowska i urwała. – Wiecie...

– Że co? Masz na myśli molestowanie? Tej córki? Nie, nie wydaje się mi. Na takiego nie wygląda. On bardziej skupiał się na żonie niż na dzieciaku. Odniosłam raczej wrażenie, że nie za bardzo interesował się małą, dopóki żyła.

– Sabina zarzucała mi brak zaangażowania w wychowanie dziecka, prawda? – dorzuciła Greta.

Felicja skinęła głową.

– Tak. To by się zgadzało. Facet wygląda mi na typowego jedynaka mamusi. Zakochanego w sobie.

– Ale ma alibi – stwierdziła Kasia.

– Niby ma, choć Artur twierdzi, że takie alibi da się podważyć. Bo kto mu je zapewnia? Matka, której miłość jest ślepa, pijana sąsiadka i sąsiad, z którym później razem pili? Miał mnóstwo czasu, żeby pojechać na osiedle i stuknąć żonę. Nietrzeźwa kobieta, ten ich gość, nawet by tego nie zarejestrowała. Ale lepiej zostawmy już to, bo na razie i tak do niczego nie dojdziemy. To czyste spekulacje. Kaśka, teraz ty opowiadaj... – Zanim dziennikarka zdążyła dokończyć zdanie, zadzwonił telefon.

– To Pałka! – Dała znać dziewczynom i odebrała. Greta zaczęła szeptem, a potem na migi pokazywać jej, że ma powiedzieć o domniemanej pogroźce z przystanku, co Felicja zbyła machnięciem dłoni. – Nie teraz! – syknęła.

Komisarz zapytał, jak się czuje, czy wszystko w porządku i zapowiedział, że wieczorem przyjedzie, żeby ją zabrać na kolację, bo akurat ma kilka wolnych godzin. Zakończyła rozmowę z błogim uśmiechem na twarzy.

– Miłość... – westchnęła teatralnie Greta.

– Idź, bo cię palnę! – parsknęła śmiechem Stefańska. – Dobra, Kaśka, co ci się udało ustalić w tej szkole?

Malinowska odłożyła nadgryzioną kanapkę na talerzyk.

– W zasadzie niewiele – odparła z namysłem. – W sumie to, czego się tam dowiedziałam, potwierdza wszystko, co już wiemy o tej dziewczynce. Ale zdziwiło mnie... – przerwała, by zebrać myśli.

– No, mów, cholera! Co to ma być, stopniowanie napięcia?! Co takiego cię zdziwiło? – Nie wytrzymała Felicja.

Właśnie to mnie zdziwiło – dziewczyna niemal zachłysnęła się kawą – że tak niewiele tego. Myślałam, że w szkole, do której ta mała chodziła od pierwszej klasy czy nawet od zerówki, dowiem się o niej więcej. Że zwłaszcza dzieciaki dobrze ją znały, że miała jakieś koleżanki, przyjaciółki, ja na przykład w podstawówce miałam ich dużo. A tu nic z tych rzeczy. Ona była tam obca. Wyobcowana. Żadna dziewczynka nie przysłała się do bliższych relacji z Julką. To nie jest dziwne? Ale od początku: najpierw oczywiście poszłam do dyrektorki. No okej, ona akurat mogła nie znać dobrze konkretnej uczennicy, uczy w najstarszych klasach, a w szkole są setki dzieci, trudno każdego kojarzyć z twarzy. Odesłała mnie do wychowawczynie. Jedyne, co wychowawczynie miała mi do powiedzenia, to było to, że Julia była dobrą i grzeczną uczennicą, nie sprawiała kłopotów. Zawsze przygotowana do lekcji, cicha, poza tym niczym się nie wyróżniała, może poza urodą, bo tę miała oryginalną. Aha, no tak, potwierdziła też, że dziewczynka wydawała jej się trochę smutna, ale uznała, że po prostu takie sprawia wrażenie, w końcu pochodziła przecież z „porządnego domu”, z tak zwanej dobrej rodziny, nie widziała więc powodów do interwencji. Nie znała jej wcześniej, nie wie, jaka była w młodszych klasach, bo uczyła ją

dopiero od piątej, czyli zaledwie rok. Poszłam więc do wcześniejszej wychowawczynie, która z kolei słabo Julkę zapamiętała. Jej zdaniem to było normalne dziecko. Odniosłam wrażenie, że była... jak niewidoczna. Gdyby nie rude włosy, w ogóle by jej chyba nie zapamiętały. Jak wspomniałam, liczyłam na dzieciaki. Wychowawczynie udostępniła mi swój kantorek, gdzie mogłam z nimi spokojnie pogadać, i wytypowała grupkę uczniów: kilka dziewczynek, dwóch chłopców. Jedna z dziewczynek siedziała z Julką w jednej ławce na polskim, ta ich wychowawczynie to właśnie polonistka, a druga na matematyce. Nauczycielki je tak usadowiły. Na innych przedmiotach dzieci siadały z kim chciały, i, jak się okazało, Julia najczęściej siedziała sama. W trakcie rozmowy dzieciaki były spięte. Nic dziwnego, zważywszy na okoliczności jej śmierci. Dla nich to musiała być trauma, choć tak, mieli godzinę wychowawczą poświęconą tej tragedii, prowadziła ją szkolna pedagog. I co się okazało? – Kasia Malinowska zrobiła znaczącą przerwę. – One nic o Julce nie potrafiły powiedzieć. Nie odwiedzały jej w domu po szkole, ani ona ich. Nie bawiły się razem. Nie rozmawiały na przerwach. Mała Kopczyńska w czasie przerw stała zazwyczaj samotnie gdzieś w kącie i czytała książkę albo patrzyła przez okno. Na pytanie, dlaczego tak było, tylko wzruszała ramionami, nie potrafiły tego wyjaśnić. Czy była dla nich niemiła? Nie, była miła. Zarozumiała? Nie. Nie była zarozumiała. W końcu jedna z tych dziewczynek bąknęła, że była trochę dziwna, ale na czym ta dziwność polegała, tego już nie wiedziała. Zauważyły też, że dziwnie się ubierała, zawsze tak, jakby szła do cioci na imieniny, a nie normalnie do szkoły. Czy próbowała nawiązać z nimi kontakt? Nie, nigdy. Uśmiechała się czasem i tyle. One też nie próbowały. Dokuczały jej? Ależ skąd. W końcu wyciągnęłam z tego wszystkiego wniosek, że Julia unikała rówieśników, nie miała wspólnego języka z koleżankami, a chłopców jakby się bała. Albo wstydziła. Może była nieśmiała, może się krepowała. Później dopadłam jeszcze parę innych dzieciaków, już na przerwie, kiedy wychodziły z klasy, tak na spontanie. Wszyscy się wymigali. Nie mieli nic do powiedzenia na temat Julki: była, nie ma, niewielka różnica. Ale co ciekawe... okazało się, że w czwartej klasie matka przeniosła ją z jednej klasy do innej. Nie wiadomo dlaczego, pani dyrektor nie pamiętała uzasadnienia. Być może tylko z powodu godzin lekcyjnych, tamta klasa była „popołudniowa”. Rozmawiałam też z dziećmi z tej poprzedniej klasy. One twierdziły, że wtedy Julka była fajna, wesoła, wysportowana, lubiła grać w piłkę, nawet z chłopakami, i była w tym dobra. Bardzo dobra. Nie gorsza od chłopców, chętnie brali ją do zespołu. Ciekawe, co? Zupełnie inny obraz wyłania się z ich relacji. Ale to były w tamtym czasie jeszcze małe dzieciaki, więc trudno się na tym oprzeć. Możliwe, że dziewczynka zmieniła się w wieku dojrzewania. Czasem tak się zdarza, ale żeby aż tak skrajnie? No i to by chyba było na tyle – zakończyła. – Teraz chyba rozumiecie, dlaczego też mam mieszane uczucia? Dla mnie to wszystko nie jest normalne.

Przez chwilę wszystkie trzy milczały. W końcu Stefańska zduśiła niedopałek w popielniczce zrobionej ze starej nakrętki.

– Nie dokuczały jej, akurat! – prychnęła.

– No właśnie, dzieciaki potrafią być okrutne. – Pokiwała głową Kasia. – Też podejrzewam, że dokuczały. Przynajmniej w tej nowej klasie.

– Ale te belferki też dobre! – włączyła się Greta. – One nie widziały powodów do interwencji. Świetny tekst! Bo co? Bo dziecko pochodziło z „dobrego domu”? A co to, do cholery, znaczy w ogóle?!

– Znaczy tyle, że nie pochodziło z tak zwanego marginesu społecznego – wyjaśniła kpiąco Felicia, wypijając duszkiem zimną herbatę.

– Idiotyzm. Znam tak zwane porządne domy i dobre rodziny będące marginesem, tyle że niewidocznym gołym okiem.

– Ależ ja się z tobą zgadzam! Mnie akurat nie musisz tego tłumaczyć. Byłam z „porządnej rodziny” i co z tego wyszło? Powiedz to tym wszystkim cholernym hipokrytom. Czego nie widać, tego nie ma. I mają spokojne sumienia.

– Jakie sumienia...

– Też racja.

– Teraz już nie ma prawdziwych pedagogów – kontynuowała z goryczą Pazikowa. – To po prostu wyrobnicy. Dzieci ich nie interesują. Liczy się tylko odfajkowanie programu.

Felicia wzruszyła ramionami.

– Nie generalizujemy, są pewnie różni nauczyciele. Ale do takiej roli ich sprowadzono. Zero autorytetu, żadnych praw, głupie wymagania, gówniane pieniądze. Czego oczekujesz? Czasy „siłaczek” dawno się skończyły...

Tymczasem Kasia Malinowska sięgnęła po niedojedzoną kanapkę, lecz już po chwili ponownie odłożyła ją na talerzyk. Zamyśliła się, w skupieniu głaszcząc Burego, który położył rudy łebek na jej kolanie.

– A jednak ostatniego dnia swojego życia urwała się z domu i poszła nad jezioro, na imprezę sportową, gdzie byli jej rówieśnicy – odezwała się w końcu, przerywając burzliwą wymianę zdań swoich zwierzchniczek. – Pytałam ich o ten dzień, ale niczego nie pamiętali, nikt się nie przyznał, że tam wtedy był. Ciekawe, czy to był tylko taki akt buntu...

– Czy raczej rozpacziwa próba nawiązania relacji z rówieśnikami poza szkołą – dodała Felicja.

– No właśnie. O tym też myślałam. Niestety, zły moment sobie wybrała. Biedne dziecko. Co za podły los! – Kasia wyglądała na poruszoną. Nie tak dawno i ona stała się ofiarą bandyckiego ataku, który ledwie przeżyła.

– Cóż – dodała Greta. – Nikt raczej nie mógł przewidzieć tego, że akurat tamtego dnia, tamtą trasą będzie przejeżdżał psychopata.

– Trzeba będzie dowiedzieć się czegoś więcej o tej imprezie, ustalić, kto tam wtedy był i co pamiętają uczestnicy. Jak zachowywała się Julka, co tam robiła, z kim rozmawiała i o czym, kiedy wyszła – wyliczała Felicja. – Biorę to na siebie.

Kasia się wyprostowała.

– Ale dlaczego, przecież ja mogę...

– Zobaczymy. Może podjedziemy tam razem, przepytamy najpierw organizatorów – ucięła Stefańska.

Greta zerknęła na zegar i zerwała się w popłochu.

– O matko, dziewczyny, muszę się zbierać! Zasiadziałam się u was, a za pięć minut mam posiedzenie rady. Już jestem spóźniona, cholera jasna...

Obie dziennikarki odprowadziły ją do samochodu, Bury też im towarzyszył.

– Ty też możesz zaraz iść do domu, Kaśka – zaproponowała Felicja, gdy auto Grety zniknęło za zakrętem uliczki. – Na dziś nic nam już chyba nie zostało do roboty. Fajrant. Świetnie się spisałaś! – dodała.

– Dzięki, szefowo. – Dziewczyna zarumieniła się z radości, ale po chwili dodała z przekornym uśmiechem: – Rozumiem, że chcesz się wyszykować na randkę. No to już pójdę, nie będę ci przeszkadzać...

Stefańska osłupiała.

– Ty, młoda! Robisz się złośliwa jak Greta. Nie pozwalaj sobie, bo cię wyłączę ze śledztwa! – Roześmiała się w końcu, przywołując psa do nogi.

* * *

Ekskluzywne, ciemne, z pozoru tylko surowe wnętrze modnej restauracji na Starym Mieście w Gdańsku oneśmielało Felicję. Nie było tu wielu gości, co nie dziwi, gdyż był powszedni dzień i pora roku nieturystyczna. Panowała niemal nabożna cisza, nawet mimo dyskretnej muzyki w tle. Przytłumione głosy, skupienie, światło świec. Dziennikarka poczuła się jak w kościele. W jakiejś surrealistycznej świątyni jedzenia.

Cóż, Palczyński uparł się, żeby tu ją przyprowadzić, choć ona wolałaby swoją pizzę. Nie opowiadała jednak, gdyż śmiała się z niej dobrotliwie, że w końcu zdziczeje na tej prowincji.

– Mnie to wcale nie przeszkadza – tłumaczyła. – Wolę zdziczeć, niż modlić się do żarcia w towarzystwie tych wszystkich snobów!

Ale skoro prosił...

Zamówili dania z eleganckiej karty, ona egzotyczną grzybową masalę, on jakieś grillowane mięso z dodatkami, do tego markowe czerwone wino wytrawne, które jej wydało się ciężkie, gorzkie i cierpkie. Chętnej napiłaby się zimnego piwa, lecz nie wypadało. Musiała jednak przyznać, że potrawy nie tylko wyglądały malowniczo: były rzeczywiście smaczne.

– No widzisz, przynajmniej raz na jakiś czas spróbujesz czegoś innego niż pizza albo chińska zupka z torebki. – Artur uśmiechnął się do niej.

– Uwielbiam pizzę – odparła przekornie.

– Wiem, ja też. Ale nie musisz szeptać.

– Muszę. Nie chcę, żeby mój głos wybrzmiał tu jak z tuby, kalając podniosły religijny nastrój tego przybytku.

Roześmiał się ciepło, pałaszując z apetytem. Felicja, wbrew sobie, również pochłaniała masalę z przyjemnością. Dania szybko zniknęły z talerzy, po kolacji zamówili na deser ciastka migdałowe.

– Męczy mnie ta twoja przygoda na przystanku. – Dopiero przy kawie Pałka wrócił do tematu poruszonego już wcześniej, w samochodzie. – Być może tylko ci się zdawało, ale nie lekceważyłbym tego. Mało to razy ci grożono?

- Sama nie wiem. Wtedy byłam pewna, że dobrze usłyszałam. Ale teraz już nie jestem – westchnęła.
- Na wszelki wypadek uważaj. Miej oczy dookoła głowy.
- Zawsze staram się mieć.
- To dobrze, kochanie.

Omówili już sprawy związane ze śledztwem. Komisarz potwierdził, że Kopczyński, jego matka oraz sąsiedzi zostali przesłuchani, zresztą jako pierwsi.

– Ryba z nimi rozmawiał. Więc, jakby co, jego pytaj. Na razie facet ma alibi, i to nawet podwójne. Chyba że zostanie podważone...

– W jaki sposób?

Policjant wzruszył ramionami.

– Mogłoby się na przykład okazać, że pijanej sąsiadce mieszają się godziny. Bo jeśli chodzi o matkę, to może go kryć.

– A ten drugi sąsiad?

– To już było po czasie. Zgarnął Kopczyńskiego po drodze, ale skąd wracał, tego przecież nie wie. Może pan Kopczyński odprowadzał tę sąsiadkę, a może wracał ze swojego osiedla, gdzie właśnie załatwił żonę. Istotne są zeznania sąsiadki.

– Nietrzeźwej.

– No właśnie.

– A co do tej małej...

Palczyński przerwał jej:

– Felu, skarbie, na razie nie komplikujmy śledztwa, wracając do tamtej historii. Pedofil siedzi za kratkami, nie wyjdzie z aresztu przed procesem, a potem zostanie skazany, w to nie wątpię, mamy dość dowodów, nawet jeśli dalej będzie kręcił w zeznaniach. Fakt, że na początku drań przyznał się do winy, też ma znaczenie. Nie odpuścimy mu. Zabójstwo Sabiny Kopczyńskiej to całkiem inna sprawa.

– Dobrze, skoro tak uważasz. – Stefańska zgodziła się, choć nie wydawała się przekonana. Jej zdaniem wszystko się tu ze sobą łączyło i było ważne. Nie skomentowała też „Feli”, ponieważ Artur był jedyłą osobą, której pozwalała na zdrobnienia. Poza tym nie chciała psuć miłego nastroju.

– Ale rozumiem, że ty, jako reporterka, dążysz do kompleksowego potraktowania tematu – dodał ugodowo. – Czy wiesz, że pięknie wyglądasz?

– Daj spokój, wyglądam jak idiotka i właśnie tak się tutaj czuję – zaprotestowała. – Jestem źle ubrana i kiepsko mi z tym. Co ja tu robię? Popatrz na baby przy tamtych stolikach, wszystkie są wieczorowo wypindrzone!

– Bzdura! – zaoponował. – Wcale tak nie uważam. Masz swój styl i dobrze ci z nim. Te baby wyglądają przy tobie jak pulardy.

Teraz ona się zaśmiała.

– Kadzisz, komisarzu...

– Ani trochę, szanowna pani redaktor. Skończyłaś ciastko, dopiłaś kawę? To wołam kelnera i zbierajmy się już!

– Gdzie ci się tak nagle spieszy? – Przyjrzała mu się zaskoczona. Zrobiło jej się ciepłej na sercu, gdy spotkała się z jego pełnym ognia spojrzeniem.

– Do mnie – oznajmił. – Chcę się tam z tobą kochać jak wariat przy dźwiękach jazzu. Mam nadzieję, że Bury ma opiekę, bo nie wypuszczę cię do białego rana...

Komisarz spał snem sprawiedliwego, kiedy Felicja – jeszcze przed świtem – wymknęła się z sypialni do kuchni, by zaparzyć kawę. Wiedziała, że kiedy Artur wstanie, usmaży jajecznicę, to był jego rytuał, którego nie odda nikomu, nawet jej. Nie porywała się więc z motyką na słońce, by na siłę szykować śniadanie. Obudziła się godzinę wcześniej i już nie mogła zasnąć, leżała, rozmyślając i rozpałając. O sobie, o nim, o nich. Kochała Palczyńskiego, zdecydowanie. Choć inaczej niż Sebastiana. To było spokojne, proste, zdrowe uczucie, bez burz emocjonalnych. Zawsze, bezwzględnie, mogła na niego liczyć. Odzyskała przy nim poczucie bezpieczeństwa: cenny, zapomniany dar. Nie czuła się już winna zdrady wobec Sebastiana. Wiedziała, że zrozumią ją i być może nawet cieszył jej szczęściem. Nie miała też poczucia, że są w łóżku we troje.

Komisarz co jakiś czas nalegał, żeby związała się z nim na stałe, miał oczywiście na myśli małżeństwo. Koniecznie chciał zalegalizować związek, mieć ją tylko dla siebie, formalnie. Na to jednak nie była jeszcze gotowa. Wciąż nosiła głęboko w sercu żalobę, już nawet nie tyle po zamordowanym kochanku, bardziej po swoich zniszczonych marzeniach. Lepiej nie kusić losu. Być może nigdy nie będzie gotowa, strach przeważa. Teraz zresztą było jej dobrze, tak jak jest. Nie musiała rezygnować z własnego życia, nawyków i dziwactw. Nie rozumiała, po co Pałce świstek papieru, co on zmienia...

Bała się jednak otwarcie z nim na ten temat rozmawiać, zapytać, wyjaśnić. Nie chciała go ranić, każdy ma inne priorytety. Może kiedyś się na to zdobędzie. Oby tylko nie oznaczało to końca ich wspólnego szczęścia. Nie, nie wolno do tego dopuścić, jeśli nie będzie innego wyjścia, ustąpi.

Ta decyzja sprawiła, że znów poczuła spokój. Ogarnęła się szybko, bo choć Artur chciał ją przed pracą odwiedzić do Kryszewa, postanowiła nie angażować go w to. Przecież czeka go kolejny ciężki dzień, nie pracuje w sklepie z zabawkami. Krakowskim targiem jeszcze wczoraj umówili się, że podrzuci ją na dworzec autobusowy, dalej już da sobie radę, to zaledwie dwadzieścia minut jazdy. Gdy w całej kuchni zapachniało świeżą kawą, komisarz pojawił się w drzwiach, rozespany i uśmiechnięty. Przytulił ją mocno i nagle wszystkie troski szlag trafił...

* * *

Wysiadła z autobusu szczęśliwa i – pomimo niewyspania – wypoczęta i zrelaksowana. Wyśpi się zaraz, w domu, Kaśka zajmie się biurem. Piękny poranek dodatkowo nastrajał ją pozytywnie do świata i ludzi.

Felicja rzadko oglądała poranki, chyba że po nieprzespanej nocy. Nigdy nie była rannym ptaszkiem. Teraz więc cieszyło ją wszystko: rześkość powietrza, barwa światła, zamglone wzgórza morenowe na horyzoncie szczerlnie pokryte lasem. Zapachy unoszące się nad jeziora, stojącej wody, suchych liści. Później, w ciągu dnia, już nie było ich czuć, chyba woń ludzi, ich ubrań i perfum skutecznie je tłumily. Powoli, spacerkiem, wspiniała się na skarpe, na swoje osiedle, gdzie pośród szeregowców, bloków i wieżowców z lat dziewięćdziesiątych stał samotnie mały domek gospodarzy z pruskim murem, otoczony starannie utrzymanym ogródkiem i niewielkim sadem na tyłach posesji. Już z oddali widziała ich dwa dorodne koty wygrzewające się na parapecie w promieniach porannego jesiennego słońca. Usłyszała też różne poszczekiwanie Burego, które zawsze rozpoznalaby wśród innych psich głosów. Przyspieszyła kroku, by jak najszybciej się z nim przywitać. Biedak, na pewno się stęsknił, dobrze, że gospodyni o nim pamiętała...

Gdy była bliżej, szczekanie stawało się radośniejsze. Bury wyczuł ją. Przez furtkę weszła na podjazd, obskakiwana przez uszczęśliwionego psa. Gdy mijala swojego vana, zobaczyła, że obok stoi radiowóz, a na ławce przed domem, obok gospodarza, siedzi Ryba. Na jej widok się poderwał.

– Jesteś nareszcie! – wykrzyknął. – Czekam tu na ciebie od dwudziestu minut, Pałka mówił, że już jedziesz.

– Bo jechałam, ale autobus miał opóźnienie. Ale dlaczego czekasz, coś się stało? – Zbudziła się w niej czujność.

– No to jo wracam do roboty – odezwał się gospodarz. – Dzień dobry, pani Felu.

– Dzień dobry... Czy może pan zabrać Burego? – poprosiła.

– Już go bierę. Chodź, piesku. Zaprowadzę cię na strych. Tam już siedzi pani Kasia. Później będziesz się witał ze swoją panią. – Mężczyzna gwizdnął.

Bury obejrzał się na Felicję, ale gdy pokiwała głową, potulnie, choć z ociąganiem, poszedł za gospodarzem.

Ryba podziękował mu i zwrócił się do Felicji:

– Iwona Kalińska popełniła samobójstwo. Jedziemy pogadać z jej mężem. Odmówił wsparcia psychologicznego. Komisarz kazał cię zabrać. Stwierdził, że obecność kobiety, nie policjantki, może być wskazana.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że jednak się nie wyśpi.

– Kalińska? – Zmarszczyła czoło. – Która to była? A, zaraz, już chyba kojarzę...

– To ta sąsiadka, przyjaciółka Sabiny Kopczyńskiej – odpowiedział jej. – Z osiedla. Byliśmy niedawno u niej, nie pamiętasz?

– Już pamiętam. Ale jak to popełniła samobójstwo? Zostawiła dzieci i tak po prostu... – Aspirat wzruszył ramionami z ponurą miną. – Kurczę, nie wierzę. Jak to zrobiła? Nie żyje? – dopytywała się. Była oszołomiona. Dzień od razu stracił dotychczasową urodę.

– Nie żyje. Nalykała się czegoś. Chodźmy. Pojedziemy moim wozem. Znaczy, radiolą. – Ujął ją pod ramię, prowadząc do radiowozu.

– Ale to na pewno nie kolejne morderstwo? – upewniła się już w aucie, zapinając pasy.

– O tym nie było mowy. – Zaczął wycofywać w stronę bramy, którą wcześniej otworzył mu gospodarz.

– Słuchaj, czyżby to ona? – Przyszło jej nagle do głowy. – To możliwe, że zamordowała przyjaciółkę i teraz zabiła się z powodu wyrzutów sumienia? Albo ze strachu, że zostanie aresztowana?

Wyjechali na stromą drogę, policjant zwolnił.

– Możliwe – przyznał. – To było pierwsze, co nam przyszło do głowy. Ale chyba jednak tak nie było – westchnął. – Ona podobno od dawna chorowała na depresję, a ostatnie wydarzenia ją dobiły...

Mężczyzna długo nie otwierał, mimo że wizyta została wcześniej uzgodniona. Już prawie zrezygnowali. W końcu jednak drzwi się uchyliły. Najpierw buchnęły z nich alkoholowe opary, dopiero później ujrzeł młodego jeszcze faceta, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak starzec. Był rozchełstany, roz-zochrony, drżący, miał przekrwione oczy, pod nimi sińce.

Smutny, ponury widok.

– A, to wy... – wymamrotał niewyraźnie. – No to wejście, skoro musicie. – Otworzył drzwi szerzej i nie oglądając się na nich, poszedł w głąb domu.

Podążyli za nim do kuchni. Panował w niej nieład, wszędzie stały butelki, brudne szklanki, kieliszki. Na krzesłach i blatach widniały plamy rozlanego płynu, zapewne wódki, sądząc po zapachu.

Kaliński padł na jedno z krzeseł. Ryba rozejrzał się, znalazł jakąś szmatę i przetarł siedziska.

– Siadaj – mruknął do Felicji.

Gdy oboje zajęli już miejsca, dziennikarka zapytała:

– Długo pan już tak pije?

– Od rana – wybełkotał. – Odkąd ją zabrali.

– Na pewno nie potrzebuję pan lekarza? – wtrącił Ryba.

– Na co mi on teraz...

Zapadła niezręczna cisza. Policjant wstał, poszukał kawy, kubków, włączył ekspres. Przy okazji zgarnął do zlewu puste kieliszki i szklanki, butelki ustawił przy śmietniku, a resztki alkoholu wylał. Mężczyzna nie protestował. W ogóle nie zareagował. Prawdopodobnie nawet tego nie zauważył.

– Jest nam bardzo przykro z powodu śmierci pańskiej żony. Niedawno z nią rozmawialiśmy – chrząknęła Stefańska. – Była przygnębiona. Od dawna?

– Od... odkąd Sabinę zabił ten chuj – odparł Kaliński. – Były przyjaciółkami, od lat. A raczej nie... wcześniej. Odkąd zginęła ta mała...

– Rozumiem. A gdzie są teraz wasze dzieci?

– U babci. U mojej matki. Za... zabrała je...

– To dobrze. – Felicja zaczekała, aż Ryba postawi przed nimi kubki z gorącą kawą. – Napije się pan z nami?

– Kawy?

– Tak.

– Ona mi nie pomoże.

– A wódka pomoże?

Zastanowił się, machnął ręką.

– Nieee... jest jeszcze gorzej. Nic nie pomoże...

– Kochał pan żonę? – zapytał Ryba.

– Była całym moim życiem... ona i... i nasze dzieciaki. – Rozplakał się. – Co... co ja teraz zrobię? Jak mam dalej żyć, do kurwy nędzy?!

Felicja podsunęła mu kawę. Była mocna i aromatyczna. Wypił.

– Życie bywa trudne, wiem coś o tym – powiedziała ze współczuciem. – Ale trzeba żyć. Pan ma dla kogo. Ma pan dzieci.

– Taaa...

– A jednak przyszliśmy do pana kogoś, kto panu pomoże przez to przejść. Jutro, dobrze? – odezwał się aspirant.

– Róbcie, co chcecie.

– Czy dzieci nie wymagają wsparcia w tej sytuacji? Chodzi mi o psychologa.

– Na co im teraz psycholog? Babcia się tym zajmie. One... jeszcze nie wiedzą, że matka je opuściła... na zawsze. Powiedzieliśmy im, że mamę zabrali do szpitala...

Ryba nie odpowiedział.

– Ale będą musiały się dowiedzieć – zauważyła Felicja.

– Wiem. Moja matka to ogarnie.

– Czy pani Iwona chorowała na depresję? – zapytała.

– Już dawno. Jeszcze na studiach. Leczyła się. Potem... tuż po urodzeniu Darii, krótko, to była depresja poporodowa. – Kaliński już po kilku łykach kawy zaczął mówić wyraźniej i przytomniej. – Później już nie, może czasem jej na chwilę wracało, ale brała leki. Dopiero od... od tamtego czasu... znowu.

– Czy do końca brała leki?

Pokiwał smutno głową.

– Wzięła je, całe opakowanie, i popiła czystą wódką.

– Kiedy to się stało?

Kaliński ponownie zaszlochtał.

– Chyba w nocy. Na... na pewno w nocy. Bo rano już... zabrali ją. Nie mogli jej uratować...

– A pan gdzie był wtedy? I dzieci?

Ryba dołął mu kawy.

– Spaliśmy, jak zawsze. Iwona często wstawała w nocy, cierpiała na bezsenność, więc byłem przyzwyczajony, nic mnie nie zaniepokoiło, nawet się nie obudziłem. Ani dzieciaki. Dopiero rano ją znalazłem... Czy wy rozumiecie, co to znaczy żyć ze świadomością, że spałeś, kiedy ktoś bliski umiera za ścianą?! Umiera, bo chce odejść, mimo że spisz za ścianą?! Ro... rozumiecie to?! – wrzasnął.

– To bardzo trudne, wiem – odezwała się Felicja, bo Ryba, najwyraźniej wstrząśnięty, milczał.

Zapadła cisza. Kaliński płakał, ale już spokojniej, łzy po cichu spływały mu po twarzy.

– Zje pan coś? – ocknął się wreszcie aspirant. – Powinien pan zjeść, zmusić się. Zrobiłbym jakieś kanapki.

O dziwo, mężczyzna skinął głową.

– Spróbuję – powiedział cicho. – Dzieci... będą mnie teraz potrzebować.

– Tak. – Ze smutkiem uśmiechnęła się do niego dziennikarka.

Wspólnymi siłami Felicja z Rybą zrobili kilka kanapek z tego, co znaleźli w lodówce: ser, szynka, pomidor. Kaliński tymczasem nadal siedział przy stole z głową wspartą na rękach i twarzą ukrytą w dłoniach. Kiedy postawili przed nim talerz, jadł jakby bezwiednie, powoli, jednak gdy się już posilił, ożywił się. Próbował wziąć się w garść, przestał płakać i się trząść. Z pewnością też w widoczny sposób wytrzeźwiał, kawa i kalorie zrobiły swoje.

– Po co przyszłście? – zapytał. – Przecież nie po to, żeby ratować, za przeproszeniem, moją dupę.

– Po to też. Ale ma pan rację, nie tylko z tego powodu. Na pewno pan rozumie, że toczy się śledztwo. Tu obecny starszy aspirant Zygmunt Ryba musi spisać pańskie zeznania. Chcemy wyjaśnić okoliczności śmierci pana żony, takie są procedury. Pan zresztą też chciałby chyba wiedzieć, dlaczego odebrała sobie życie. Badamy również sprawę zabójstwa waszej sąsiadki i przyjaciółki pana żony, Sabiny Kopczyńskiej. Bardzo możliwe, że obie te sprawy są ze sobą powiązane. – Przemawiała powoli Felicja, dbając o precyzję sformułowań, by trafić do jego skołatanego umysłu.

– Nawet nie wiedziałem, że to było zabójstwo. – Mężczyzna potarł dłońią czoło zamyślony. – To znaczy Iwona wspominała, ale nie sądziłem, że to już potwierdziliście, tak oficjalnie. Bo ja nie wątpię, że to zrobił...

– Kto?

– Jak to? Nie Sławek? – Spojrzał na Felicję zdumiony.

– Na razie jeszcze nie wiemy, kto to zrobił – włączył się Ryba. – Dlaczego pan uważa, że to Kopczyński?

Kaliński się zmieszał.

– Wydawało mi się, że... że zwykle w takich wypadkach obwinia się męża. No bo niby kto inny?

– Nikogo nie obwiniamy. Na to trzeba mieć dowody. I motyw. A jaki motyw mógł mieć pan Kopczyński, żeby zabić swoją żonę?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami Kaliński. – Klócili się ostatnio. Po śmierci córki. On się od niej wyprowadził.

– To chyba nie jest powód, by kogoś zabijać?

– Nie wiem. Nie znam się na tym. Ja tego nie kumam, nic a nic. Nie wierzę, że to się dzieje. Dla mnie to wszystko jest chore! Popierdolone! Jak jakiś, kurwa, koszar senny! – krzyczał ze łzami w oczach, najwyraźniej coś w nim pękło.

Stefańska odczekała chwilę, aż się uspokoi, po czym zaczęła ostrożnie:

– Wcześniej wspomniał pan, że żona cierpiała na bezsenność i często długo przesiadywała po nocach...

Kaliński niemal zerwał się z miejsca.

– Jeśli sugerujecie, że to moja Iwona zamordowała Sabinę, to wypierdalajcie stąd od razu! – wybuchnął.

– Proszę się uspokoić – upomniął go surowym tonem aspirant.

– Jak mam się uspokoić, do cholery, kiedy takie coś insynuujecie! Pokłócili się, to fakt, a raczej Sabina się o coś boczyła, ale Iwonka nikogo nie potrafiłaby skrzywdzić, ona nawet głupiej muchy żałowała...

– Niczego takiego nie sugerowałam – oznajmiła spokojnie Felicja. – Nie o to mi chodzi. Jednak skoro nocami nie spała, tylko siedziała w kuchni, a może przed domem, na ganku, w ogrodzie, nie-

ważne... może coś zobaczyła albo usłyszała tamtego wieczoru lub w nocy? – dokończyła, uważnie go przy tym obserwując.

Nie przewidziała się jej: drgnął, a wyraz jego twarzy się zmienił. Długo się zastanawiał, jakby bijąc się z myślami.

– Iwona wiedziała, co się stało – oświadczył w końcu.

Tym razem to Felicja niemal podskoczyła na krześle. Ryba natomiast osłupiał.

– Jak to wiedziała? Wiedziała czy widziała? – rzucił pytanie ostrym tonem, aż dziennikarka złapała go za ramię i ścisnęła. Nie chciała płoszyć Kalińskiego.

– Wiedziała – powtórzył z uporem. – Nie wiem skąd, ale wiedziała. Choć nawet mnie nie chciała nic powiedzieć. A teraz... już nie powie. – Głos znowu mu się załamał. – Może dlatego się zabiła? Nie chciała mówić, ale nie mogła z tym żyć?

– Proszę tak nie myśleć, po co rozdrapywać rany, to nic nie da. Zabiła się, bo chorowała na depresję.

– Kogoś konkretnego podejrzewała? – przerwał im bezpardonowo konwersację Ryba.

– Tak, ale nie pytajcie, kogo, bo nie mam bladego pojęcia. Byłem przekonany, że Sławka. Nie przepadała za nim, zawsze twierdziła, że to chłop bez jaj. Ale teraz już nie wiem. Namącliliście mi... Może to był ktoś z sąsiadów?! – Poderwał nagle głowę.

– Czemu tak pan uważa? – zdziwił się policjant.

– Nie uważam. Głośno myślę. Bo kto niby? Tu obcy nieczęsto się pojawiają. A Sabina mogła komuś zająć za skórę. Była trudna, a pod koniec... jeszcze bardziej – dokończył już jakby bez przekonania.

– Czy pan się kontaktuje z panem Kopczyńskim? Spotykacie się, telefonujecie do siebie?

– Ostatnio nie. – Mężczyzna pokręcił głową. – Po tej tragedii z córką oni się od nas odsunęli. Oboje. Zresztą od wszystkich. Nie mam o to pretensji. Teraz to rozumiem. – Zapatrzył się w okno.

– Ale pan niech się nie odsuwa – poradziła Felicja. – Nie warto.

– Teraz czeka mnie piekło. Formalności, urzędy, pogrzeb. To będzie najgorsze. Przerasta mnie to. Dalsze życie. Piekło...

– Najgorsze ma pan już za sobą. A z całą resztą pan sobie poradzi, jestem tego pewna.

– Ma pani rację. Dam radę. Muszę. Dla dzieciaków – przekonywał sam siebie.

– Tak.

– Zbieramy się. – Ryba podniósł się z miejsca. – Dziękujemy za pomoc. Być może jeszcze wrócimy, a jutro podjedzie do pana nasz psycholog. Pomoże panu we wszystkim, doradzi. Gdyby coś jeszcze się panu przypomniało, coś istotnego, ważnego dla śledztwa, to proszę do nas zadzwonić, na komi-sariat.

– Okej. – Kaliński skinął głową. – Zaczekajcie, wyjdę z wami. Odprowadzę was. Muszę się trochę przewietrzyć...

– Rozczuliłaś się nad nim jak nad zasmarkanym przedszkolakiem! W ogóle nie znałem cię z tej strony – wyrzucił jej Ryba już w samochodzie.

Felicja, nie pytając o pozwolenie, uchyliła okno i zapaliła papierosa. W aucie tak śmierdziało niko-tyną, że nie czuła się winna.

– Żał mi go – przyznała po chwili. – Widzisz, młody, ty tego i tak nie zrozumiesz. Ale ja już przeży-łam stratę i wiem, jak to boli.

– Sorry, Felicja, przepraszam cię, dumny bezmózg ze mnie, nie pomyślałem... – zreflektował się.

Wyjechali na główną drogę prowadzącą do centrum Kryszewa. Po obu stronach otaczały ją stare drzewa, o tej porze tworzące ponad nimi złotopomarańczowy baldachim. Również pobocza zakrywał dywan kolorowych liści. Kilka z nich sfrunęło na asfalt gnane podmuchem wywołanym przez poruszają-cy się pojazd. Było ciepło, bezwietrznie. Jednak dalej, na horyzoncie, mgliste opary przysłaniały już widok na wzgórze. Zaczynało mżyć.

– Nie musisz przeproszać, przecież się nie gniewam. Ale ten gość na serio przeżył traumę. Nie udaje. Widać, że jest w szoku, zagubiony i sam na granicy depresji. W takiej sytuacji ludziom różne rzeczy mogą przyjść do głowy – odparła.

– Czyli nie uważasz, że trochę przesadnie się egzaltował?

– Nie uważam. Po prostu puściły mu hamulce.

Ryba prowadził pewnie, ale myślał intensywnie o czymś innym niż jazda.

– Wiem, co masz na myśli. Kiedy wyszliśmy, bałem się go zostawić samego na tej drodze – zwierzył się w końcu. – Wiesz, jak powiedział, że idzie pospacerować. Oby tylko niczego nie kombinował...

– Miejmy nadzieję, że nie. Choć mnie też to w pierwszej chwili trochę zaniepokoiło. Ale nie mogliśmy go przecież siłą zaprowadzić do domu albo aresztować! Myślę, że facet naprawdę potrzebuje teraz wyciszenia i kontaktu z naturą. Nic tak nie uspokaja jak natura. Pamiętam, jak po... no, wiesz. Po śmierci Sebastiana. Uff, wypowiedziałam to... Pamiętam, że całymi godzinami włóczyłam się po lesie

i dookoła jeziora. To mi pomogło przetrwać ten najgorszy czas i nie zwariować. – Felicja zgasiła papierosa w popielniczkę, z której już się wysypywały pety. – Sprzątnij to lepiej, zanim się ktoś do ciebie przyczepi! – Zaśmiała się, by zamaskować swoje zażenowanie.

Ryba wzruszył ramionami.

– Jest popielniczka? Jest. Czyli wolno. Kto ma się czepić...

– A no tak, zapomniałam, że teraz ty jesteś szefem naszego komisariatu, panie władzo!

– Taka z nas teraz władza... – Skrzywił się.

– Ej, nie pękaj! Ty jesteś w porządku. Na szczęście Pałka też. Niech każdy odpowiada za siebie.

– Dzięki, redaktorko. Słuchaj, bo tak mnie tknęło... A jeśli to on jest winny? Ten cały Kaliński?

– Zwariowałeś, ale czego winny? Swojej żony nie zabił, zaręczam ci...

– Żony nie. Ale czy nie mógł stuknąć Kopczyńskiej? Jest sąsiadem i znali się dobrze. – Zatrzymał się na przejściu dla pieszych.

– Jaki miałby motyw? Bo była niemiła dla jego żony? Bzdura.

– Nie wiem, ludzie mają różne odchyły. Może byli kochankami? I może z tego powodu ta żona popełniła seppuku?

– Seppuku, debil, to rytualne samobójstwo przy użyciu miecza! – Stefańska popukała się w czoło.

– W kulturze japońskiej. Nie używaj słów, których znaczenia nie znasz. Poza tym spekulujecie, aspirancie. Macie pierdolca na punkcie podejrzenia każdego. Nie byli kochankami, uwierz mi. Ten biedak naprawdę jest zakochany w swojej żonie. Takie rzeczy rozpoznaję, trzeba być gruboskórnym dziadkiem, żeby tego nie zauważyć. A Kalińska popełniła samobójstwo, ponieważ cierpiała na depresję. Zwróciłam ci na to uwagę już podczas naszej rozmowy z nią, nie pamiętasz? Depresja to choroba. To się prędzej czy później tak kończy, o ile ktoś zaniedba leczenie. Miała stesy, nie poradziła sobie z nimi. Szkoda, że nikt jej w porę nie pomógł, ale ludzie mają, niestety, skłonność do lekceważenia objawów. Mnie co innego nie daje spokoju. Co ona wiedziała? Albo co zobaczyła takiego, że z jakiegoś powodu wolała tego nie zdradzać, nawet mężowi?

* * *

Usiadły z Gretą na ławce przed urzędem, w miniaturowym parku otaczającym parkingi. Jesień nadała mu feerię barw, suche liście szeleściły po stopami. Wokół nich nie było żywej duszy, jedynie jakaś zapobiegliwa kawka wydziobywała coś z ziemi, a z oddali, z placu zabaw dla dzieci, dobiegały pojedyncze piski i śmiechy.

– Tylko nie pał, proszę – zaapelowała Pazikowa. – Bo i mnie najdzie ochota, a tutaj nie mogę. Nie wypada. Urzędnicy mogą patrzeć z okien.

– Dobra, powstrzymam się – obiecała Felicja. – I co o tym wszystkim myślisz?

Już wczoraj telefonicznie zdała przyjaciółce relację. Greta była jednak na tyle przejęta kolejną tragiczną aferą w gminie, że nie mogła na gorąco zebrać myśli. Teraz też najpierw westchnęła.

– Nie wiem, co myśleć – przyznała. – Przeraza mnie to wszystko. Od wakacji nie ma spokoju, to chyba jakieś fatum...

– E tam, zaraz fatum. Po prostu ciąg zdarzeń. Nie jesteś temu winna!

– To już w sumie trzy ofiary. Nie za dużo tego jak na taką małą miejscowość w tak krótkim czasie?

Stefańska miała ochotę parsknąć śmiechem, ale się powstrzymała.

– Przykro mi, Gretko, ale dosyć szczególna jest ta wasza miejscowość. – Wstała na moment, żeby rozejrzeć się za Burem buszującym w liściach. – Przecież tutaj ciągle się coś dzieje. Powinnaś się już do tego przyzwyczaić.

– To się zaczęło, odkąd ty tutaj zamieszkałaś! – Greta oskarżycielsko wymierzyła w nią palec.

– Chcesz powiedzieć, że to ja popełniam te wszystkie morderstwa?!

– Aż tak to nie, ale może je przyciągasz...

– To już szczyt beczelności. – Felicja w końcu nie wytrzymała i się roześmiała. – Miałam redagować tu prowincjonalną gazetkę, a nie uganiać się za bandziorami. Dobra, więc w końcu co o tym sądzisz? Kojarzysz tę Kalińską?

Pani wójt w zamyśleniu pokręciła głową.

– Niestety, nie. A przynajmniej nie pamiętam jej ani jej męża. Biedna kobieta, depresja to straszna choroba. Fakt, że miała też powody. Te konflikty z sąsiadką, w dodatku przyjaciółką. Na pewno je przeżywała. Wcześniej pewnie strach o własną córkę po tym, co się przytrafiło małej Kopczyńskiej i pozostałym dziewczynkom, bądź co bądź też w naszym województwie. Dla Julki była jak ciotka, znała ją od urodzenia. No i na koniec zabójstwo przyjaciółki niemal za ścianą. To koszmar, zdrowemu trudno byłoby z tym żyć...

– To prawda. Choć ja jestem raczej gruboskórna.
– Akurat! Tylko taką udajesz.
– Dobra, pani psycholog, wystarczy już tej analizy. Jak myślisz, co mogła wiedzieć albo zauważyć ta kobieta?

Greta zapatrzyła się przed siebie.

– Może widziała mordercę? – odparła w końcu.

– To czemu nam o tym nie powiedziała? Ani swojemu mężowi, choć najwyraźniej sugerowała, że coś wie.

– Nie mam pojęcia. Mogła nie być pewna i wołała na nikogo nie rzucić podejrzeń? Albo się bała? Może ktoś jej groził? Już się tego nie dowiemy. Powiedz, co zamierzasz, bo musimy wracać do pracy. – Spojrzała wymownie na zegarek.

Dziennikarka przywołała Burego i przypięła mu smycz.

– Chcę się cofnąć do sprawy Julki Kopczyńskiej. Rozpytać w ośrodku, co się działo tamtego dnia nad jeziorem. Nie wierzę, że zabójstwo jej matki nie ma żadnego związku z tamtą historią...

* * *

Ponieważ wybierały się tego dnia do ośrodka nad jeziorem, wstała wcześniej, wyprowadziła psa i czekając na Kaśkę Malinowską, zaparzyła herbatę. Coś tam wrzuciła na ząb, jakiegoś krakersa, rano nigdy nie miała ochoty na jedzenie. Zatelefonował Palczyński, porozmawiali chwilę, dowiedziała się, że psycholog już zajął się Kalińskim, i był zdziwiony, w jak dobrej znalazł go formie po rozmowie z Felcją.

– Dobra robota, pani redaktor! – pochwalił ją. – Wiedziałem, co robię, nalegając, żebyś pojechała tam z Rybą. Wdowiec osobiście zakał ci przekazać, że go podbudowałaś. Jest ci wdzięczny, dzięki tobie stanął na nogi i zrozumiał, że trzeba żyć dalej, chociażby dla dzieci. Teraz gościu zajmie się formalnościami, nie będzie miał za wiele czasu na myślenie, a potem dopadnie go codzienność. Nasz psychol gadał też z babcią ich dzieci, ale to rozsądna kobieta, sama wie, że będą musiały dowiedzieć się o śmierci matki i że powinny mieć wtedy wsparcie. Ale to już jej zostawiamy. Podobno dziewczynka i tak się domyśla, jest starsza, więc więcej rozumie...

– Ale co takiego mogła wiedzieć świętej pamięci Kalińska o zabójstwie Kopczyńskiej? – weszła mu w słowo. – Bo on twierdzi, że wiedziała, co się tam stało, ale nie chciała o tym mówić. Uważa, że dlatego się zabiła.

– Tak, nam też o tym wspominał, ale to takie gadanie, teraz wszystko można twierdzić. Nie ma co się na tym skupiać, to tylko domysły, róbmy swoje. Wiesz, że ludzie w żalobie często mitologizują bliskich zmarłych. Być może on chce przydać tej tragedii znaczenia. Wiem, do czego zmierzasz, ale badamy też powiązania, nie obawiaj się. Ty też mnie czegoś nauczyłaś, nie zaprzeczam. Wracamy do sprawy Julii Kopczyńskiej, weryfikujemy fakty. Pogadałem z „naszym” pedofilem, ale on twierdzi, że nie znał tej kobiety, jej matki, nie ma nawet pojęcia, jak wyglądała. To nie filmowy seryjny morderca, który wybiera przyszłe ofiary i śledzi je. Te dziewczynki zginęły przypadkowo, po prostu miały pecha, bo znalazły się w złym miejscu, o niewłaściwej porze. Chyba mu wierzę, wydawał się przekonujący.

– Ale mógł kogoś nasłać.

– Teoretycznie tak, tylko po co? Rodzice pozostałych ofiar żyją.

– Nie wiem, nie pytaj mnie, mam już od tego mętlik w głowie – westchnęła zniechęcona. – Idziemy z Kaśką do ośrodka nad jeziorem. Tam, gdzie odbywała się ta impreza sportowa dla dzieci, z której Julka wyszła w swoją ostatnią drogę... Matko, jak poetycznie to zabrzmiało! Nie poznaję siebie. Ale może czegoś się tam dowiemy o tej małej, jak się zachowywała i tak dalej. – W tym momencie na dole stuknęły drzwi wejściowe, a po chwili na schodach rozległo się tupanie. – O, właśnie przyszła Kaśka, kończę, bo chcemy jeszcze przygotować pytania do wywiadu.

– To dobry pomysł – uznał nadkomisarz. – Tylko uważajcie na siebie. Ktoś stuknął tę Kopczyńską, a skoro nie wiadomo kto, to lepiej dmuchać na zimne. Pamiętaj, że już raz ktoś cię ostrzegał, choć mam nadzieję, że się przesłyszała...

Gminny ośrodek nad jeziorem, na który składała się przystań oraz hotel z restauracją i kawiarnią, od ubiegłego roku prowadzili już inni agenci, państwo Mlekwie. Małżeństwo pochodziło spoza Kryszewa. Byli w średnim wieku, mieli dwóch dorosłych synów, obaj w trakcie sezonu pracowali razem z rodzicami przy prowadzeniu ośrodka. Starszy syn zajmował się publiczną wypożyczalnią sprzętu wodnego, młodszy – świeżo upieczony student Akademii Wychowania Fizycznego i Sportu – miał już uprawnienia ratownika i pilnował kąpieliska. Poza sezonem działał tylko hotel, z którego często korzystali podróżujący biznesmeni ze względu na ceny i położenie blisko Gdańska. Z kolei miejscowi chętnie bywali w kawiarni, gdzie skupiało się weekendowe życie towarzyskie, wieczorami odbywały się dyskoteki,

w ciągu tygodnia równie chętnie wpadano tutaj na pyszną kawę z widokiem na jezioro. Tyle Felicja dowiedziała się zawczasu od Greta, ponieważ przystań – wraz z wyposażeniem – należała w całości do gminy. Współpraca urzędu z nowymi agentami układała się bez zarzutu w przeciwieństwie do poprzednich najemców, nazbyt chętnie wchodzących w konflikty z prywatnymi ośrodkami po drugiej stronie jeziora.

– Myślisz, że zastaniemy kierownictwo? – wysapała Felicja. – Bo przecież przystań jest o tej porze nieczynna?

Szły na piechotę, dlatego trochę się zmęczyły. Z biura do jeziora nie miały wprawdzie daleko, ale maszerowały szybko, by pokonać ziąb. Do tej pory ciepła, wilgotna jesień przyniosła teraz przygruntowe przymrozki. Oczywiście po młodej Malinowskiej zmęczenia prawie nie było widać, znacznie gorzej zniosła trasę Stefańska. Klęła w duchu, że nie zdecydowała się zabrać auta.

– Będą, będą! – odparła Kaśka. – Przecież sami wszystko prowadzą.

– Jak to, nikogo nie zatrudniają?

– Chyba zatrudniają, ale dorywczo, w sezonie. Zmęczylaś się? To może przysiadziemy na ławce, odpoczniemy?

– A ty masz czerwony nos – wytknęła jej Felicja. – Do ławki to chyba byśmy przymarzły. Nie troszcz się o mnie, dam radę. Zresztą zaraz będziemy na miejscu...

– Dobra, spoko, już nic nie mówię, szefowo! – Malinowska podniosła ręce na znak, że się poddaje.

I faktycznie, już po kilku minutach znalazły się w alejce prowadzącej na parking przed hotelem. Z niego rozciągał się widok na otoczone lasem, lekko zamglone jezioro z pustą przystanią. Na wodzie unosiły się stada kaczek, które jeszcze nie odleciały, a może w ogóle nie zamierzały emigrować.

– Zaczekaj, muszę złapać oddech. – Dziennikarka przytrzymała swoją asystentkę za rękaw kurtki. – Staśmy na chwilę tutaj, pod drzewkiem, ty podziwaj widoki, a ja sobie puszcze dymka.

Malinowska parsknęła.

– No to na pewno złapiesz oddech!

– A żebyś wiedziała...

W recepcji zastały panią Mlek, postawną blondynkę około pięćdziesiątki, która okazała się miłą.

– A, dzień dobry, oczywiście, spróbuję pomóc... – zafrasowała się, gdy już jej wyluszczyły swoją prośbę. – Tylko nie za bardzo mogę się stąd ruszyć. Jestem tu sama, mąż robi remont, pojechał po jakieś materiały, a starszy syn mu pomaga. Młodszego wysłałam po zaopatrzenie, powinien zaraz wrócić. Gości niby nie ma teraz za wielu, ale nigdy nie wiadomo, nie zamknę przecież hotelu...

– Nie zatrudniacie państwo żadnego personelu?

– Oszczędzamy. Staramy się sobie radzić we własnym zakresie, inaczej byśmy poszli z torbami. Takie teraz czasy nastąpiły. Ale proszę wejść za kontuar, zaraz przyniosę krzeselka. – Zniknęła na zaplecze recepcji i wyniosła stamtąd dwa zydelki. – Napijcie się panie czegoś? Mam tu czajnik elektryczny i wszystko, co trzeba, mogę zrobić herbatę albo kawę rozpuszczalną.

– Nie, nie, naprawdę dziękujemy – zaprotestowała Felicja. – Nie będziemy zawracać głowy, zależy nam tylko na informacji o tamtym dniu, kiedy zginęła dziewczynka. Podobno wtedy tu była?

Usiadły.

– Podobno tak – potwierdziła hotelarka. – Niestety słabo pamiętam ten dzień, dopiero po śmierci tego dziecka próbowałyśmy sobie przypomnieć jak najwięcej. Dla nas to był dzień jak o dzień. Zawody w pływaniu, wyścigi rowerów wodnych, wszystko pod kontrolą młodszego syna. Jest ratownikiem – dodała z dumą. – Typowy wakacyjny dzień. Ja nawet nie pamiętam, czy widziałam tę dziewczynkę, ale inne dzieciaki potwierdziły, że była i że nawet się dobrze u nas bawiła.

– A syn? Zapamiętał coś z tamtego dnia?

– Na pewno więcej ode mnie, w końcu on prowadził te zajęcia. Było kilka dziewczynek, choć przeważali chłopcy. Nie jest pewien, czy dobrze skojarzył tę małą, ale z pewnością wszystkie dzieci chętnie brały udział w zawodach...

Urwała, bo jakaś para zeszła po schodach i zostawiła w recepcji klucz. Jak widać, wciąż panowały tu staroświeckie zwyczaje, ale sam hotelik był urządzony nowoczesnie, w dobrym guście, czysty i zadbane.

– Przy takich zabawach nie jest wymagana obecność rodziców? – podjęła temat Malinowska, gdy goście już wyszli.

– Nie, to były duże dzieciaki. Już nastoletnie, same przychodzą. Ratownik jest od tego, żeby nic im się nie przydarzyło. Inaczej oczywiście byłoby z małymi dziećmi, takie jednak bywają u nas tylko z rodzicami. Syn bardzo dobrze wywiązuje się z obowiązków, lubi swoją robotę, nigdy, odpukać, nie mieliśmy jeszcze żadnego wypadku. Mąż robi za ochroniarza, ale tutaj jest spokojnie. Tylko na dyskoteki i dancingi zatrudniamy firmę z zewnątrz, bo to się odbywa wieczorami, no i zdarza się, że ktoś

sobie popije. Za dnia radzimy sobie. Żadnego zbrodźca tutaj nie było, wykluczone. Gdyby jakiś podejrzany osobnik kręcił się na naszym terenie, to miałby osobiście do czynienia z moimi synami albo z mężem, a oni, zapewniam, nie ułomki – zakończyła stanowczo.

– Czyli nikt z państwa nie zauważył, kiedy ta dziewczynka wyszła?

Kobieta się zamyśliła.

– Tego nie jestem pewna – przyznała. – Syn sobie przypominał, że jedno z dzieci opuściło ośrodek wcześniej, jeszcze przed końcem zawodów. Nawet wypytywaliśmy o to dzieciaki i one nam powiedziały, że to była właśnie ta... Julia, prawda? Podobno mama do niej dzwoniła i kazała wracać do domu. Tyle wiem, ale... O! – Wyrzała przez okno, z którego widoczny był parking. – Syn właśnie wrócił. Zaraz będziemy mogli jego zapytać.

Młody mężczyzna, który po chwili wszedł do holu, miał około dwudziestu lat i rzeczywiście był postawny: wysoki, muskularny brunet, mimo jesiennej pory opalony na brąz. Widać, że czas spędza głównie na świeżym powietrzu. Od jego matki wiedziały już, że poza sezonem uprawia sporty wodne, a trenuje tutaj, na jeziorze.

– No to mam wszystko, mamuś, rozładuję zaraz, tylko... – zaczął i przerwał, gdy zobaczył gości. – O, przepraszam. Dzień dobry – dodał, speszony.

– Synku, to są panie z urzędu gminy...

– Jesteśmy z gazety gminnej – uzupełniła informację Malinowska.

– No właśnie, panie przyszły zapytać o tamten dzień w lipcu, kiedy była tutaj ta dziewczynka, którą zabił psychopata – kontynuowała pani Mlek. – Już powiedziałam wszystko, co sobie przypominam, ale może ty pamiętasz więcej.

Chłopak oparł się łokciami o kontuar.

– Czyli jesteście z prasy. Co chciałyby panie wiedzieć? – zapytał rzeczowo.

– Felicja Stefańska – przedstawiła się. – A to moja asystentka Katarzyna Malinowska. Na potrzeby gminy piszemy reportaż o tej sprawie. Interesuje nas wszystko, co pamięta pan z tamtego dnia, oczywiście z czasu, gdy przebywała tu Julka Kopczyńska. To ta dziewczynka, która zginęła.

Młody człowiek się zastanowił.

– Tak, wiem, imię i nazwisko tej małej było przecież na ustach wszystkich. Po tym, co się stało, zapadło w pamięć. Przedtem nie kojarzyłem jej z nazwiska, tyle że u nas była nowa, chyba po raz pierwszy się pojawiła. Wcześniej tu nie przychodziła. Inne z tych dzieciaków znałem nawet po imieniu, pamiętałem z twarzy, a jej nie. Takaicha, ruda była. Zgadza się? Nieśmiała. Ale wysportowana, nieźle pływała. Mieliśmy wtedy zawody w pływaniu na czas – wyjaśnił. – Dla małaolotów od dwunastu do szesnastu lat. Ja je prowadziłem, brat wydawał sprzęt, reszty kąpieliska w tym czasie pilnował ojciec. Dzieciaki fajnie się bawiły, a ta ruda Julka wygrywała, to pamiętam. A potem zgrzyt, bo nagle oświadczyła, że musi iść. Podobno matka zadzwoniła i nakrzyzczała na nią. Kazała natychmiast wracać do domu. Szkoda mi było małej, bo aż się rozplakała. Powiedziałem, żeby przyszła innym razem, może z mamą. Ale już nie przyjdzie. – Zacisnął wargi. – Gdybym dorwał tego parszywego zboka, tobym mu na żywa jaja urwał!

– Synek!

– Dobra, mamuś... – Machnął ręką. – Wpienia mnie to za każdym razem, jak o tym myślę. No i poszła. Zawody trwały może jeszcze z godzinę, może krócej, takich szczegółów już nie pamiętam.

– No właśnie, po jakim czasie opuściły ośrodek pozostałe dzieci? – podchwyciła Stefańska.

– Tak jak mówię. Maks z godzinę później. Znaczą niektóre poszły, niektóre zostały dłużej, dziewczyny często się opalają na pomoście aż do późnego popołudnia. Zwijaliśmy wszystko we trzeci, a wtedy wpadł nagle ten jej ojciec...

– Słucham?! Ojciec Julki? Pan Kopczyński tu wtedy był? – Obie z Kaśką aż podskoczyły na taboretach.

– No, wparował jak burza. – Chłopak wzruszył ramionami. – Bardzo zdenerwowany. Szalał tu, szukał córki, wypytywał. Bo nie wróciła do domu.

Pani Mlek nagle uderzyła się otwartą dłonią w czoło.

– Zapomniałam paniom powiedzieć! – wyznała zakłopotana. – Już wcześniej, zanim ten pan tu przyjechał szukać dziewczynki, jej matka ze dwa razy wydzwaniała. Pytała, czy córka jest, czy już poszła, kazała sprawdzać...

– A jak było? Poszła? Czy jej matka dzwoniła, zanim Julka wyszła z ośrodka? – Chciała się upewnić Kasia.

– Już później, poszłam sprawdzić i syn mi powiedział, że dawno wyszła.

Chłopak przytaknął.

– Było już dawno po zawodach – wyjaśnił i dodał: – A potem ten ojciec... Szczerze? Pomyślałam wtedy, że mała uciekła z domu. Ci rodzice wyglądali mi na nadopiekuńczych, a takie maolaty tego nie lubią, buntują się. Głupio mi, bo okazało się inaczej. Że mieli swoje racje. – Pokiwała głową ze smutkiem. – Na drugi dzień przyjechała tu policja, pytali nas, czy widzieliśmy tę dziewczynkę. Bo wtedy wszyscy jeszcze myśleli, że ona tylko zaginęła...

– No i co o tym sądzisz? – zagadnęła niecierpliwie Kaśka, kiedy wyszły z terenu ośrodka. – Niespodzianka, co?

– Chodź, usiądźmy, zimno jest, ale w słońcu można wytrzymać. – Felicja wskazała ławkę na bulwarze przy jeziorze, pod szpalerem drzew. – Masz na myśli tę wizytę Kopczyńskiego na przystani? – upewniła się, gdy już usiadły, i zapaliła papierosa.

Kaśka odsunęła się od niej odrobinę i potwierdziła skinieniem głowy.

– Tak. To coś nowego! – dodała.

Stefańska zastanowiła się przez chwilę, obserwując pomarszczoną taflę wody. Leciutko wiało znad jeziora. Odpędziła ręką dym i wciągnęła nosem rześkie, wilgotne powietrze. Zdawało jej się, że czuje ledwie wyczuwalny zapach tataraku, zmieszany z wonią tytoniu. Poczowała ukłucie w sercu.

Jak dobrze znała tę mieszanekę...

– Wiesz, nie byłoby w tym nic specjalnie dziwnego, gdyby nie fakt, że Kopczyński na ten temat ani razu nawet się nie zająknął. – Wzruszyła ramionami, odpędzając na bok sentymenty. – To w końcu normalne, że wszędzie szukali córki, a tym bardziej w miejscu, gdzie wiedzieli, że na pewno wtedy była.

– No właśnie, czemu o tym nie powiedział? Zapomniał?

– Wątpię. Ale nie mam pojęcia, po cholere by to ukrywał. Wspominał, owszem, że Sabina jej szukała, wydzwaniała, gdzie się dało, no i to się zgadza. A sobie niby wyrzucał, że siedział w pracy, zamiast przyłączyć się do tych poszukiwań. – Dziennikarka po raz ostatni zaciągnęła się tytoniem, po czym zgasiła niedopałek w koszu na śmieci. – Ale to dziwny facet. Trudno go rozgrzyźć.

– Dla mnie to w każdym razie ciekawostka.

– Może uznał, że to nic takiego, o czym warto gadać. A co myślisz o tych... jak? Mlekach? – zapytała Felicja.

– Tak, Mlekach. Chyba tak się to nazwisko odmienia. Sympatyczni. Chłopak przystojny i taki dojrzaly...

– Ej, tylko się nie zakochaj w tym ciachu, za młody dla ciebie! Ty już skończyłaś studia, on dopiero zaczyna.

– No wiesz, szefowo! – oburzyła się Malinowska. – To smarkacz! Nie interesują mnie tacy faceci.

– Żartowałam. Tak się rozmarzyłaś... – Mrugnęła. – Dobra. Masz rację, miły i wydaje się odpowiedzialny jak na swój wiek. Ale to pierwsze wrażenie, nie znamy tych ludzi. Mógł przecież, teoretycznie, pójść za dziewczynką i zrobić jej krzywdę. On albo jego brat, a nawet ojciec.

– Nie mógł! – zaprzeczyła tryumfalnie Kaśka. – A raczej nie mogli. Nie mieli czasu. Po wyjściu Julki ten chłopak prowadził zajęcia, a potem wszyscy trzej sprzątali po zawodach. Chyba nie podejrzewasz, że tamten pedofil jest niewinny?! – dodała zgorzozna. – Zamordował przecież kilka dziewczynek.

Felicja uśmiechnęła się, gdy spadł na nią duży złotawy liść. Wzięła go do ręki i obejrzała pod słońce.

– Dlatego mówię o tym czysto teoretycznie – powiedziała. – Jednak zwróć uwagę, że to tylko jego słowa. Pewnie mało kto pamięta, jak faktycznie było, nikt ich przecież przez cały czas nie obserwował. Mógł skłamać.

– Pani Mlek to potwierdza...

– Matka zazwyczaj potwierdza wszystko. – Stefańska ponownie wzruszyła ramionami. – Nie podważam ustaleń policji, ten pedofil z pewnością jest winny. Ale co nam szkodzi wziąć pod uwagę inne opcje? Trzeba mieć otwarty umysł i to zweryfikować. I ty się tym zajmiesz, młoda. Odszukaj dzieciaki, które bawiły się wtedy na przystani, i wypytaj, co one zapamiętały z tamtego dnia. Masz już wprawę. Może przy okazji namierzysz też kogoś dorosłego, kto tam wtedy był.

– Dobra, czemu nie! – Kasia zdawała się zadowolona z powierzonego zadania. – Nie ma sprawy, spróbuję. A ty co zamierzasz?

– A ja jeszcze raz pogadam z panem Kopczyńskim. Zapytam go o jego sekretną wizytę w ośrodku. Dla formalności...

Z Kopczyńskim umówiła się telefonicznie przed centrum handlowym, ponieważ właśnie się tam wybierała, a Felicja miała niedaleko. Co prawda, odkąd ponownie uruchomiono sklepik w pobliżu jej osiedla, wolała w nim robić zakupy. Nie przepadała za supermarketami. Cieszyła się, że ktoś wreszcie kupił lokal, a nowa sprzedawczyni jest ciekawą osobą: była zakonnicą, która dawno temu opuściła zakon, żeby wyjść za mąż.

Pod centrum przyszła trochę w wcześniej. Czekając na Kopczyńskiego, z nudów zajrzała do kilku sklepików, po czym przysiadła na ławce, by zapalić. Nie zdążyła jednak, gdyż akurat wjechał na parking. Już z oddali rozpoznała eleganckiego szarego nissana. Podniosła się z ławki, by wyjść mu naprzeciw w obawie, że mógłby jej nie rozpoznać. Ale rozpoznał, bo po wyjściu z auta rozejrzał się i od razu ruszył w jej kierunku.

Przywitali się.

– Przepraszam, że tak w biegu, ale mama scedowała na mnie zakupy. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Uśmiech mu jednak nie za bardzo wyszedł, bardziej przypominał bolesny grymas. – Tak się umówiliśmy, ona gotuje dla nas obojga, ja zajmuję się zaopatrzeniem i pracami przy domu. To chyba sprawiedliwe...

– Pewnie! – przyznała beztrasko, by dodać mu otuchy. – Też bym chciała, żeby ktoś dla mnie gotował. Z zakupami jakoś sobie lepiej radzę. Ma pan fajną mamę. Moja rzadko kiedy gotuje, rodzice lubią jeść w restauracji albo zamawiają gotowe dania.

– Też dobrze. To co, wchodzimy?

Zawahała się. W zasadzie po co miałyby pchać się w ten tłum i kolejki do kasy. Miała tylko parę rzeczy do kupienia, z powodzeniem załatwi to w swoim sklepiku. A w markecie trudno rozmawiać.

– A może porozmawiajmy tutaj? – zaproponowała. – Usiądźmy na ławce, to nam zajmie dosłownie chwilę. Mam tylko jedno pytanie. Potem pójdę w stronę dalej, a pan spokojnie odbębni swoje sprawunki. Dobrze?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Oczywiście – zgodził się. – Myślałem, że pani też ma do zrobienia zakupy.

– Mam, ale wolę małe sklepy. Nie lubię ścisłości i hałasu. Za dużo nie kupuję, bo nie gotuję, pewnie mam to po matce. – Wzruszyła ramionami.

– W porządku...

Zajęli tę samą ławkę, na której wcześniej siedziała Felicja.

– Więc słucham panią. Czyżby policja miała coś nowego w sprawie mojej żony? – zapytał z nadzieją.

– Niestety. – Dziennikarka rozłożyła ręce. – Nic mi na ten temat nie wiadomo. Wiem tylko, że przez cały czas nad tym pracują. My ze swojej strony staramy się pomagać w śledztwie, na ile możemy, w związku z tym mam pytanie. Nic ważnego, uzupełniające – uspokoiła go, widząc napięcie na jego twarzy. – Przypadkiem dowiedziałam się, że w dniu śmierci pańskiej córki był pan jednak w ośrodku...

Kopczyński zastygł, a jego wymizerowane oblicze spurpurowiało.

– Mówiła pani, że pytanie ma dotyczyć śmierci mojej żony! – wybuchł. – A tymczasem po raz kolejny wraca pani do sprawy naszej Julki. Jaki to ma związek?!

– Nie wiem dokładnie jaki, ale być może ma. Moim zdaniem ma. Nie rozdzielamy tych spraw.

– Policja rozdziela!

– Ale ja nie jestem policja. Robię reportaż, badam sprawę na polecenie gminy i patrzę na to całościowo. W krótkim odstępie czasu zginęły pańska córka i żona. Próbuje to wszystko ogarnąć, wykluczyć to, co jest bez znaczenia. Pan tego nie rozumie?

Wciąż był zdenerwowany.

– Rozumiem. – Lekko ściszył głos, ponieważ ludzie na nich spoglądali. – Pani mnie po prostu podejrzała. Tak jak inni.

– Jacy inni?

– No... – Wzruszył ramionami. – Wszyscy.

– Ja z pewnością nie należę do „wszystkich”. Nikogo nie podejrzewam, tylko pytam o to, co jest dla mnie niejasne. Więc jak, odpowie mi pan, czy powinnam tworzyć własne scenariusze?

Kopczyński odwrócił się do niej bokiem nadąsany. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. Ponieważ nie zapytał o zgodę, zrobiła to samo.

– Niech już będzie. Rzeczywiście wolę uniknąć waszych chorych scenariuszy – odezwał się w końcu z irytacją. – To zresztą taka bzdura, że nie rozumiem, po co to jeszcze w ogóle wałkować!

– Więc dlaczego wcześniej pan o tym fakcie nie wspomniał? – weszła mu w słowo. – Choć poza tym bardzo szczegółowo pan wszystko opowiedział?

– Bo, do diabła, nie pamiętałem już o tym! Zapomniałem! Nie wydawało mi się to zresztą istotne. Nie jest oczywiste, że szukaliśmy córki?!

– Powoli, proszę pana. To już kilka różnych odpowiedzi, ale zostawmy już tę kwestię. Jest drugorzędna. Rozumiem, że pan potwierdza swoją wizytę tamtego dnia na przystani. Jak ona przebiegła? – Felicja westchnęła, kontemplując ostatnie już jesienne kwiaty w imitujących marmur donicach, żeby nie wpatrywać się w niego jak sęp.

Facet założył nogę na nogę i wrzucił peta do kosza. Niestety nie trafił. Nadal naburmuszony odparł:

– Normalnie. Sabina do mnie wydzwaniwała, była bardzo zdenerwowana. Mówiła, że dzwoni wszędzie i nikt nie wie, gdzie jest mała, ale że na pewno była wcześniej na przystani. I że od tamtego czasu nie odbiera telefonu. W końcu postanowiłem wracać. Przyznaję, byłem trochę zły i na żonę, i na córkę. Jednak w najgorszych snach nie przewidziałbym tego, co się stało. Myślałem, że Julia znowu pokazuje swoją niezależność. Ale sam też zaczynałem się denerwować. Nigdy się nie zdarzyło, żeby zamilkła na tyle godzin. Po drodze mijalem tę przystań, więc niewiele myśląc, zajechałem tam...

– I co pan zrobił?

– A co miałem robić? – Kopczyński wzruszył ramionami. – Wypytywałem o nią. Tam był taki młody osiłek w koszulce ratownika. Podobno mieli jakieś zawody. Ale on niewiele mi potrafił pomóc, powiedział tylko, że wszystkie dzieciaki już dawno poszły do domu, a moja córka, o ile to w ogóle była ona, wyszła jako pierwsza. Okazało się potem, że to Sabina kazała jej wracać. Pogadaliśmy krótko z tym ratownikiem, no i tyle. – Ponownie wzruszył ramionami. – Z przystani pojechałem prosto do domu, po czym zadzwoniłem na policję. Przyjęli zgłoszenie. Nic więcej nie mam do dodania.

– Tylko pan rozmawiał? A ja słyszałem, że raczej się pan awanturował? Okej, okej, ja pana rozumiem! – Zamachała rękami, gdy zobaczyła, że znów niebezpiecznie spurpurowiał. – Był pan przecież zdenerwowany. W takiej sytuacji to nic dziwnego... – Pomyślała, że chłop łatwo daje się ponosić nerwom, ale tego już nie powiedziała na głos.

– Nie mam zwyczaju się awanturować – oświadczył z godnością. – Miałem pretensje o to, że nawet nie byli pewni, o której Julka wyszła z ośrodka i czy była wtedy sama. Być może lekko podniosłem głos, ulegając panice. Nie pamiętam już tego dokładnie, byłem w szoku. Działalem pod wpływem emocji!

– Rozumiem.

– Gównu pani rozumie! Nikt nie może zrozumieć, kto tego nie przeżył!

– Rozumiem. Proszę mi wierzyć.

– Ten chłoptaş mi się zresztą nie podobał – dodał po chwili ze zmarszczonym czołem. – Taki opalony, pewny siebie casanova.

– To bez znaczenia. Morderca siedzi.

– Choć powinien wisieć – uzupełnił wściekłym tonem. – A co do chłoptasia, nie to miałem na myśli, ale uważam, że jest za młody na tak odpowiedzialną fuchę, zbyt beztroski, pusty. Może gdyby zamiast niego był tam ktoś starszy, bardziej doświadczony...

– To co? Nie doszłoby do tragedii? – Pokręciła głową z powątpiewaniem. – To przecież bez sensu.

– Może dopilnowałby, żeby dzieci nie wracały same do domów?

– To akurat nie jego sprawa. Od tego są rodzice – odpowiedziała stanowczo. – Ale dziękuję, panie Sławomirze. Przynajmniej wyjaśniliśmy sobie wszystko do końca. Może pan już iść na zakupy, do widzenia.

Burknął coś w odpowiedzi i nie oglądając się, skierował się do wejścia do supermarketu. Jego krok był chwiejny i ociężały, jak u starca.

Felicja tymczasem wolnym krokiem udała się w drogę powrotną. Minęła skrzyżowanie i podeszła jeszcze kilka kroków w górę ulicy. Sklepik znajdował się w pawilonie nieopodal okazałego budynku kościoła, przypominającego betonową twierdzę, oraz równie okazałej plebanii. Został niedawno wyremontowany, świecił więc nowością, zachował jednak charakter dawnego prowincjonalnego magazynu z „mydłem i powidłem”, co akurat bardzo pasowało dziennikarce. Lubiła te klimaty. Teraz zwał się Pod Kopułą, choć żadnej kopuły tam nie było. Chyba że właścicielka jest fanką Stephena Kinga, pomyślała z rozbowieniem. Mogłaby w to z łatwością uwierzyć. Mniej więcej sześćdziesięcioletnia była zakonnica prezentowała się dość surowo, nawet ponuro, chyba nigdy się w naturalny sposób nie uśmiechała. Felicja wyobrażała ją sobie w zakonnym habicie i welonie, choć wiedziała z miejscowych plotek, że kobieta pozostaje raczej w opozycji do instytucji Kościoła. Podobno nieźle jej tam w swoim czasie dokopano. Sklep jednak prowadziła perfekcyjnie, no i wreszcie bez wystających po kątach całymi dniami pijaczków, jak to zazwyczaj bywało za poprzedniej sklepowej. Teraz nie sprzedawano tutaj żadnego alkoholu.

Weszła po schodkach do środka, przed nią w ogonku ustawiło się już kilka osób, jakaś starsza para i matka z dwojgiem dzieci. Obsługa szła sprawnie, właścicielka zawsze sama stała za ladą, jej mąż tylko

wziął towar. Gdy w końcu nadeszła kolej Felicji, sklepik akurat chwilowo opustoszał.

– Dzień dobry, co podać? – padło rutynowe pytanie.

– Poproszę chrupkie pieczywo, naturalny jogurt, duży, cztery zielone jabłka i papierosy – wyrecytowała szybko.

– Te same, co zawsze?

– Tak, dziękuję.

Sprzedawczyni nigdy nie komentowała niczego, nie doradzała, powstrzymywała się od uwag. Skupiona, kompetentna i tajemnicza, tak ją postrzegała Stefańska. I za to ją nawet polubiła, chyba zresztą z wzajemnością, gdyż na jej widok zwykle chmurne oblicze sklepowej ożywiał jakby cień uśmiechu. Teraz też szybko i sprawnie zapakowała zakupy do papierowej torby i przyjęła należność.

Dziennikarka pożegnała się i szła już do drzwi, gdy usłyszała za plecami ciche słowa:

– Pani redaktor, niech pani wróci...

Felicja poczuła ciarki na plecach, ponieważ ten głos – a raczej szept – jego barwa, coś jej przypominał. Niechętnie wróciła do lady.

– Tak, słucham? Czyżbym czegoś zapomniała? – Z wysiłkiem siłiła się na pogodny, bez troski ton, jednocześnie z niepokojem obserwując drzwi. Ogarnął ją absurdalny lęk, że nagle zostaną zamknięte, zatrzaskane, zablokowane, że odetną ją od świata.

– Czekalam na panią. Proszę się nie obawiać, chcę tylko pomóc. – Sklepowa nie patrzyła na nią, jej rozbiegany wzrok lustrował widok z okna wychodzącego na ulicę.

– Ale... w czym?

– Pani zajmuje się sprawą tych zabójstw. – Głos kobiety znów brzmiał rzeczowo. – Dziecka i jego matki, prawda?

Stefańska znieruchomiała.

– Tak – odparła ostrożnie. – To prawda. Czy... pani coś na ten temat wie?

– Nie, tego nie mogę powiedzieć. – Kobieta spojrzała jej wreszcie prosto w oczy. – Nie wiem, kto je zabił. Mam tylko radę dla pani: proszę zbadać przeszłość starej szkoły tu, w Kryszewie. – Zamilkła.

– Starej szkoły? Ruin, gdzie znaleziono ciało dziewczynki?

– Tak.

– Ale co to ma wspólnego z...

– To pani głowa w tym, by wyciągać wnioski. I proszę nikomu się z tego nie zwierzać. Nikomu, ani księdzu, ani policjantowi, ani koleżankom. Na wszelki wypadek. I tak by nie zrozumieli.

Oszołomiona Felicja stała z torbą pod pachą, usiłując pozbyć się dziwnego wrażenia nierealności, jakie ją nagle ogarnęło.

– To pani ostrzegała mnie kilka dni temu? – domyśliła się.

Kobieta milczała, przypatrując jej się znacząco. Nie zaprzeczyła, ale też nie potwierdziła. Błada twarz bez makijażu oraz wysoko upięty szpakowaty kok, osłonięty białą przepaską ekspedientki, sprawiał, że zdawała się nie z tej epoki.

– Ale... – zaczęła dziennikarka, jednak w tym momencie przy drzwiach rozległ się gong towarzyszący wejściu do środka kolejnych klientów, więc zamilkła.

– Dziękuję za zakupy w moim sklepie, zapraszam ponownie – wyrecytowała sprzedawczyni z cieniem uśmiechu na ustach, który nagle wydał się Felicji ironiczny.

– Dziękuję, do widzenia – odparła skonsternowana i z ulgą wyszła, wręcz wybiegła na świeże powietrze z zimnego mroku, niczym z grobowca, na złote jesienne słońce.

* * *

– Daj spokój, Felicita, to pewnie jakaś wariatka! – odparł Palczyński z mieszaniną irytacji i rozbawienia. – Kobieta po przejściach, i to jakich... Nie zamierzasz chyba potraktować tego poważnie?

– Nie wiem.

Felicja – po namyśle – postanowiła zastosować się do polecenia, by z nikim na ten temat nie rozmawiać. Konsekwentnie milczała więc wobec Kaśki, Ryby, nawet Grety, o księdzu nawet nie wspominając, bo co ona miała wspólnego z księdzem? Kompletnie nic. Nie rozumiała, po co sprzedawczyni w ogóle go wymieniła. Bez sensu. Jednak Palczyński to co innego. To jej facet. Najbliższy człowiek, a do tego nadkomisarz oficjalnie prowadzący sprawę. Nie mogła niczego przed nim ukrywać, do tego się zobowiązała. Pod tym warunkiem on jej ufa, pozwala działać, a nawet pomaga. Musiała mu powiedzieć. Musiała KOMUŚ powiedzieć!

Teraz jednak zaczynała tego żałować.

– Przeستاń. – Jakby machnął ręką lekceważąco. Nie mogła tego widzieć, rozmawiali przez telefon, ale знаła dobrze jego reakcje. – Babka ma nierówno pod sufitem, tworzy sobie jakieś sensacje. Co ma historia ruin szkoły z tym, że pedofil tam ukrył ciało ofiary? Przecież on nawet nie jest stąd, tylko tędy przejeżdżał, szlag by go, a miejsce wybrał przypadkowo, akurat łatwo tam schować cokolwiek. Słuchasz mnie w ogóle?

– Tak. Nie wiem, Artur. Szczerze mówiąc, nie sprawiała wrażenia nawiedzanej histeryczki. Przeciwnie, była cholernie konkretna. Moim zdaniem ona coś wie, ale nie chce tego zdradzić. Ostrzegła mnie, jestem pewna, że to ona. Może nie bez powodu? Sama z siebie nic więcej nie powie, jednak coś miała na myśli. Coś sugerowała, rozumiesz? Po to, żeby to ja do tego doszła.

– Jeśli coś wie, to ma obowiązek przekazać to policji. Nie wolno ukrywać faktów na temat przestępstwa ani dowodów zbrodni.

– A udowodnisz jej, że ukrywa? Niby jak? To tylko słowo przeciwko słowu, interpretacja dowolna. Wyprze się wszystkiego i na dodatek będzie miała rację! – Felicja nie wytrzymała, musiała dać upust nerwom.

Usłyszała, jak Palczyński wzdycha.

– Może i masz rację. – Zmiękł. – Zapomniałem, że powinienem polegać na twojej intuicji. Wobec tego zrób, jak ci mówiła. Sprawdź to. Nie zaszkodzi. Tylko nie szwendaj się sama po tych ruinach, to może być niebezpieczne, strop się zawali albo coś...

– Albo poluzowana cegła spadnie mi na głowę, albo zarwie się pode mną posadzka i wpadnę w jakąś dziurę... – wymieniała ironicznie.

– Nie żartuj sobie z tego! To może się zdarzyć całkiem na serio, te zgłiszcza w ogóle nie są zabezpieczone, bo zostały przeznaczone do rozbioru. Tam nawet nie wolno wchodzić, wisi tablica „wstęp wzbroniony”.

– Uspokój się, będę uważać – obiecała. – Ale nie mogę nie iść tam sama, skoro nie powinnam nikomu się z tego zwierzać. Obejrzę je pobieżnie, z zewnątrz. Skoro mam poznać historię tego budynku, to raczej będę jej szukać w bibliotece, a nie w gruzach. Archeolożką nie jestem.

– Słusznie. – Odetchnął z ulgą komisarz. – A jakby co, weź Rybę. Przecież nie musisz wtajemniczać go we wszystko, wystarczy wspomnieć, że chcesz obejrzeć miejsce, w którym znaleziono ciało dziewczynki. Jego nawet to nie zdziwi. Najchętniej sam bym z tobą poszedł, ale w najbliższych dniach nie dam rady. Nie urwę się prędko.

– Masz rację – zgodziła się. – Zresztą sama się dziwię, że do tej pory jeszcze tam nie trafiłam. Jakoś mi umknęło to miejsce, choć prawie codziennie przejeżdżam obok niego. Pewnie dlatego, że za dużo się dzieje...

Stara szkoła mieściła się nieopodal centrum handlowego. Trzeba było zejść nieco w dół, w stronę lasów. Prowadząca do niej droga – najpierw brukowana – pod koniec zmieniała się w ubity trakt. Przed laty, gdy szkoła pełniła jeszcze swoją funkcję, było do niej podobno inne dojście, od strony ulicy. Teraz jednak cały teren został zamknięty i odgradzony ze względów bezpieczeństwa. Wszędzie wisiały porysowane tablice zakazujące wstępu na teren rumowiska. Nie przeszkażdało to uczniom, którzy często przychodzili tam na wagary, a także miejscowym pijaczkom oraz bezdomnym – ci urządzali pokoje lub meliny w dawnych salach klasowych i w piwnicach. W całości ostała się jedynie metalowa brama z czasów pierwszego właściciela, z wykutymi znakami masonskimi. W tej chwili, wyobcowana z otoczenia, sprawiała wrażenie raczej upiorne. Ogrodzenie już dawno temu zostało sforsowane i w kilku miejscach się rozpadało. Greta mówiła, że gmina wkrótce zajmie się wyburzeniem pozostałości po budynkach szkolnych wraz z internatem, czeka tylko na fundusze. W tym miejscu zbudują coś nowego, może bloki mieszkalne. Gdy Felicja pytała, czy nie lepiej było zainwestować i odbudować zabytkowe obiekty, pani wójt przyznała niechętnie, że w ostatnich latach sprawa została zaniedbana. Jeszcze nie tak dawno budynki nadawały się do remontu, jednak żadna z poprzednich ekip nie miała ochoty się tym zająć. Podejmowano próby wynajęcia czy wdzierżawienia obiektu w zamian za remont, lecz nie znalazł się chętny. Owszem, ktoś chciał go kiedyś kupić na hotel, jednak władze gminne wołały nie pozbywać się doskonalej lokalizacji. Posesja należała do wyjątkowo atrakcyjnych, była ogromna, położona zarówno blisko centrum miasteczka, jak i w pobliżu terenów rekreacyjnych. I tak powoli zabytek, pochodzący ponoć z osiemnastego wieku, marniał, zapadał się w sobie, rozsypywał się na kawałki. Obecnie rzeczywiście nadawał się już tylko do rozbiórki.

Felicja minęła supermarket i powędrowała w kierunku lasu, przeszła obok wejścia na szlak turystyczny, po czym skręciła wąską ścieżką w prawo. I oto nagle znalazła się pod płótem ogrodzającym teren dawnej szkoły. Od razu znalazła w nim dziurę, przez którą przecisnęła się nie bez trudu, by wyjść na zarosnięty suchym zielskiem plac, będący zapewne terenem dawnego boiska. Ujrzała ciemne odrapane mury szczerzące się upiornie na tle chmurnego nieba niczym trupie czaszki i piszczelce. Musiała jednak przyznać, że nadal robiły wrażenie rozmiarami. Nie, nie była to skromna wiejska szkołka, choć słyszała, że funkcje dydaktyczne budynek zaczął pełnić dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku. Wcześniej mieściło się w nim coś innego, ale Felicja nie pamiętała, co się tu znajdowało...

Obiecując sobie nadrobienie zaległości, podążyła ku zabudowaniom. Po drodze spłoszyła jakieś ptactwo, które na jej widok całym stadem poderwało się gwałtownie do lotu. Krzyk ptaków i trzopot skrzydeł o mało nie doprowadził jej do zawału. Po chwili dotarła do ceglanej ruiny z częściowo zawalonym dachem. Z duszą na ramieniu zajrzała do środka przez otwory będące niegdyś – być może – drzwiami i oknami. Poczula zapach wilgoci, stęchlizny i odchodów.

Nagle wyczuła jakiś ruch za plecami i obejrzała się raptownie: przez plac, do dziury w płócie, biegła jakaś para dzieciaków. Zapewne uciekały przed nią. W tym samym niemal momencie z nadkruszzonego muru z głośnym trzaskiem posypały się kawałki starego tynku, spadła obluźowana cegła.

Cudem nie trafiła jej w głowę.

„Nie, nie odważę się wejść tam sama, Pałka miał rację” – pomyślała z bijącym sercem, po czym z mocnym postanowieniem ściągnięcia tutaj Ryby, jak niepyszna zdecydowała się na odwrót. Najpierw jednak postanowiła przejść się do biblioteki, gdzie bibliotekarki z całą pewnością znajdą jej wszelkie możliwe opracowania na temat historii tego miejsca, jakby żywcem wyjętego z horroru...

– Ryba, pójdziesz ze mną do starej szkoły? – zapytała, przytrzymując telefon łokciem, gdyż jednocześnie przypalała sobie papierosa w drodze do biblioteki, zanim w niej utknie godzinę czy dwie.

– Co? Ocipiałaś? Znowu miałbym zakuwać?

– Nie do szkoły, głupku, choć przydałoby ci się, tylko do starej szkoły w Kryszewie, do tych waszych ruin!

– Aaa... – Wyraźnie odetchnął. – A po cholere?

– Tak sobie. Chcę ją zobaczyć.

Ryba parsknął.

– Znowu będziesz się wczuwać? Łapać aurę czy jakoś tak, co? – Chichotał, ale po chwili spoważniał. – No fakt, tam znaleźli ciało tej dziewczynki. Wiesz, to okropne miejsce. Choć pamiętam je z dzieciństwa. Wtedy jeszcze wyglądało lepiej.

– Chyba nie masz cykora, aspirancie? – odparła zaczepnie.

– Nie rozumiem, czemu ciągle nie doceniasz mojego stopnia i wykształcenia! – oburzył się komicznie. – Z aspirantem sztabowym gadasz. Szefem komisariatu. Po szkole policyjnej. Starym wyżartym psem. Cykora, ja?

– Dobra, dobra! – Felicja zaciągnęła się dymem. – Już nie rozczulaj się tak nad sobą, młody. Chodź-leś tam jeszcze do budy?

– Skąd! Ja jestem młody – dodał znacząco. – Dla mnie to już legenda. Jeszcze mnie nie było na świecie, kiedy została zamknięta. Moi starsi się w niej uczyli. Ale pamiętam ją, jak jeszcze stała w całości. To był nawet ładny budynek. Szkoda go.

– No, zamrowali – przytaknęła. – Żal, ale to typowe u nas. Łatwiej olać, niż zadbać. Ale ja nie o tym. Wiesz, od jak dawna nie było tam szkoły?

– Chyba zamknęli ją jakoś w latach osiemdziesiątych. Dokładnie to nie wiem.

– Okej, muszę to sprawdzić. Twoja żona jest teraz w bibliotece?

– Justynka? – zapytał, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że ma żonę i dziecko. – Nie, dziś ma wolne, została z małą. To dzień pani Iwony.

– Też dobrze. – Nawet się ucieszyła, dawno nie widziała się z kierowniczką biblioteki. – To jak, pójdziesz ze mną do tej ruiny?

– Ale kiedy?

– Nie wiem jeszcze, na dniach. Dam ci znać. Najpierw zapoznam się z teorią, dlatego teraz zasuвам do biblioteki. Czyli pójdziesz?

– No przecież, że pójdę. Ciągłe o tym myślę, rozumiesz, że gdyby coś takiego spotkało moją córkę... załkłbym tę gnidę gołymi rękami. Więc badaj tę aurę, może uwolnisz jakąś energię, która dotrze do skurwysyna i... no wiesz.

– Wiem – odparła poważnie. – Dzięki, Rybko.

– Pani rzecznik znowu u nas! – Ucieszyła się kierowniczka biblioteki. – Jak się domyślam, coś się szykuje. Mam rację?

– Miło panią znowu widzieć, pani Iwono. Bywałam tu, ale zastawałam tylko Justynę. Długo pani nie było. Tak, znowu przychodzę po pomoc i radę...

– Byłam na zaległym urlopie, cóż, czasem trzeba odpocząć. Bardzo dobrze, że pani przyszła, od tego jesteśmy. Zawsze coś nowego, urozmaicenie w naszej dość monotonnej pracy, choć jest ona moją pasją. – Rozesmiała się bibliotekarka, demonstrując dołeczki w okrągłych policzkach. – Mam nadzieję, że będę w stanie pomóc. Zatem w czym problem, pani Felicjo?

Rozmawiały w głównej sali wypożyczalni książek. Oprócz pani Iwony, krzątała się tu również młoda praktykantka.

– Szukam materiałów na temat starej szkoły w Kryszewie. Tego zrujnowanego budynku przy ulicy Kolejowej.

– Ale chodzi o dane dotyczące funkcjonowania szkoły? – zainteresowała się kierowniczka. – Bo tutaj ich nie mamy, być może przechowują je w nowej szkole, a przynajmniej wiedzą, gdzie ich szukać, w jakim archiwum...

– Chodzi mi raczej o historię tego budynku – wyjaśniła szybko Felicja. – Bo z tego, co wiem, miał swoje lata i w przeszłości nie zawsze pełnił funkcję szkoły?

Bibliotekarka pokiwała głową.

– Zgadza się – przyznała. – To rzeczywiście stary budynek. Nie znam dokładnie jego historii, nigdy się tym aż tak szczegółowo nie interesowałam, ale szkoła powstała tam raczej na pewno dopiero po drugiej wojnie światowej. Wie pani, że obecnie jest przeznaczony do rozbiórki?

– Tak, wiem. Niestety.

– No właśnie. Szkoda go, bo to był ważny lokalny zabytek, jednak już nie nadawał się do remontu. Byli chętni inwestorzy, ale, cóż... znacznie wcześniej. Słyszałam, że gmina chce tam zbudować coś w tym samym stylu, dla zachowania pamięci. Lepsze to, niż nic. Teraz zresztą nikt tu już tego budynku za bardzo nie żałuje.

– Dlaczego? – zdumiała się Felicja.

Bibliotekarka wyglądała na zakłopotaną.

– Pani nie wie, co tam się stało? – zapytała. – Znalaziono zwłoki dziecka. Ofiary brutalnego morderstwa.

– Pani Iwono, tak, wiem o tym, i właśnie w związku z tą sprawą szukam informacji – ściszyła głos Stefańska.

– Że też się od razu nie domyśliłam! – Pokręciła głową. – Byłam przekonana, że chodzi o tę rozbiórkę. A powiem pani, że różne pogłoski krążą w gminie na temat tej szkoły. Konkretnie tych zabudo-

wań. Nie wiem, ile w nich prawdy, ale podobno dawno temu należały do masona, zachowały się nawet masońskie znaki na bramie i w podziemiach.

– Naprawdę?! Byłam tam, ale nie zwróciłam uwagi...

– Tak słyszałam. Pani Felicjo, przejdźmy może do czytelnia? Jest pusta, będziemy tam miały spokój. Zostawię tu praktykantkę i pomogę pani z tymi materiałami. Aż mnie samą to teraz zaciekawiło!

– Pewnie, będę wdzięczna – odparła dziennikarka.

Kierowniczka wydała dyspozycje praktykantce, po czym udały się do sali obok, w której mieściła się czytelnia. Pani Iwona starannie zamknęła drzwi.

– Na początek niech pani przejrzy stare roczniki naszej gazety. – Podała jej grubą oprawioną księgę.

– Szkołę zamknięto bodajże w osiemdziesiątym piątym roku. Może napisano tam coś o historii budynku. A ja w tym czasie zaparzę dla nas kawy...

HISTORIA BUDYNKU „STAREJ SZKOŁY” W KRYSZEWIE. NOTATKA

Początki zabudowań sięgają dziewiętnastego wieku, a być może już wcześniej znajdował się w tym miejscu – dziś przy ulicy Kolejowej – budynek mieszkalny. Z całą pewnością na początku wieku dwudziestego stał tutaj dworek/pałacyk wraz z młynem, oba należące do starej gdańskiej lub pomorskiej rodziny kupieckiej: Holzrichterów. Źródła odnotowują, że w 1903 roku teren ten był własnością Petera Holzrichtera, który oprócz młyna posiadał także kuźnicę (czyli rodzaj dawnej huty) żelaza. Holzrichter był bogatym i wpływowym człowiekiem, a także masonem. Na bramie budynku starej szkoły do dziś widnieje tablica z czasów, gdy pełnił on funkcję młyna. Znajdują się na niej znaki i symbole masońskie. Ponoć w podziemiach budynku mieściły się komnaty masonów, gdzie odprawiano wolnomularskie rytuały i obrzędy. Według okolicznych mieszkańców były to czarne msze, w których czczono szatana i składano mu w ofierze dzieci. Te pogłoski są żywe wśród mieszkańców gminy do dziś. Młyn wraz z dworem Holzrichterów funkcjonował w tym miejscu mniej więcej do 1930 roku. Gdy pojawiła się konkurencja (od około 1912 roku inny przedsiębiorca zbudował drugi młyn przemysłowy, zdaje się, że jego właścicielami byli: H. Kuschel i H. Winkel posiadający również cegielnię), Holzrichter zdecydował się sprzedać posiadłość, być może na skutek bankructwa. W każdym razie w 1930 roku przejęła ją dawna Stocznia Królewska w Gdańsku (później Stocznia Cesarska, następnie w latach międzywojennych: Danziger Werft und Eisenwerkstätten Aktiengesellschaft, czyli Międzynarodowe Towarzystwo Budowy Statków i Maszyn Spółka Akcyjna, dla Polaków po prostu Stocznia Gdańska). Wówczas powstały tam hotel, restauracja oraz sanatorium dla pracowników stoczni, a także drugie sanatorium, prawdopodobnie ogólnodostępne – dla chorych na gruźlicę. Nie wszystkim wiadomo, że Danziger Werft produkowała u-booty oraz okręty wojenne. Być może wiele projektów otarło się o to miejsce.

I choć w tamtych latach (aż do wojny) było to ludne i często odwiedzane miejsce, zła sława obiektu nie przeminęła, a może nawet z powodów politycznych w niektórych środowiskach się nasiliła. Podobno nadal w podziemiach głównego budynku spotykali się gdańscy masoni, by odprawiać tu swoje tajne obrzędy. Niewykluczone też, że zarządzający ówczesnie stocznia również należeli do loży masońskiej.

Pod koniec wojny budynki zostały opuszczone i częściowo zniszczone w trakcie walk o „wyzwolenie” Gdańska. Szkołę postanowiono założyć zaraz po ustaniu działań wojennych w 1945 roku. Rozpoczęto od prac remontowych, by przywrócić budynkom dawny wygląd oraz przystosować je do nowych zadań. Korzystały z niej nie tylko rodzenni polscy uczniowie, ale także niemieckojęzyczne dzieci autochtonów, pełniła więc również funkcję polonizacyjną. Położona w malowniczej okolicy szkoła działała w tym miejscu aż do 1985 roku, kiedy została przeniesiona do nowoczesnego budynku, gdzie mieści się do dziś.

„Stara szkoła” (lub „czerwona szkoła” od barwy cegły) od tego czasu zaczęła popadać w ruinę. Próby dzierżawy lub sprzedaży obiektu w latach dziewięćdziesiątych i wczesnych dwutysięcznych się nie powiodły. Przez jakiś czas wynajmowano tu sale na pomieszczenia magazynowe, nikt jednak nie zadbał należycie o remont budynków. Możliwe, że o losach obiektu zadecydowała jego zła sława. Nawet w czasie, gdy działała w nim szkoła, plotkowano o tajemniczych zjawiskach w podziemiach czy piwnicach budynku. Miejscowi uważali, że w starej szkole straszy, inni upierali się, że nadal służy ona masonom. Gdy w okolicy ginęły dzieci, plotki się nasilały. Aż w końcu budynek ostatecznie opustoszał. Kiedy zaczął grozić zawaleniem, w urzędzie gminy podjęto decyzję o jego rozbiórce. Część mieszkańców przyjęła ją z ulgą.

– No więc właśnie, czyli jednak dobrze słyszałam! – zatrzymowała bibliotekarka. – O tych masonach. Powiem pani, że nie chciało mi się tego sprawdzać, machnęłam ręką. Wydawało mi się to zwykłą bajką. Ale ludzie wiedzą, co mówią...

– Pamięć zbiorowa, pani Iwonko. – Felicja tym razem z chęcią sięgnęła po kubek z kawą. Była podkscytowana, potrzebowała jakichś „rytualnych” czynności, a zapalić tu przecież nie mogła.

– Chyba tak, choć przecież większość dawnych mieszkańców stąd wysiedlono. Albo sami wyjechali. Było tu jednak dużo Niemców.

– To bez znaczenia. Część została. Historia trwa, nawet tępiona, prędzej czy później ujrzy światło dzienne. Zawsze wraca. – Zamyśliła się dziennikarka.

Pani Iwona pokiwała głową.

– To prawda – zgodziła się. – I całe szczęście, i niech to nareszcie zrozumiej ci, którzy nią manipulują. Ale wie pani, Felicjo, to jeszcze nie wszystko, co usłyszałam na temat tej starej szkoły. Mnie się rzeczywiście obiły o uszy plotki, że w tym starym budynku straszy. Albo że odbywają się tam nadal jakieś czarne msze czy coś w tym rodzaju.

– Może specjalnie rozpuszczano te plotki, żeby zniechęcić ludzi do wchodzenia na teren ruin, skoro grożą zawaleniem?

– Nie, to chyba nie tylko to, choć wydawałoby się logiczne. – Uśmiechnęła się kierowniczką. – Miejscowi chyba naprawdę boją się tego miejsca. Pani to się kojarzyło ze zbiorową histerią, i to od dawna. A teraz sobie myślę, że może coś w tym jest?

– Ma pani na myśli wypadek tej dziewczynki, którą znaleźli tam latem? – domyśliła się Stefańska.

– Właśnie...

– Ale to już wiadomo, że zabił ją seryjny morderca i podrzucił zwłoki na teren rumowiska. Nawet nie do końca wiadomo, czy ona tam została zabita, czy tylko przeniesiona.

– Przypadkiem? Akurat tam?

Felicja nie wiedziała, co odpowiedzieć. Rzeczywiście, jeśli się nad tym zastanowić, wydawało się to dziwne, zwłaszcza że nie wierzyła w przypadki czy zbiegi okoliczności.

– Przyznaję, że też tego nie rozumiem – odparła w końcu.

– Ten zbrojeniec podobno był fanatykiem religijnym – ciągnęła bibliotekarka. – Tak tutaj mówią. Może...

– Chyba nie sugeruje pani, że jest masonem?

– A czemu nie? – Pani Iwona sięgnęła po kawę. – Jeśli założyć, że o tych masonach to prawda?

Felicja się zamyśliła. Przypomniała jej się enigmatyczne ostrzeżenie demonicznej sklepowej. Czula, że wkracza na niebezpieczne tory, jednak nie mogła przymknąć na nie oka...

– Takiego wątku nie brałam pod uwagę. A to by mogło tłumaczyć, dlaczego zginęła też jej matka. Tej małej – zauważyła.

– O tym nawet nie pomyślałam, ale tak, ma pani rację! Wtedy wszystko nabiera zupełnie innego znaczenia – przyznała bibliotekarka. – To dobry trop, tak czuję, warto się nim zająć, a kto, jak nie pani?

– Nie wiem, gdzie szukać, pani Iwono – przyznała Felicja bezradnie. Czula się zagubiona wśród tak wielu znaków zapytania.

– U źródła. – Kierowniczką się nie wahała. – Czyli tam, gdzie rodzi się fanatyzm religijny. Bo do masonów i tak pani sama nie trafi. O ile w ogóle istnieją...

* * *

Postanowiła najpierw przycisnąć byłą zakonnice, która ewidentnie coś wiedziała, lecz sklepik był już zamknięty. Musi wrócić tutaj nazajutrz. Krążąc po centrum Kryszewa – to tu, to tam – próbowała podpytywać ludzi, oczywiście znajome twarze, nikt jednak nie chciał za bardzo na ten temat z nią rozmawiać. Zbywali ją, wymigiwali się brakiem czasu, pośpiechem, niewiedzą. Generalnie wydawali się zadowoleni z tego, że stary zrujnowany budynek zostanie wkrótce zburzony, przestanie stanowić zagrożenie dla dzieci, przyciągać pijaków, narkomanów i zbrojenców. I tak nikt inny już tam nie chodzi, rudera niczemu nie służy, tylko straszy wyglądem. Fakt znalezienia ciała dziecka w tym miejscu mocno wstrząsnął mieszkańcami gminy. Co prawda kilka osób z nostalgią wspominało szkolne lata, ale – jak twierdziły – historii budynku dzieci wtedy nie znały, nikt ich tego nie uczył, a skoro i tak już się sypie, lepiej, żeby powstało tam coś nowego.

Felicja zadzwoniła do Grety, aby upewnić się, że przyjaciółka jest w domu. Umówiły się u niej za kwadrans. W drodze odebrała telefon od Kaśki, która przepyttywała dzieciaki z pobytu nad jeziorem feralnego dnia.

– No i wszystko się potwierdza! – oznajmiła z ulgą. – Wydobyłam z nich, ile się dało. Było tak, jak mówił ten chłopak. Dzieci pamiętają, że Julka wyszła wcześniej, a przedtem kłóciła się z mamą przez telefon. Potem trwały konkursy sportowe i wtedy wszyscy za obsługi ośrodka byli na miejscu, bo też uczestniczyli w zabawie. Rozmawiałam też z mamą jednej z dziewczynek i ona mi powiedziała dokładnie to samo. Kiedy po południu przyszła po córkę, impreza właśnie się kończyła i ratownik był obecny, wszystko wyglądało normalnie. Afera wybuchła dopiero pod wieczór.

– To było do przewidzenia, ale dobrze, że się potwierdziło – westchnęła Stefańska. – Za to ja mam zagwozdkę...

– A co się stało? – zainteresowała się Malinowska.

– Nic, ale dowiedziałam się dziwnych rzeczy związanych z budynkiem starej szkoły, wiesz, tam, gdzie znaleźli Julkę.

– Aha, chyba wiem, co masz na myśli. O starej szkole nasłuchiłam się od dzieciństwa. Zawsze się jej bałam.

– Nic na ten temat nie mówiłaś – odparła Felicja z wyrzutem.

– Bo po co? Nie wierzyłam w te wszystkie plotki, uważałam je za bzdury, wymysły, legendy miejskie.

– Ale się bałaś!

– Miałam to zakodowane od dziecka. Tak jak pewnie ty miałaś z jakąś czarną wołą, czy co to tam było to auto, co niby porywało dzieci. My mieliśmy starą szkołę. Ale sama przyznasz, że te ruiny nie wyglądają zbyt przyjemnie.

– No nie, to prawda. – Wzdrygnęła się na wspomnienie, które w tej chwili kojarzyło jej się z horrorem.

– Wracasz do biura? – zapytała Malinowska.

– Jeszcze nie, posiedź z pół godziny i zamykaj. Wpadnę jeszcze do Grety. Chciałabym się z nią narażić, w końcu to ona jest szefową. Poza tym Greta chyba kończyła podstawówkę w tym budynku.

– Okej, właśnie dopisuję ostatnie wiadomości z gminy. Wyprowadzę Burego i może wracając, do was dołączę. – Pożegnały się, a Felicja zaczęła wspinać się na wzniesienie, na którym stało luksusowe osiedle Pazików. Malinowscy mieszkali kilka domów dalej.

– Chcesz kawy? Albo herbaty? – Greta miała włosy spięte w kucyk i różowy dres, w którym wyglądała niczym królowa.

Stefańska czuła się przy niej jak zmokła kura. Fakt, że kiedy wchodziła na wzgórze, zaczęło padać. W końcu to jesień.

– Nie, mam dość kawy, a herbatę najlepiej lubię wtedy, kiedy ją sobie sama zaparzę – odparła z lekkim fochem. – Napiłabym się piwa. Masz?

– Pewnie, że mam. To znaczy Przemek ma zawsze w lodówce co najmniej kilka butelek w wypadku. Jakie chcesz: ciemne, jasne? Bo ja się nie znam, wolę wino.

– Pokaż!

Wybrała jasne czeskie, Greta z lekkim wahaniem sięgnęła po ciemne i wyjęła z szafki wysokie szklanki. Usiadły w kąciu kuchennym, gdzie – popijając zimne piwo małymi łykami – Felicja zrelacjonowała jej wszystko, co ją spotkało w ostatnim czasie, a co było związane ze śledztwem, konsekwentnie pomijając epizod w sklepie.

– Cholera, nie podoba mi się to. – Pazikowa zmarszczyła brwi.

– A co tu jest do podobania? – Felicja wzruszyła ramionami. – Cała ta historia raczej mrozi krew w żyłach. Wyjątkowo paskudna, bo w grę wchodzi dziecko, a raczej dzieci. Nienawidzę zбочeńców, pedofilów podwójnie.

– I o to mi właśnie chodzi. Że sprowadzasz to do sprawy tego pedofila, a miałaś się skupić na zabójstwie Sabiny Kopczyńskiej.

– Gadasz jak Pałka! – zniercierpliwiła się Stefańska. – Uświadomcie sobie wreszcie oboje, że tych spraw nie da się rozdzielić. Nie wierzę w przypadki, dobrze o tym wiesz. Najpierw ginie córka, dwa miesiące po niej matka, a potem jeszcze przyjaciółka matki...

– To zupełnie co innego. Przypominam ci, że ta przyjaciółka popełniła samobójstwo!

– Przypadkiem? – parsknęła Felicja.

– Nie, pewnie nie przypadkiem. Ale wkręcasz się w coś zbyt dużego dla nas. A teraz jeszcze ta stara szkoła. Przeraża mnie to, nie rozumiesz?

– Ciebie też? Stara szkoła cię przeraża? W jakim sensie, jako miejsce?

Greta dołała sobie piwa, bo poprzednie dopiła duszkiem.

– Samo miejsce też, ale nie tylko – odezwała się w końcu. – Bardziej chyba te wszystkie makabryczne pogłoski z nim związane. I ciało małej Julki tam znalezione. Jacys fanatycy, masoni, w których

nie wierzę, ale...

– No, dawaj! Co za „ale”?

– Też o tym słyszałam. A jeśli coś w tym jest?! – Pani wójt wyglądała na wystraszoną.

– Chodziłaś tam do budy?

– Pewnie. – Teraz Greta wzruszyła ramionami. – Innej szkoły tu wtedy nie było. Ale nie tam to usłyszałam, tylko znacznie później, od ludzi. Przed uczniami te sprawy ukrywano. Szkoła jak szkoła, niektóre rzeczy całkiem miło wspominam. Nawet szkoda mi było, że trzeba będzie ją burzyć... – przerwała na dźwięk dzwonka u drzwi. – Kogo licha niesie?

– To pewnie Kaśka. Miała zamknąć biuro i po drodze wpaść do ciebie. Musimy się naradzić, wójcino, nie ma lekko.

Greta wstała otworzyć drzwi. Felicja skorzystała z okazji, żeby rozsiaść się wygodniej, z nogami na krześle Grety. Czuła się wypompowana, choć bardziej psychicznie niż fizycznie. Jasna, nowoczesna, sterylna kuchnia Pazików zawsze ją relaksowała. Usłyszała głosy z holu, a po chwili obie z Malinowską pojawiły się w aneksie.

– Sio z kopytami z mojego krzesła! – Pogoniła ją przyjaciółka. – Masz całe ubłocone! Gdzieś ty chodzisz? Dać ci laczki?

– Byłam w tej waszej starej szkole. – Dziennikarka niechętnie zdjęła stopy z siedziska. – Daj szmatę, przetrę. Nie chcę żadnych laczków, co to za okropny wyraz w ogóle!

– A idź, sama wytrę... Kasiu, siadaj, weź sobie krzesło z salonu. Też chcesz piwa? – zawołała za nią.

– No pewnie, jak wy, to i ja! – Młoda wróciła z taborettem.

– Ciemnego?

– Może być. Coś straciłam?

– Wszystko wiesz – odparła Felicja. – Teraz myślcie, co dalej z tym fantem. Gretka, wracając do tematu, ty nam opowiesz wszystko, co wiesz o tej szkole. Co sama pamiętasz i co ci potem opowiadano. Czuję, że ona odgrywa tu jakąś rolę, tylko jeszcze nie wiemy, jaką...

Greta bezceremonialnie padła na krzesło.

– Nie rozumiem, czego ty ode mnie wymagasz! – nadąsała się. – Przecież powiedziałam, że o niczym takim nie było mowy, kiedy chodziłam do szkoły. To była normalna podstawówka, za moich czasów osiem klas, całkiem niezły poziom nauczania, potem poszłam do ogólniaka, już w Gdańsku. Nie odstawałam. Mieliśmy dobrych nauczycieli, wielu zapaleńców, pasjonatów, pedagogów, którym zależało. Szkoła była odremontowana, czysta, zadbana, czuliśmy się tam bezpiecznie. Fakt, że potem zaczęły się problemy, na dalsze remonty brakowało kasy, więc już tylko latano dziury. Szkoła pociągnęła jeszcze równo dziesięć lat, odkąd ją ukończyłam, w tym czasie postawiono duży budynek, gdzie została przeniesiona i gdzie się nadal mieści. Chyba dopiero wtedy zaczęły się te pogłoski o starej szkole. Aaa, nie... sorry, właśnie sobie przypomniałam, że dzieciaki wcześniej coś tam wygadywały, jeszcze za moich czasów. Widocznie usłyszały od rodziców, pewnie autochtonów, tylko oni mogli od wojny pamiętać te plotki. Ale nikt nie traktował tego serio! Nawet te dzieciaki, które chciały straszyć innych. Przecież dzieci wiecznie coś wymyślają, a to, że jakaś upiorna tarka poluje na dzieci i ściera im plecy do żywego mięsa, a to czarna wołga, no różne bzdury...

– Ale co konkretnie gadały? Przypominasz sobie?

– No, niedokładnie. – Pazikowa wzruszyła ramionami. – Że nocami w tych piwnicach straszny, duchy albo potwory, były różne wersje, coś lub ktoś porywa dzieci i je zabija...

– Na ołtarzu – uzupełniła Malinowska. – Ja tak słyszałam od mojej mamy. Oczywiście ona też się z tego śmiała.

– Tak, masz rację! – Greta się ożywiła. – Było coś o ołtarzu i picciu krwi dzieci. Brr, masakra! Tych piwnic się baliśmy. W części mieściły się szatnie, takie echo w nich krążyło, na co dzień się o tym nie myślało, ale jak człowiek akurat znalazł się tam sam, to trząśł gaciami. Jednak to się rzadko zdarzało, szatni na co dzień pilnowała woźna lub woźny. Dalej, na niższe poziomy, nas nie wpuszczano, były tam jakieś magazyny, skład węgla i tylko personel miał tam dostęp. To niby tam mieszkaly potwory. Kiedyś dwóch chłopaków z naszej klasy próbowało się tam zapuścić, ale ostatecznie przyłapał ich woźny, i oberwali po uszach. Była afera, pamiętam. Na tym się chyba skończyły próby eksploracji. Kiedy się z tych sensacji zwierzyłam rodzicom, wyśmiali mnie, a ja im wierzyłam, więc przestałam się przejmować. Potem, już w starszych klasach, inne rzeczy nam były w głowach, a jeszcze później się o tym wszystkim zapomniało. I dopiero kilka lat temu okazało się, że te bajki znowu ożyły. – Wzruszyła ramionami. – Moim zdaniem wtedy, kiedy szkoła opustoszała i zaczęła popadać w ruinę. Miejscowi wygadywali niestworzone rzeczy, coś o czcicielach szatana, rytualnych mordach, satanistach, czarnych mszach, masonach...

– Też ci o tym mówiłam, Felicja! – potwierdziła Kaśka. – Robiłam kiedyś o tym program, jeszcze w liceum, kiedy prowadziliśmy młodzieżową telewizję. Ale raczej żartobliwy. Na Halloween.

– Zostały ci po tym jakieś nagrania? – zaciekała się Stefańska.

– Możliwe, sprawdzę. Ale nie wiem, czy jeszcze dałoby się to odtworzyć.

– Okej, mimo wszystko poszukaj.

– Jasne.

Dziennikarki zamilkły, Greta poszła po kolejne butelki piwa, otworzyła je i postawiła na kuchennym blacie.

– To co mamy teraz robić, wójcino? – odezwała się kpiąco Felicja. – Mamy olać te pogłoski czy potraktować je serio? Teraz, kiedy faktycznie znaleziono na terenie szkoły ciało dziecka?

– A morderca ma opinię fanatyka religijnego – wsparła ją lojalnie asystentka. – On nie tylko gwałcił te dziewczynki, on je torturował. Nawet w gazetach pisali, że te morderstwa wyglądały na mordy rytualne.

– Jezu, dajcie mi spokój! Nie wiem! – Pazikowa z ciężkim westchnieniem schowała twarz w dłoniach. – A co uważa Artur?

– Szydzi z tego.

– No nie...

– Właśnie tak. Policja tamtą sprawę zamknęła, winny siedzi, teraz pracują nad zabójstwem Sabiny Kopczyńskiej. Oczywiście Pańka twierdzi, że wszystko kontrolują, ale wiem, że mają swoje hipotezy i ten wątek ignorują. Dobrze chociaż, że pozwolił mi obejrzeć ruiny w towarzystwie Ryby. Umówię się z nim w tygodniu.

– Idę z wami! – Kaśce zabłyśły oczy.

– Zobaczymy – uciąła Stefańska, podchwyciwszy porozumiewawcze spojrzenie Greta, która nalegała, by w miarę możliwości trzymać dziewczynę z dala od dochodzenia w terenie, zwłaszcza gdy teren niepewny.

– Na twoim miejscu pogadałabym z księdzem... – podsunęła Greta. – Choć wiem, że za sobą nie przepadacie.

– Po cholere?

– Skoro mowa o obrzędach, czarnych mszach, być może też jakichś sektach, to on powinien przynajmniej coś słyszeć na ten temat. To mi się wydaje logiczne. Może wiedzieć więcej od innych.

– Może masz rację. Zastanowię się nad tym. A co myślisz o nowej sklepowej? – podchwyciła Felicja.

– O Teresie? Tej ze sklepiku po Renacie?

– No, o tej. Słyszałam, że to była zakonnica, która odeszła z Kościoła. To prawda czy też tylko wymysły?

– Święta prawda. Teresa Gut, po mężu, rzuciła zakon dla chłopca, fakt znany tu wszystkim od lat. Ale ty chyba nie sądzisz, że to masonka i współniczka mordercy?

– Nie sądzę, ale mimo wszystko też sobie z nią pogadam – powiedziała po to, żeby mieć pretekst do wprowadzenia sklepowej do gry.

* * *

Postanowiła najpierw udać się ponownie do sklepu i przycisnąć zakonnice. Była zakonnice. Nawet specjalnie nie potrzebowała szukać pretekstu: zawsze są jakieś zakupy do zrobienia. Musiała tylko zaczekać na moment, kiedy w sklepie nie będzie klientów. Rano, tak do południa, było ich zwykle pełno. Drugi rzut nastąpił po godzinie piętnastej, kiedy ludzie wracali po pracy do domów, a trzeci tuż przed zamknięciem sklepu, czyli około osiemnastej. Felicja zdecydowała się wbić pomiędzy te ramy czasowe i okazało się, że trafiła w dziesiątkę. W godzinach pomiędzy pierwszą a drugą po południu sklepik świecił pustkami. Sklepowa nudziła się za ladą, wertując gazetę. Na widok dziennikarki bez śladu emocji podniosła się z krzesła.

– Dzień dobry. – Z kamienną twarzą odpowiedziała na powitanie. – Co podać?

– Chleb razowy, sok z czerwonej pomarańczy, dwa pomidory, dwa jogurty naturalne, serek topiony i fajki. Te same, co zawsze – zaznaczyła Felicja.

– Proszę.

Czekała w milczeniu, gdy pani Teresa pakowała zakupy do papierowej torby. Dopiero po zaplaceniu zagadnęła:

– Byłam w starej szkole i sprawdziłam jej historię, tak jak pani radziła...

– I co? – odparła obojętnie ekspedientka, jednak Felicja wychwyciła jej bystre spojrzenie prosto w oczy. Trwało ułamek sekundy, po czym na ustach kobiety wykwitł lekko kpiący uśmiech.

– To bardzo ciekawa historia – kontynuowała Stefańska. – Tylko trudno powiedzieć, co jest w niej prawdą, a co fikcją.

Była zakonnica wzruszyła ramionami. Nie odpowiedziała, jakby zachęcając klientkę do pytań.

Felicja zapytała zatem wprost:

– Chodziło pani o masonów? Oni istnieli naprawdę?

Sklepowa rzuciła okiem na ulicę, po czym nachyliła się ku dziennikarce.

– Istnieli, a może istnieją. – Ściszyła głos do szeptu, który w uszach Felicji zabrzmiał nieco upiornie.

– Mają coś wspólnego z zabójstwem dziewczynki i jej matki? – Kuła żelazo, póki gorące.

W odpowiedzi Teresa Gut tylko uśmiechnęła się nieco szerzej, odsłaniając duże, lekko żółte, lecz nad wyraz zdrowe zęby.

– Rozumiem. – Reporterka nie zamierzała rezygnować. – Pani uważa, że tak...

– Ja nic nie „uważam”, proszę pani.

– Czyli pani nie uważa, tylko wie. Czy mówiła pani o tym policji?

Kobieta spochmurniała.

– Proszę już iść – powiedziała ostro. – Zakupy skończone.

– Przepraszam, jeszcze chwilką. Nie chciałam urazić. Ja pani absolutnie nie grozę, usiłuję tylko dociec, co w tym wszystkim jest ważne i co wcześniej mogliśmy przeoczyć. – Felicja zareagowała szybko. – Co mogła przeoczyć policja. Czuję, że powinnam zainteresować się tymi masonami. Tak zrobię. A czemu... – Zamilkła, bo sklepikarka ostentacyjnie wróciła do gazety.

Jednak, gdy cisza się utrzymywała, a klientka nie wychodziła, kobieta odezwała się, tym razem niemal ugodowo:

– Czemu co? Ja słucham.

– Czemu wspomniała pani księdza?

– Jego pani zapyta – burknęła sklepowa. – Oni przecież wszystko wiedzą. Nic im nie umknie, są jak mafia.

– Ale wcześniej ostrzegęła mnie pani...

– Dziewczyno – zniecierpliwiła się kobieta. – Widzę, że pani z tych niebojących się. Nie odstąpi pani. Zatem proszę działać dla sprawiedliwości. Pomodliłabym się za panią, gdybym jeszcze umiała się modlić. Bóg już nas nie słucha.

Felicja pożegnała się i szła już do drzwi, kiedy sklepowa zawołała ją do lady. Okazało się, że zamierzała wyjść bez torby z zakupami.

– Zapomniała pani, po co tu przysłała? – Była zakonnica wpiła w nią wzrok. Jej spojrzenie i słowa wydały się dziennikarce znaczące.

– O, nie! – zawołała ze śmiechem, by ją uspokoić. – Ale ze mnie gapa! Nie zapomniałam, tylko tak nam się miło rozmawiało, że...

– Proszę uważać. – Pokiwała głową ekspedientka. – Zapraszam ponownie do naszego sklepu. Do widzenia.

– Do widzenia. Dziękuję.

Gdy wyszła na ulicę, odetchnęła. Dziwnie było znaleźć się na powrót w środku białego dnia, pośród szumu samochodów oraz normalnych, niczego nieświadomych ludzi, którzy biegli przed siebie w pogoni za własnymi sprawami. Była już połowa jesieni, niebo stalowosine, przydrożne drzewa prawie zrzuciły liście, które szeleściły teraz pod stopami. Zaczynało mżyć. Felicja szła zamyślona w stronę przejścia dla pieszych, gdy nagle dostrzegła znajomą sylwetkę. Wysoki, szczupły mężczyzna podążał w przeciwnym kierunku. Wyglądał, jakby mu się spieszyło. Na głowę narzucił kaptur, nie rozglądał się na boki. Sławek Kopczyński. Zwolniła, a gdy zszedł z pasów na chodnik, odprowadziła go wzrokiem. Minął przystanek i kościół, kierował się w stronę cmentarza.

Uświadomiła sobie, że to początek listopada: niedawno minęły święta upamiętniające zmarłych, których ona nie celebrowała. Nie chodziła nawet na grób Sebastiana. To by bolało, a nie czuła, że on tam jest. Gdzie indziej go szukała: tam, gdzie często przebywali razem, gdzie byli szczęśliwi. Cmentarz był ostatnim miejscem, w którym czułaby jego obecność.

Lecz widocznie Kopczyński jest innego zdania, bo z pewnością właśnie zmierza na groby córki i żony... Zaraz, chwila! Żony? Jeszcze chyba nie było pogrzebu, bo coś by już przecież na ten temat słyszała.

Niewiele myśląc, poszła za nim. Rzeczywiście, zniknął za cmentarną bramą. Przystanąła za drzewem, nie chciała ostentacyjnie tam wchodzić i śledzić faceta. Zaczeka. Widziała go jeszcze przez chwilę w głównej alei, po czym skręcił gdzieś w bok. Zapaliła papierosa i skryła się głębiej pod gałę-

ziami, bo zaczęło mocniej padać. Po mniej więcej piętnastu minutach, gdy już nieco zmarzła, ujrzała go ponownie w alejce. Tym razem nie był sam, pod ramię prowadził zapłakaną kobietę w ciemnej, pikowanej kurtce z ortalionu, która tłumaczyła mu coś, wycierając oczy chusteczką. Felicja domyśliła się, że to pani Kopczyńska, jego matka. Wyszła spod drzew, kiedy już znaleźli się pod bramą, udając, że zmierza na cmentarz. Może to mało eleganckie, ale bardzo ciekawiły ją ich emocje, to, co czują po śmierci najbliższych.

Kopczyński zauważył ją pierwszy, a na jego bladej twarzy pojawił się grymas niechęci, który próbował ukryć, kłaniając jej się chłodno, lecz uprzejmie. Jego towarzysza zauważyła to i z zaciekawieniem zerknęła na dziennikarkę.

– O, pani redaktor... dzień dobry. Pani też na groby? – zagadnęła, chowając chusteczkę do kieszeni.

Oczy miała zaczerwienione, pod pachą ścisnęła torebkę.

– Bardziej może na spacer, ale tak, przy okazji chciałabym zapalić świeczkę w tym ogólnym miejscu... – Stefańska trochę się zaplątała, nie wiedziała, co powiedzieć. Nikt z jej bliskich tutaj nie spoczywał, nawet Sebastian został pochowany na gdańskim cmentarzu. – Wcześniej nie miałam na to czasu.

– Rozumiem, to podobnie jak my. Zresztą nie lubimy tłumów w święta, dlatego dopiero dzisiaj mogliśmy naszą Juleczkę odwiedzić. A właściwie to ja, bo syn... on jeszcze za bardzo cierpi. Ledwie go namówiłam, żeby mnie odebrał z cmentarza. – Kopczyńska ponownie wyciągnęła chusteczkę i wytarła napelniające się łzami oczy. – Rok temu do głowy by nam nie przyszło, że dzisiaj tutaj będziemy do niej przychodzić. To takie straszne. Po prostu nie do uwierzenia... – szepnęła, kręcąc głową.

– To prawda. Przykro mi. – Felicja zarejestrowała, że nie wspominają o Sabinie. – A co z pochówkiem żony? – zwróciła się do Kopczyńskiego. – Czy był już pogrzeb? Czyżbym go przegapiła?

Mężczyzna wzruszył ramionami, naburmuszony.

– Niczego pani nie przegapiła. Nie było pogrzebu.

– Och, bardzo przepraszam, nie chciałam pana urazić. Ale dlaczego? Przecież już dawno po autopsji.

– Swoich niech pani pyta. Gliniarzy. Nie chcą nam wydać ciała.

– Podobno widać coś badają – wtrąciła jego matka. – Nie rozumiem co, bo przecież wszystko jasne. Sama jestem lekarzem, więc trochę się na tym znam. Tak, proszę mi uwierzyć, dentysta to też lekarz. Ale cóż, mają widać swoje powody. – Kobieta również się nadaśała, podobnie jak wcześniej syn.

– Widocznie tak. Proszę się upominać...

– Ani myślę – odparł nagle Kopczyński.

– Proszę? Nie rozumiem.

– Co tu rozumieć? Może niech ją lepiej sami pochowają. Złamała mi życie, złamała życie naszej córce! Nic mi już nie zostało, kompletnie nic. Kochałem ją, ale teraz już jej chyba nienawidzę!

– Sławciu! – Pani Kopczyńska zakryła dłonią usta. – Mój ty biedaku... Mów ciszej, synku, ludzie słuchają, jeszcze coś sobie pomyslą.

Stefańska również zauważyła, że parę osób, zmierzających na cmentarz albo z cmentarza, rzeczywiście zatrzymało się obok nich, przyglądając się tej scenie z ledwie maskowanym zaciekawieniem.

– Mam to gdzieś! – warknął Kopczyński, butnie podnosząc głowę. – Chodźmy już, mam. Do widzenia. – Spojrzał na Felicję, a ona ujrzała, że młody mężczyzna płacze.

Gdy Kopczyńscy zniknęli za rogiem, zawahała się, po czym kupiła dwa znicze na straganie w pobliżu i weszła na cmentarz. Zapaliła je w kręgu podobnych, w wyznaczonym miejscu przy bramie. Dla nikogo konkretnego. Dla wszystkich.

Nie dotarła jeszcze nawet do centrum, kiedy odezwała się jej komórka, a wyświetlacz pokazał miniaturę zdjęcia matki. Westchnęła, ale odebrała, przysiadając na obmurowaniu klombu przy głównej ulicy. Mówi się: trudno. Trzeba sprostać wyzwaniu, zażartowała w myślach. I tak by jej nie ominęło, najlepiej mieć to już za sobą. Matka potwornie działała jej na nerwy, lecz nie ma rady: matka to matka. Dopiero w ostatnich latach nauczyła się ten fakt doceniać, być może przyszło to z wiekiem.

– Hej, mam? No jestem.

– Nie zadzwoni Mahomet do góry, to musi góra do Mahometa – usłyszała energiczny głos pełen pretensji, czyli dokładnie taki sam jak zawsze.

„Znaczy się matka zdrowa”, pomyślała z rozbawieniem.

– Chyba nie tak dokładnie brzmiało to przysłowie, ale okej, rozumiem – odparła. – Kajam się. Chciałam zadzwonić w weekend. Mam teraz dużo pracy...

– Nawet nie chcę słuchać o tej twojej pracy! Taka tam praca. Nie masz u nich najmniejszych perspektyw. To zabita dechami prowincjonalna dziura. Setki razy ci mówiłam, że ci załatwię lepszą pracę, poważną, na stanowisku, jeśli tylko raczysz wrócić do cywilizacji. Nadal mam swoje wpływy.

– A ja ci sto razy mówiłam, że lubię swoją pracę. Właśnie tutaj. – Rozejrzała się dookoła, ogarnęła wzrokiem przymglone wzgórze na horyzoncie oraz jasną, pastelową zabudowę wielopiętrowego miasteczka i zrozumiała, że powiedziała prawdę. Tu jest u siebie. Za żadne skarby nie chce wracać do wielkiego miasta. – To nie jest dziura, tylko śliczne kulturalne, historyczne miasteczko, polubiłam je. Ale ty nigdy tu nawet nie zajrzałaś, więc skąd możesz wiedzieć...

Nienawidziła snobów, wszelki przejaw snobizmu budził w niej obrzydzenie. Nie chciała jednak czuć pogardy dla własnej matki.

– Uparta jak ten osioł – podsumowała starsza Stefańska. – Nic się nie zmieniała, od dziecka, niemożliwa dziewczucha! – Felicja dosłyszała w tle przytłumiony głos ojca i się nie pomyliła, bo matka od razu zareagowała: – A ty tam siedź cicho! Jesteś taki sam jak ona. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. – Po czym zwróciła się ponownie do córki: – Uciszał mnie będzie. On! Niedoczekanie. Taki się ostatnio zrobił... buńczuczny! – Dziennikarka w pierwszym odruchu pożałowała ojca, zaraz jednak przypomniała sobie, że przez całe życie, choć niby po cichu trzymał jej stronę, nigdy nie ośmielił się otwarcie postawić żonie. Przeszła się litować. Jak sobie pościesz, tak się wypisz, stwierdziła w duchu. – Tymczasem matka niestrudzenie perorowała: – Skaranie boskie z wami. To nad czym tam tak pracujesz?

– Poza tym, co codziennie robi się w redakcji, przygotowujemy teraz reportaż o tym pedofilu, który w wakacje zabijał dziewczynki. – Celowo nie wyjawiała całej prawdy i nie wspominała o ostatnim morderstwie, żeby nie wywoływać kolejnego wybuchu. – Pamiętasz, że jedna z nich pochodziła stąd?

– Owszem, przypominam sobie. Wiesz, jak to jest. Takie dziewczynki same się proszą. Latają samopas, półnago, w krótkich gatkach odsłaniających tyłek i wabią tych zboczeńców. Gdzie rodzice, dlaczego nie reagują? Bezstresowe wychowanie, ot co! Taka moda. Cud, że ciebie w dzieciństwie żaden pedofil nie dopadł. Też byłaś z tych, co guza szukają...

– Mamo, dość – przerwała jej Felicja. – Jeśli zaczynasz winić dzieci, żeby usprawiedliwić zwyrodnialców, to nie mamy o czym rozmawiać. – Poczula, że robi jej się gorąco. Jeszcze chwila, a wybuchnie.

– Ja się przecież tylko o ciebie zamartwiam! Zawsze byłaś niewdzięcznicą. Nie rozumiesz, co to znaczy martwić się o dziecko, bo nie masz swoich dzieci. Ale to może i lepiej – dokończyła kwaśno.

– Nie musisz się zamartwiać.

– Oczywiście, lepiej jak tam siedzisz, niż jak jeździsz po jakichś dzikich krajach tym swoim potworkowym wehikułem. A gdzie teraz jesteś? W biurze?

– Nie, w drodze. Właśnie tam wracam.

– To gdzie byłaś?

– Na cmentarzu – odparła zgodnie z prawdą.

– Byłaś na grobie Sebastiana?

– Nie. – Przełknęła gulę w gardle. – Byłam tam w związku z pracą.

– No wiesz co, żeby nawet nie zapalić świeczki swojemu narzeczonemu w święto zmarłych, wstydzilibyś się!

– Co za hipokryzja, mamo? Przecież go nie lubiłaś. Dopóki żył, był zły. Jak zresztą każdy – wycedziła Felicja zimno.

– Zły, nie zły, ale był twoim narzeczonym. Sama go sobie wybrałaś. Mnie przecież nigdy nie schasz.

– Mamo, to są moje sprawy. Nie martw się o mnie, radzę sobie doskonale. Muszę kończyć, bo...

– Przyjeżdż na obiadek w którąś niedzielę. Coś smacznego ugotuję. O, albo zamówię twoje ulubione danie z nowej restauracji, którą otwarto niedaleko nas. Mają naprawdę doskonały catering. Ojciec też na ciebie czeka. Przyjedziesz?

– Tak, na pewno. Zdzwoimy się. Pa, mamo. – Rozłączyła się z ulgą. Jednak coś ją niepokoiło, jakaś mętna myśl, której nie mogła uchwycić.

Może później się uda...

* * *

– Myślę, że on na swój sposób kochał córkę – powiedziała do Grety, która wysłuchiwała jej chaotycznej relacji. – Jednak ta dziewczynka nie była szczęśliwa. Kopczyński obwinia o to żonę. I nie tylko o to. Również za swoje zamrowane życie. Bo fakt, gość stracił wszystko, co było mu bliskie. Kaliński... wiesz, mąż tej przyjaciółki, która się zabiła, załamał się, choć jemu jeszcze zostały dzieci. Ma dla kogo żyć, ma o co walczyć, w końcu to zrozumiał. A Kopczyński? Jemu już nic nie zostało. Nawet dobre wspomnienia, nawet wiara w to, że była dobrą rodziną...

– No ale czy to znaczy, że ją zabił?

– Nie wiem, tego nie twierdzę. Choć uważam, że motyw miałby mocny.
– Felicja, nie, sorry, do mnie to nie przemawia. Nie zabija się z takich powodów! – zapierała się Greta.

– Zdziwiłabyś się. Ludzie zabijają ze znacznie bardziej błahych powodów, a czasem nawet bez powodu. Zaręczam ci, że to jest silny motyw. Możesz mi wierzyć, też byłam dzieckiem apodyktycznej, nadopiekuńczej matki. Zrobiła mi piekło z życia w dzieciństwie i w młodości. Teraz dalej próbuje, ale już straciła nade mną władzę, nad czym zresztą ubolewa. Przysięgam ci... były momenty, że mogłabym ją zabić! – podniosła głos Stefańska.

– Przestań! – uciszyła ją przestraszona przyjaciółka. – Mów ciszej, bo za plecami chodzą mi tu ludzie. Tak się tylko gada, ale nie zrobiłabyś tego. I uważam, że Sławek też nie zrobiłby tego swojej żonie, nawet jeśli przestali się kochać lub mieli konflikt. Byli sobie bliscy. Oni oboje kochali córkę. Nie, nie wierzę.

– A ja wierzę, że byłby do tego zdolny. Pomyśl. Po śmierci dziecka na pewno stale rozmyślał, kołowało mu się w głowie. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, że jedyna, ukochana córka nie żyje, leży w grobie, a wcześniej przeszła piekło, i że pośrednio to jej rodzona matka wepchnęła ją w łapy przypadkowego bandyty, wtedy mogło coś w nim pęknąć. Do tego wypił. Mógł go szlag trafić, nieprawdaż? Może chciał jej tylko nawrzucać, ale ona nie była mu dłużna. Doszło do przepychanek, przecież nawet nie wiadomo, kto pierwszy chwycił za pogrzebacz...

– Jasne! – ironizowała Greta. – A potem nagle wytrzeźwiał, żeby zatrzeć po sobie wszystkie ślady, odciski palców i tak dalej?

– Możliwe, dlaczego nie? Może doznał wstrząsu i od tego wytrzeźwiał. A jak już wytrzeźwiał i zobaczył, co zrobił, to chciał się ratować. Tak bywa, to ludzkie.

– Nie, nikt normalny tego nie robi. Nie traci kontroli do tego stopnia, żeby zabić. Znałam ich, to przeciętny, normalny facet. On by jej nawet nie uderzył. Nie ten typ.

– Podziwiam twoją wiarę w ludzi – skwitowała Felicja cierpko. – Jednak policja też uważa go za głównego podejrzanego. Mówiąc szczerze, tak twierdzą i Pałka, i Ryba. Szukają dowodów, ale właśnie na nim się skupiają.

– Sama mówiłaś, że prawie zawsze najbardziej podejrzany jest partner. Choć moim zdaniem to cholernie krzywdzące.

– Statystyki to jednak potwierdzają.

– Statystyki!

– Greta, ja teoretyzuję. Uspokój się. Nie twierdzę, że jest mordercą, tylko że nie możemy tego wykluczyć. Dalej nad tym pracuję. Mam nowy wątek, który chciałbym zbadać.

– Ten masonski? – Pazikowa ściszyła nieco głos, lecz wydawała się zadowolona ze zmiany tematu.

– W pewnym sensie. Miałas rację, muszę pogadać z tym waszym probošzczem. Ale nie mam zamiaru skreślać Kopczyńskiego z listy podejrzanych... – powiedziała i się rozłączyła.

* * *

– Jezu, mam tam wejść?! – Felicja ze zgrozą spojrzała w czeluści częściowo zasypanych gruzem schodów prowadzących do dawnych piwnic i podziemi. – Oszalałeś, Rybko?

– Sama chciałaś zobaczyć to miejsce. – Ryba wzruszył ramionami. – Tam właśnie znaleźli ciało tej małej. Spoko, sprawdziliśmy, jest bezpiecznie, choć straszny syf.

Stefańska obejrzała się przez ramię, żeby zlokalizować Kaškę.

– Wchodzisz, młoda?

– Zejdźcie pierwsi – odparła szybko dziewczyna, rozglądając się niepewnie po zrujnowanym pomieszczeniu, stanowiącym dawniej zapewne hol starej szkoły. Schody prowadzące niegdyś na górne piętra urwały się w połowie. I na szczęście, bo cała góra podobno w każdej chwili groziła zawaleniem. – Najwyżej pójde z wami, choć wcale nie jestem pewna, czy chcę. Tutaj przynajmniej jest światło dzienne – dodała z krzywym uśmieszkiem.

Owszem, było widno. Tym bardziej rzucała się w oczy królująca dookoła ohyda. Wszędzie wały się śmieci, puste butelki, zgniecione puszki, zmięte papierki, cuchnęło moczem i innymi odchodami, nad którymi brzęczały z zadowoleniem stada tłustych much.

– No, nie da się ukryć – sarknęła Stefańska, zatykając nos. – Nic dziwnego. Połowy ścian brakuje. A i tak śmierdzi jak cholera.

– To co, schodzimy? – zniezcierpliwł się Ryba. – Uparłyście się, to teraz nie narzekać! Mamy latarki.

– Dobra, idź pierwszy. Jak jakiś potwór nas zaatakuje, to najpierw ciebie, a my z Kašką może zdąży my zwać.

Ryba prychnął, ale ruszył w dół ciemnej czeluści.

– Tylko uwaga na gruz, łatwo się potknąć i polecieć! – uprzedził.

– Kaśka, idziesz?

– Idę – zdecydowała. – Chyba jednak wolę to, niż sama tkwić w tym syfie.

Schodzili gęsiego, dwoma poziomami stromych schodów, aż znaleźli się na podeście, u progu ciemnego tunelu, zapewne starego piwnicznego korytarza. Policjant poświęcił w głąb latarką, wydobywając z mroku zarysy wykruszonego ceglanoego muru. Poczuli ostrą woń myślich odchodów. W tym momencie gdzieś w głębi rozległ się rumor, a następnie tupot stóp, znów posypały się resztki starego tyku.

– Jezu Chryste! – Felicja aż podskoczyła, chwytając Rybę za rękaw. – Kurwa mać, co to było?!

Gliniarz wzruszył ramionami.

– Bez obaw – uspokoił dziennikarki. – Jacyś smarkacze, którzy się urwali z lekcji, albo stali bywalcy. Menele. Tutaj mieszkują bezdomni. Wiedzą, że nie wolno, więc spierdalają, jak tylko slysza, że ktoś nadchodzi.

– Jasna cholera, mało na zawal nie zeszlam...

– No wiesz, w twoim wieku to już się zdarza – parsknął Ryba i jęknął, gdy oberwał kuksańca w bok.

– Ale którzy oni uciekli? – zapytała pobladła Malinowska, co dało się zauważyć nawet w świetle latarki.

– Przez jakiś otwór po dawnym oknie, pełno ich tutaj – odparł policjant. – Stali bywalcy znają każdy kąt na wylot, mają swoje wyjścia ewakuacyjne. Idziemy dalej?

– Tam? – Kaśka z zaciętym wyrazem twarzy wymierzyła palec w czarną czeluść. – Do tych katakumb?

Stefańska nie odezwała się, ale też zrobiło jej się niewyraźnie.

– Tylko kawałek – obiecał policjant. – Dosłownie parę metrów w bok jest... nie wiem, jak to nazwać. Dawna komnata podobno, a później chyba magazyn piwniczny. W niej leżały zwłoki dziecka.

– To dawaj! – Popchnęła go zdeterminowana Felicja, a asystentka, trzymając się kurczowo jej kurtki, płała się tuż za nią.

Zgodnie z zapowiedzią Ryby już po chwili byli na miejscu. Rzeczywiście, ciemny, wilgotny korytarz rozszerzał się nagle w obszerne pomieszczenie o kamiennym łukowatym sklepieniu, dosyć jasne, ponieważ wpadało tutaj światło z otworu pozostałego po wysokim piwnicznym oknie, pod którym stała zbutwiała, rozpadająca się drewniana drabina. Posadzka również była z kamienia. W kątach leżały nadgniłe koce, brudny kalosz, pozostały także pozrywane resztki policyjnej taśmy.

– Dawno temu podobno mieściła się tutaj komnata masonów. Ale to tylko legenda, nic na ten temat tak naprawdę nie wiadomo. Dokładnie tam, pod tym, nazwijmy to oknem, leżało ułożone ciało Julki Kopczyńskiej. – Wskazał Ryba.

– Ułożone? – zdumiała się Stefańska. – Czyli nie wrzucił jej po prostu przez ten otwór z zewnątrz, tylko wnosił? Schodami i korytarzem, tak jak szliśmy?

– Zdecydowanie, innej drogi nie ma. Została starannie ułożona, z głową od okna, nogami w stronę wejścia, ramiona rozłożone, jakby na znak krzyża. Była częściowo obnażona, miała widoczne urazy.

– Co za psychol... – westchnęła Kasia Malinowska.

– I nie ma żadnych świadków? Nikt go nie widział? Namierzyliscie tych meneli? – drażyła Felicja.

– Tak jak mówiłem, oni są niewidzialni. Jak duchy. Dematerializują się od razu, gdy tylko kogoś usłyszą.

– A kto znalazł ciało i zgłosił to wam?

– Dzieciaki – odparł. – Nastolatki z pobliskich warsztatów szkolnych. Przyszli tu na balety. Twierdzili oczywiście, że tylko chcieli obejrzeć ruiny, niby tak dla zgrzywy. Nieważne. Najważniejsze, że zgłosili. Byli wystraszeni.

– Trudno się dziwić...

– Pewnie tak. – Wzruszył ramionami. – Może na drugi raz nie będą włazić, gdzie popadnie, szczególnie.

– I jesteście pewni, że nie została zamordowana w tym miejscu?

– Wykluczone.

Dziennikarka podeszła bliżej okna, pozostawiając za sobą Rybę i Kaśkę, którzy się nie poruszyli. Wiedzieli, że chce teraz przez chwilę być sama. Pozbyła się wszelkich myśli, by oczyścić umysł. Przyklnęła powieki, skupiając się na aurze towarzyszącej temu miejscu. Przywołała w pamięci obraz dziewczynki. Przez chwilę niczego nie czuła, aż nagle zaczęły ją wypełniać cudze emocje: bezsilność, rozpacz, złość, strach... i gniew.

Przed wszystkim gniew: tak potężny, tak rozpaczliwy, że o mało nie rozsadził jej czaszki, eksplodując.

– O kurwa... – jęknęła, otwierając oczy.
– Co? Poczulaś coś? – zagadnęła przejęta Malinowska, gdy Felicja dołączyła do nich, ocierając pot z czoła mimo chłodnego dnia.

Do tej pory oboje czekali w milczeniu. Reporterka skinęła głową bez słów, na tyle było ją teraz jedynie stać. Usiłowała podsumować w myślach, co czuła, wyciągnąć jakieś wnioski, ale w głowie miała chaos.

– Co czułaś? – próbował dowiedzieć się Ryba, który już od dawna doceniał siłę intuicji Stefańskiej.

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – To... cholernie skomplikowane. Muszę najpierw sama dojść z tym do ładu.

– Możemy już stąd iść? – zapytała błagalnym tonem Kasia. – Bo za chwilę zwariuję. Chyba sama odczuwam tę aurę!

– A tak chciałaś tu z nami przyjść – wytknęła jej zwierzchniczka.

– Chciałam, i nie żałuję. Musiałam to zobaczyć. Ale teraz mam już dość.

Felicja wyjęła smartfona i zrobiła kilka zdjęć pomieszczenia.

– Możemy wracać – oznajmiła. – Hej, Ryba, co tam jeszcze marudzisz?

– Tak sobie tylko łązę, też chcę się wczuć w tę waszą aurę...

– I jaki efekt?

– Żaden. Chuj z tym. Czuję tylko smród.

Malinowska parsknęła śmiechem, lecz szybko zamilkła, gdy dotarło do niej echo chichotu.

– Dobra, spadajmy już stąd. Ruszaj dupsko, Rybko! – zarządziła Stefańska. – Wracamy do żywych...

* * *

– Słuchaj, bo ten jeden szczegół mi umknął... Nie jestem pewna, ale kiedyś chyba mówiłeś, że mała Julka nie została zgwałcona? – zagadnęła niby od niechcenia, choć do podjęcia tejże kwestii długo się przygotowywała, zdając sobie sprawę, że po raz kolejny wsadzi kij w mrowisko.

Był już późny wieczór. Siedzieli z Palczyńskim na strychu u Felicji, nad kubkami kawy – bo Artur był zadeklarowanym wielbicielem tego napoju, pijał go o każdej porze dnia i nocy – i z Burym, przysypiającym pomiędzy nimi na kanapie, słuchali jazzu.

– A ty wciąż wracasz do tamtej sprawy? Nie odpuszczasz? Rozumiem, że piszecie reportaż, ale dla nas priorytetem jest teraz ustalenie zabójcy jej matki. I jak wiesz, nie może to być ten sam sprawca.

– Wiem. Wy to co innego. Jednak ja, jako reporterka, nie mogę nie potraktować tej historii całościowo. Czytelnik musi dostać tekst, który ma swój początek, rozwinięcie i zakończenie, do tego z odpowiednią dawką dramatyzmu.

Komisarz westchnął.

– I jesteś przekonana, że ten początek to sprawa pedofila?

– Sprawa Julki. Z punktu widzenia jej bliskich, przede wszystkim rodziny, tak, jestem o tym przekonana – upierała się.

– No więc tak, masz rację. Julia nie została zgwałcona. Sprawca może nie zdążył tego zrobić, może go ktoś sponżył, może za szybko zmarła albo na przykład z jakiegoś powodu nie był w stanie zgwałcić. Może go dopadła fizyczna niemoc, libido zawiodło. Ale to nic takiego, żeby przywiązywać do tego jakąś szczególną wagę. Zdarza się. Usiłował to zrobić, wskazuje na to poszarpana odzież oraz ślady walki. Została śmiertelnie pobita, poza tym wcześniej była duszona.

– A pozostałe dziewczynki?

– Tamte zgwałcił i zamordował, z wyjątkiem ostatniej, która wyrwała mu się w trakcie... czynu i udało jej się uciec.

– Poza tym wszystko wyglądało podobnie?

– Tak. Wszystkie łąpały na stopa lub wciągał do samochodu. Każda została pobita, wszystkie dusił.

Felicja się zamyśliła. Uwolniła się z jego objęć i wstała, by zaparzyć sobie herbatę. Arturowi dołąła kawy. Przytłumione światło oraz ciepły blask buzującej ogniem kozy stwarzały nastrój wzmocniony dźwiękami fortepianowej improwizacji. Jednak nie potrafiła mu ulec. W głowie wciąż miała mnóstwo pytań, a także prób odpowiedzi.

– I jesteście pewni, że to ten sam zboczeniec? – kontynuowała indagację, gdy wróciła na kanapę z parującymi kubkami.

– Przyznał się. – Przewrócił oczami policjant. – Litości!

– Ale potem przecież odwołał zeznania? – Stefańska nie ustąpiła.

Palczyński na serio się zniecierpliwiał.

– Felicja, o co ci chodzi? Po cholere w tym drąysz?! – wybuchnął. – Owszem, przyznawał się i odwoływał wielokrotnie, co chwilę zmieniał zdanie. Papuga... to znaczy jego adwokat mącił mu we łbie, poza tym facet jest niezrównoważony. Ostatecznie jednak wszystko się zgadza. Ta sprawa została zamknięta, reszta należy do sądu.

– A jeśli było inaczej? – postawiła się dziennikarka. – Wiesz, że byłam z Rybą w tej starej szkole i przerobiłam od a do zet jej historię. Tam się działy dziwne rzeczy. Odprawiano jakieś obrzędy. Ginięły dzieci...

– To tylko legendy.

– Też tak myślałam, ale teraz już nie jestem tego taka pewna.

– Bo? – Policjant wreszcie przyjrzał jej się uważnie. Pociągnął łyk kawy i zaszczał: napar był jeszcze gorący. Zaniepokojony Bury zastrzygł uszami, otworzył jedno oko, łypnął na nich, po czym znowu zasnął, posapując z cicha.

– Nie potrafię jeszcze tego sprecyzować – odparła ugodowo. – Po prostu... czuję, że za tym konkretnym morderstwem kryje się coś więcej, ma drugie dno. Myślę, że nie przypadkiem porzucono właśnie tam jej ciało. Podeszłam do mojej notatki na temat przeszłości tego budynku, dobrze?

– Dobrze. – Objął ją. – Oczywiście, że dobrze. Choć niczego nie mogę obiecać. Ech, te twoje przecucia...

– Jakoś do tej pory nie narzekałeś – powiedziała z przekąsem, lecz tym razem nie uwolniła się z jego uścisku.

– To co, idziemy na spacer z Burem, a potem... może do twojego kampera? – Uśmiechnął się znacząco.

* * *

Szła na plebanię z uczuciem dyskomfortu. Zresztą jak zwykle. Nauczona doświadczeniem wiedziała doskonale, że po raz kolejny zostanie przyjęta w sposób niemiły i protekcyjny. Proboszcz od początku traktował ją tu jako osobę gorszego sortu, *persona non grata*, tylko z tego powodu, że nie chodziła do jego kościoła i była kobietą, a może raczej nie była typem kobiety, jaki był w stanie uznać. Z tego powodu uważał, że ma prawo do okazywania jej swojej wyższości i pogardy. Nie, nie miała nic przeciwko wierze, religiom czy kościołom samym w sobie. To jej po prostu nie interesowało. Nie przynależała nigdzie, z natury była wolnym duchem. I chyba właśnie ten pogląd stanowił jej największą „przewinę” w oczach plebana. Dziennikarka wyznawała zasadę, że każdy ma wybór i nikomu nic do tego. Czasy, kiedy narzucano wyznanie ogniem i mieczem dawno minęły. Zdawałoby się, że we współczesnym świecie powinno to być jasne i zrozumiałe dla każdej ze stron, lecz tak nadal nie było. Zawsze gdzieś znajdują się konkwistadorzy z powołania, uzurpatorzy, gotowi wypełniać swoją „misję”, nie licząc się z drugim człowiekiem. I jak przed setkami lat stawka była dokładnie ta sama: władza i złoto...

Żeby było zabawniej, ksiądz był jeszcze młodym człowiekiem, młodszym od niej. Ledwie przekroczył czterdziestkę. Szlag ją trafiał, kiedy zwracał się do niej jak do niegrzecznego dziecka. Nie mógł nie współpracować, ale robił to w taki sposób, by zademonstrować swoje lekceważenie. Nie tylko Felicji, ale również świeckiej „władzy”, z którą była zawodowo związana. Grety jako wójta również nie tolerował. Raz, że kobieta, dwa, że nie z tej opcji politycznej, jaka mu się podobała. Że demokracja? Co za bzdura, jego wyuczono w duchu feudalizmu. Ciemne owce bez „duchowego przewodnictwa” Kościoła nie potrafią przecież wybrać dobrze!

Felicja zakłęła w duchu, próbując przygotować się psychicznie na kolejną przeprawę z tym nadętym bucem. Dotarła właśnie na miejsce. Nacisnęła klamkę, lecz drzwi były zamknięte. „Proszę dzwonić” – przeczytała na przypiętej do nich karteczce. Zadzwoiła. Przez dłuższą chwilę nie doczekała się odzewu, w końcu jednak z drugiej strony szcęknął zamek. Drzwi uchyliły się, a w szparze ukazało się oko.

– W jakiej sprawie? – padło pytanie.

– Dzień dobry...

– Niech będzie pochwalony!

– Dobrze. Niech będzie. Ja do księdza proboszcza.

– Ksiądz jest zajęty.

– Więc kiedy będzie dostępny? To pilne. Sprawa służbowa. Jestem z urzędu.

– Tutaj wasze urzędy nie mają władzy.

– Myli się pani – odparła Felicja, bo głos był kobiecy. – Na terenie gminy władzę sprawuje urząd. Nie przychodzę w sprawach religijnych.

Drzwi otworzyły się szerzej i Stefańska rozpoznała naburmuszoną pulchną kobietę o bladej twarzy w nieokreślonym wieku, z którą zetknęła się już kilka razy. Niewiasta miała na sobie kraciastą wełnianą spódnicę do połowy łydki oraz szary sweter z moheru z koźmierzykiem, spod którego połyskiwał srebrny medalik. Od lat pełniła w biurze plebanii funkcję osoby do wszystkiego: sprzątaczkę, urzędniczkę, sekretarkę, psa ogrodnika, kawiarki i kelnerki. Pech chciał, że ona również poznała Felicję.

– Niech wejdzie. A, to pani... żurnalistka. – Skrzywiła się z niesmakiem, jakby wdepnęła w kupę. – Pójdę zapytać księdza proboszcza, kiedy znajdzie czas. Zaczeka tu. Może usiąść. – Pokazała palcem taboret pod ścianą, po czym wyszła wewnętrznymi drzwiami, pozostawiając je uchylone. W tych prowadzących na zewnątrz przekręciła klucz i schowała go do kieszeni.

„Uwięziła mnie” – skonstatowała Stefańska z rozbawieniem. Nie usiadła, tylko rozejrzała się dookoła. Rzeźbione biurko, zdecydowanie antyk, na nim markowy komputer, druty z robótką oraz brudne kubki z fusami po kawie. Nad nim górował wielki drewniany krzyż. Na krzesłach i parapetach wyłożono sterty ulotek. Zerknęła na pierwsze z brzegu: na jednej historia parafii, na drugiej ludzki embrión z ociekającym krwawymi łzami napisem w chmurce: „Mamusi, nie zabijaj mnie!”.

Westchnęła.

Czekała co najmniej dziesięć minut, zanim kobieta wróciła, by oznajmić dziennikarce, że ksiądz proboszcz przyjmie ją w swojej kancelarii.

– Niech idzie tędy – burknęła, wskazując palcem drzwi, którymi przed chwilą weszła. – Zaprowadzę.

Felicja była tu po raz pierwszy. W porównaniu z biurem kancelaria wyglądała na jeszcze bardziej bogatą. Antyki w połączeniu z nowoczesnymi meblami – obrotowe fotele czy wielofunkcyjne elegancie szafko-regały – oraz z doskonałej jakości sprzętem robiły wrażenie i stwarzały naturalny dystans. Stefańska jednak nie była na to podatna. Z niejednym biznesmenem miała już do czynienia, lata praktyki zrobiły swoje. Ksiądz siedział rozparty w fotelu, z tym samym kpiącym uśmieszkiem co zawsze. Nie wstał, by ją przywitać, ale też nie narzucał jej tym razem kościelnych formułek, widocznie uznał, że nie warto. Znał jej stanowisko, wiedział, że i tak nic tu nie wskóra, a publiczności zabrakło: nawet jego pulchna powiernica wyszła od razu po wprowadzeniu dziennikarki.

– Dzień dobry.

– No proszę, pani Zwiastun Złych Wieści. Witam w naszych skromnych progach – odparł chłodno. – O co chodzi tym razem?

– Niestety, tym razem również nie będzie słodko – odparła z równie cierpkim uśmieszkiem. – To poufna sprawa – zastrzegła.

– Trudno, proszę siadać i wyjaśnić, w czym rzecz, nie mam zbyt wiele czasu, msza czeka.

Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu krzesła.

– Tam, pod ścianą – odpowiedział proboszcz. – Można sobie przysunąć.

W milczeniu obserwował, jak targa pod pachą ciężkie siedzisko. Nie ruszył tyłka ze swojego miejsca niczym jakiś król. W końcu usiadła i w ramach rewanzu ostentacyjnie założyła nogę na nogę.

– W zasadzie mam do księdza dwie sprawy – zaczęła. – Ponieważ również nie dysponuję nadmiarem czasu, więc może od razu przejdę do rzeczy. Obie kwestie dotyczą zabójstwa dziewczynki, które miało miejsce na terenie naszej gminy, latem. Czy ksiądz pamięta tę historię?

Nadal milcząc, skinął potakująco głową.

– Znał ksiądz to dziecko albo rodziców dziecka, państwa Kopczyńskich?

Uśmieszek zniknął z jego twarzy, jakby starty gąbką. Dość długo myślał, zanim odpowiedział na pytanie:

– Znałem matkę. Dziewczynę może raz widziałem. Ojca nigdy.

– Nie należeli do tej parafii?

– Z tego, co mi jest wiadomo, Kopczyński uważał się za ateistę – wypluł z siebie wzdornie ksiądz. – I chyba na taką samą wychowywał córkę. Na heretyczkę – dodał.

– Trudno zarzucić dwunastoletniemu dziecku herezję.

– Heretyk to heretyk – odparł tylko. – Ona na mszy świętej nie bywała. Tak samo jak on. I od naszej katechetyki wiem, że odmawiała też uczestnictwa w katechezie.

– A matka? Pani Kopczyńska? Była wierząca?

Ksiądz poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Sabina Kopczyńska po latach życia w grzechu nawróciła się na wiarę. Choć oczywiście też zbyt późno – wyjaśnił. – Ciężko jej było w rodzinie heretyków.

Westchnął.

– Ksiądz wie, że pani Sabina też nie żyje?

– Tak. Podobno on ją zabił.

– Tego nie wiadomo. Policja prowadzi śledztwo, a od orzekania o winie jest w Polsce sąd.

– Tak, tak. Wiem. Wolne sądy – rzucił szyderczo.

Felicja nie skomentowała tego.

– Co łączyło księdza z Sabiną Kopczyńską? – zapytała bez ogródek. Musiała przyznać, że proboszcz jest dość przystojnym mężczyzną, mógł się podobać kobietom. Nie miała jednak na myśli romansu, nikt tego do tej pory nawet nie sugerował.

– O co pani chodzi? – Ksiądz nagle zeszytniał, a twarz nabiegła mu krwią, aż stała się purpurowa.

– Tylko pytam – odparła zdziwiona. Czyżby jednak miał coś na sumieniu? Przedziwna reakcja.

– Sabina przysłała do mnie kilka miesięcy temu po poradę. Chciała wrócić na łono Kościoła. Miała problemy wychowawcze z córką, a z mężem też się nie zgadzali. Tłumaczyłem jej, że rolą dobrej chrześcijańskiej żony jest nawrócenie siebie i małżonka, a także wychowanie potomstwa w wierze. Przyjęła to do wiadomości. Starła się. Walczyła. Kontaktowaliśmy się w tej sprawie od czasu do czasu, z reguły ona dzwoniła do mnie. Wspierałem ją i umacniałem w wierze. Jednak potem przydarzył się wypadek i... no cóż, wszystko się skończyło – wyjaśnił i zacisnął wargi.

– Proszę księdza, to nie był żaden wypadek, tylko przestępstwo. Julia padła ofiarą pedofila – sprostowała Felicja.

Zachnął się.

– Szanowna pani, ta dziewczyna sama się o to prosiła! Była zła, nieposłuszna, samowolna, wyuzdana. Teraz u dziewczyn w jej wieku to normalne. Kuszą mężczyzn, wdzięczą się jak wytrawne ładacz-nice. Szatan w nie chyba wstępuje. A potem płaczą i oskarżają. – Wzruszył ramionami. – Jakby to tylko mężczyzna był winny...

– Czy ksiądz słyszy, co mówi? – rzuciła wstrząśnięta. – Obwinia ksiądz dzieci za dewiacje seksualne dorosłych?! Przecież tę dziewczynkę zamordowano!

– Ja mówię ogólnie – odparł z urażoną godnością. – Nie o tym konkretnym przypadku. Tutaj, racja, dziewczynę dosięgła...

– Co, sprawiedliwość?!

– Żąda chorego człowieka – wszedł jej w słowo. – Cóż. Stało się. On też jest ofiarą swojej niedyspozycji.

– Niedyspozycji? Dobrze sobie. Tak na marginesie, dwunastolatka to nie dziewczyna. To jeszcze dziecko. Dziewczynka z podstawówki. Uczennica piątej klasy. Takimi określeniami tylko rozgrzeszacie zbrońców...

– Chyba pani nie zna tych dwunastolatek. – Jego śliski uśmiech wydał jej się obleśny. – Pani Kopczyńska rozważała nawet zaangażowanie egzorcysty. Odradziłem jej ten krok. Sądziłem, że poradzi sobie sama. Niestety, pomyliłem się. Proszę się pospieszyć z pytaniami. – Zerknął na odrestaurowany stary gdański zegar. – Mój czas dobiega końca.

Stefańska się otrząsnęła. Musiała szybko opanować emocje. Inaczej nic już z tego człowieka nie wydobędzie.

– Więc jakie grzechy miała na swoim sumieniu świętej pamięci Julka? – zapytała w miarę spokojnie.

Ksiądz znów długo myślał, obracając w palcach krzyżyk.

– Tajemnicy spowiedzi zdradzić nie mogę – odparł w końcu. – Jednak mogę powiedzieć, że dziewczyna miała problemy. Leczyli ją...

– Leczyli ją? To znaczy kto, gdzie? Chodziła do psychiatry, psychologa, na psychoterapię?

Skinął głową.

– Tak, matka wozila ją do Gdańska, do psychologa. Do kobiety. – Skrzywił się. – Nie znam nazwiska. Niczym to nie skutkowało, dlatego pani Sabina pomyślała o egzorcyzmach. Nie dawała sobie rady.

– Ojciec o tym wiedział?

– Nie wiem, czy go to interesowało.

– Jakiego rodzaju to były problemy?

– O to niech mnie pani nie pyta. Nie znam się na tych wydziwach. Dziewczyna potrzebowała dyscypliny, ale to już nie te czasy. Tak czy owak skończyło się to rodzinną tragedią. Ale widocznie Bóg tak chciał. Czy możemy już kończyć? Za niecałą godzinę mam specjalną mszę dla emerytów.

– Chwileczkę, proszę księdza. Jeszcze jedna sprawa. Na początek krótkie pytanie, czy słyszał ksiądz, że w budynku starej szkoły w Kryszewie, tej, która ma zostać wyburzona, były odprawiane jakieś obrzędy.

– Ma pani na myśli satanistyczne rytuały?

– Możliwe, że też.

– Słyszałem o tym. Podobno rzeczywiście coś takiego miało tam miejsce. Wcześniej działała tam loża masoniska, ale to było jeszcze przed wojną. Natomiast być może w ostatnich latach ktoś wykorzy-

stywał tę złą tradycję.

– Ksiądz był świadkiem czegoś takiego? Albo słyszał o tym z pierwszej ręki?

– Jak pani wiadomo, jestem tutaj proboszczem od kilku lat, a mój poprzednik odszedł do Pana. Nie pochodzę z tych stron, zatem nie mogłem być świadkiem. Sprawę znam tylko z naszego parafialnego archiwum. Słyszałem, że właśnie tam odnaleziono ciało tej nieszczęsnej dziewczyny. Podejrzewacie, że to ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem, co na ten temat sądzi policja. Jeśli chodzi o mnie, to szukam różnych powiązań – odpowiedziała szczerze.

– Pani nie wie, co myśli policja? – zakpił. – Pani?

– Ostrzegam księdza. Nie rozmawiamy o mnie. Jeśli ksiądz coś wie na ten temat, radzę księdzu teraz to wyjawić.

Proboszcz wstał z furkotem sutanny.

– Niech mi pani nie grozi. Teraz muszę już iść. Ale pójde pani na rękę. Proszę wrócić tu do mnie za kilka dni, będę coś dla pani miał. Nie popieramy przemocy, nawet na grzesznikach. Dlatego wam pomogę. Kościół zawsze stoi po stronie prawa – zadeklarował.

Gdy opuściła mury plebanii i oddaliła się od niej, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Kopczyńskiego.

– Tu Felicja Stefańska. Czy pańska córka korzystała z pomocy psychologicznej? – zapytała bez ogródek.

– Ale o co...

– Proszę po prostu odpowiedzieć.

– Owszem, korzystała. Sabina się przy tym uparła, choć potem zrezygnowała. Zdaje się, że nie była zadawolona z tego psychologa – odparł zdeorientowany.

– Tego? To był psycholog czy psycholożka?

– Nie lubię tych feminatywów. Z tego, co sobie przypominam, to była kobieta. Ale o co chodzi?

– O to chodzi, że mi pan o tym nie wspominał. – Przysiadła na puste ławce przy przystanku autobusowym, z którego właśnie odjeżdżał autobus.

– Zupełnie zapomniałem – tłumaczył się Kopczyński. – I nie za bardzo mnie to obchodziło, byłem temu przeciwny. Sabina wmawiała dzieciakowi wszystkie możliwe choroby świata, moim zdaniem to były jej urojenia. Generalnie żona sama się tym zajmowała, ja chyba tylko raz zawiozłem je do tego gabinetu. Julia była tam zaledwie na kilku sesjach. A później Sabina stwierdziła, że więcej do tej psycholog nie pojedą, bo tylko wyciąga pieniądze.

– I nie wie pan, o co poszło?

– Nie mam pojęcia. Przyjąłem to z ulgą.

– Dlaczego?

– Julce nie był potrzebny psycholog, prędzej Sabinie.

– A wiedział pan, że pańska żona szukała pomocy u księdza?

– No to mnie pani zaskoczyła...

– Nie wiedział pan?

– Do głowy by mi to nie przyszło. Ona nigdy nie była praktykującą!

– Najwyraźniej od pewnego czasu była.

– Zatkąło mnie, przepraszam. To by tylko potwierdzało moją teorię, że żona miała problemy psychiczne, które przerzucała na naszą córkę.

– Przykro mi. A Julia nic panu nie opowiadała o tych wizytach? Nie rozmawiał pan z nią o tym?

– Nie, wolałem się nie wtrącać, żeby nie pogorszyć sytuacji. Sabina wpadała w furię, kiedy mieszałem się w jej metody wychowawcze. Nie chciałem podważać jej autorytetu. A córka była raczej skryta. Czy to już wszystko, bo...

– Jeszcze tylko jedno. Poproszę pana o namiar na tę psycholog.

– Pamiętam tylko, że nazywała się Kozłowska. Imienia sobie nie przypominam. Gabinet ma we Wrzeszczu, adresu pani nie podam, bo zaskoczyła mnie pani w robocie. Pewnie jest gdzieś w domu, ale nawet nie wiedziałbym teraz, gdzie szukać.

– Nie szkodzi, znajdę. Dziękuję, do usłyszenia.

– Oby nie. To znaczy, oby już nie było to potrzebne...

* * *

Ustalenie adresu nie było skomplikowane, bardzo szybko trafiła w sieci na prywatny gabinet psychologiczny magister Ewy Kozłowskiej, najwyraźniej popularny oraz wysoko oceniany przez klientów czy

też może raczej pacjentów. Felicja w sumie nie za bardzo wiedziała, jakiej powinno się używać w tym przypadku terminologii. Nie był to przecież gabinet lekarski.

Od razu zadzwoniła pod podany numer i na wstępie natknęła się na recepcjonistkę, która wyznaczyła jej termin wizyty za dwa tygodnie. Felicja zmuszona była wyjaśnić, że nie jest nową klientką czy też pacjentką – okazało się, że w tym gabinecie używa się raczej nazwy bardziej partnerskiej: „klient” – tylko dziennikarką i chciały po prostu z panią psycholog porozmawiać na temat jej pracy. Nie zajmie dużo czasu. To z kolei wywołało poruszenie, recepcjonistka musiała porozumieć się w tej sprawie z pracodawczynią, ale dość szybko oddzwoniła do Felicji:

– Proszę pani, pani psycholog mogłaby przyjąć panią jutro o szesnastej, jednak będzie miała tylko pół godziny wolnego pomiędzy wizytami kolejnych klientów – oznajmiła. – Czy to by pani odpowiadało?

– Tak, oczywiście, tyle powinno wystarczyć – odparła Felicja zadowolona.

– W takim razie zapraszamy.

– Bardzo dziękuję. Do widzenia.

Do Gdańska pojechała swoim kamperem. W dużym mieście nie wzbudzał aż takiej sensacji jak w Kryszewie, choć teraz już ją tutaj rozpoznawano i mieszkańcy pomalu przywykli do jej domku na kółkach. Na spotkanie stawiała się punktualnie, pięć minut przed czasem. Gabinet mieścił się przy spokojnej, zadrzewionej bocznej uliczce. Gdy wjechała na jego wewnętrzny parking, był prawie pusty, a kiedy doszła do wejścia, dochodziła szesnasta. Gdy zadzwoniła, usłyszała gong, a po chwili drzwi się otworzyły. Recepcjonistka – ładna młoda kobieta – od razu wiedziała, kto przyszedł.

– Dzień dobry. Pani Stefańska z prasy, czy tak? – zagaïła.

– Dzień dobry. Zgadza się. – Felicja pokazała swoją legitymację. – Mam nadzieję, że się nie spóźniłam.

– Nie, nie, jest idealnie. Pani psycholog właśnie skończyła sesję z klientką i za chwilę będzie gotowa. Proszę powiesić płaszcz na wieszaku i usiąść w poczekalni, powiadomię panią, kiedy będzie można wejść.

Dziennikarka usiadła i rozejrzała się dyskretnie: pomieszczenie z tej perspektywy nie było zbyt duże, ale eleganckie. Urządzone nieszczególnie „na bogato”, lecz w dobrym guście, z klasycznym umiarem, w słonecznych beżach. Było widać, że pani psycholog nieźle się powodzi, na brak pracy raczej nie mogła narzekać. „To wróży dobrze”, pomyślała. Po około pięciu minutach zza drzwi w końcu korytarza wychyliła się reęca dość młoda jeszcze kobieta, postawna blondynka w okularach, ubrana na zielono. Skinęła głową recepcjonistce, po czym zwróciła się do Felicji z miłym uśmiechem, który nawet jeśli był wystudiowany, to nie można było tego poznać.

– Pani do mnie, prawda? Już jestem wolna, zapraszam do gabinetu. Krysiu, moja droga, czy mogłabyś... – Zerknęła w stronę recepcji.

– Oczywiście! Drzwi zamknięte, następny klient umówiony za pół godziny, nikt nie będzie przeszkadzał. Zaraz zrobię kawy i przyniosę paniom. – Dziewczyna poderwała się z miejsca.

– Dziękuję ci, kochana. Bardzo potrzebuję kawy. Zatem chodźmy, szkoda czasu. – Psycholożka otworzyła szeroko drzwi przed Felicją i odsunęła się na bok, by ją przepuścić.

Gabinet był urządzony podobnie jak poczekalnia i recepcja, w tym samym stylu. Jasny, pastelowy, wyciszony, optymistycznie nastrajający. Proste białe meble, stonowane obrazy na ścianach. Wygodne fotele, stolik, w rogu dyskretnie ustawiona niska leżanka. Żadnego biurka, żadnych segregatorów, pokój przypominał prywatny salonik. Człowiek od razu czuł się w nim dobrze.

– Bardzo proszę usiąść w fotelu. – Kozłowska z westchnieniem ulgi zajęła drugi, przy okrągłym stoliczku. – Zaraz dostaniemy kawy. Uff, miałam ciężki dzień.

– Oj, bardzo przepraszam, jeśli przeszkadzam w odpoczynku...

– W żadnym wypadku, właśnie odpoczywam. Na szczęście pani nie jest moją klientką i mogę wyluzować! – Roześmiała się i Felicja dopiero wtedy zauważyła, że nie jest już taka młoda, na jaką w pierwszej chwili wyglądała. Siateczka zmarszczek wokół oczu i ust ujawniła jej wiek, psycholożka musiała już dawno przekroczyć czterdziestkę. – Zamieniam się w słuch, proszę zdradzić, o czym będziemy rozmawiać – dokończyła Kozłowska.

– Już się tłumaczę... – zaczęła Stefańska, jednak w tej chwili skrzypnęły drzwi i pojawiła się w nich recepcjonistka z tacą.

Zapachniało kawą.

– Może zacznę od pytania – kontynuowała, kiedy napój został już rozlany do filiżanek, a dziewczyna z recepcji wyszła. – Czy pani kojarzy sprawę gwałciiciela dzieci, który latem zamordował kilka dziewczynek?

Kozłowska poruszyła się niespokojnie i spoważniała.

– Tak, niestety, kojarzę – odparła. – To już chyba domyślałam się, w jakiej sprawie pani przyszła. Przykro mi. – Rozłożyła ręce. – Ale ja nie mogę rozmawiać o klientach, nawet zmarłych. Obowiązują mnie tajemnica zawodowa...

– Doskonale to rozumiem. Obiecuję, że nie będę wypytywała o szczegóły. Jednak prowadzę dziennikarskie śledztwo i współpracuję z policją. Jestem z tej samej miejscowości, z której pochodziła pani klientka. Dziewczynka, która padła ofiarą mordercy. Bardzo nam zależy na wyjaśnieniu tej sprawy, a pani mogłaby nam w tym pomóc – wyjaśniła szczerze Felicja.

– Sądziłam, że została już wyjaśniona?

– Nie do końca...

– Jak to? – zainteresowała się psycholożka.

– Owszem, pedofil siedzi w areszcie. Podobno się przyznał, potem odwołał swoje zeznania, teraz w ogóle nie chce zeznawać. Czeką na proces. Nie skrzywdzi już żadnego dziecka, i to jest najważniejsze. Natomiast odkryliśmy, tak nam się przynajmniej zdaje, pewne okoliczności, które mogłyby wskazywać na drugie dno w tej sprawie. Możliwe, że to nie tylko pedofil, lecz... Proszę wybaczyć, mnie też nie wolno o wszystkim mówić. Możliwe, że to podwójnie niebezpieczny człowiek, i nie chodziło jedynie o motyw seksualny. Dzieciom nic już życia nie przywróci, ale mogłoby to wpłynąć przynajmniej na surowość kary. Chodzi mi o sprawiedliwość.

– Tak, to oczywiście też jest ważne, nawet bardzo – zgodziła się Kozłowska. – Rozumiem... Doszły do mnie słuchy, że zabójca mógł być związany z jakąś sektą. Sądziłam, że to plotki. Dobrze, próbuję państwu pomóc – zdecydowała się. – Ale zastrzegam, że nie wszystkich informacji będę mogła udzielić. Mimo to proszę pytać, odpowiem na to, na co pozwoli mi etyka zawodowa.

– Dziękuję. – Felicja odetchnęła. – Umówmy się, że jeśli jakaś informacja okaże się bardzo ważna, a pani nie będzie mogła wyjawić jej wprost, to da mi pani w jakiś sposób do zrozumienia, jak ją interpretować. Czy to możliwe? Zgodzi się pani? – Utkwiła w rozmówczyni wzrok, z niepokojem czekając na decyzję.

Kobieta zawahała się, ale tylko przez chwilę.

– Dobrze. Możemy się tak umówić. Mnie również zależy, żeby sprawca poniósł zasłużoną karę.

– Cieszy mnie, że się tak dobrze rozumiemy. – Dziennikarka skosztowała kawy. – Zaczniemy od dziewczynki. Na potrzeby tej rozmowy nazwijmy ją na przykład... Lilka.

– Doskonale. – Skinęła głową pani psycholog.

– Czy Lilka długo uczęszczała na sesje? I jak często?

– O ile sobie przypominam, była kilka razy, może z pięć. Raz w tygodniu.

– Przychodziła z rodzicami?

– Z mamą. Nigdy nie spotkałam się osobiście z ojcem dziecka.

– Mama uczestniczyła w tych sesjach?

– Nie. Czekwała w poczekalni. Inaczej nie podjęłabym się pracy z... Lilką.

– Dlaczego?

– Dziewczynka nie tworzyłaby się w obecności matki. Była bardzo skryta, nosiła w sobie pokłady gniewu i żalu.

– Do rodziców?

– Tak, przede wszystkim do rodziców – odparła ze smutkiem psycholożka. – I w ogóle do środowiska społecznego, w którym żyła. Potocznie mówi się, że odczuwała żal do całego świata.

– Jak to się wszystko odbywało? Te sesje? Jestem laikiem, zupełnie nie znam się na tym. Za moich czasów psycholog zajmował się co najwyżej typowaniem uczniów do odpowiednich szkół średnich...

– Zgadza się, preferencjami zawodowymi. – Uśmiechnęła się rozmówczyni.

– O, właśnie. Więc jak to wygląda w pani praktyce?

Kozłowska usadowiła się wygodniej i sięgnęła po filiżankę.

– Zwyczajnie – odparła. – Jak chyba wszędzie. Odbywałam sesję z moją klientką, w tym czasie jej matka czekała, czytała gazety, czasem wychodziła na zakupy albo na spacer. Sesja trwa standardowo pięćdziesiąt minut. Potem córka opuszczała gabinet, pozostając pod opieką mojej asystentki. W tym czasie rozmawiałam z jej matką.

– Czy to była psychoterapia?

– Odbyłyśmy dwie konsultacje psychologiczne, pierwsze z udziałem matki, a następnie kilka sesji terapeutycznych.

– Czy dziewczynka trafiła do pani ze skierowaniem?

– Nie. To była inicjatywa rodziców. Raczej matki niż ojca, choć ojciec aprobował tę decyzję. Akurat to wiem, bo raz czy dwa razy przywoził je tu i po nie przyjeżdżał, kiedy kończyłyśmy późno. Choć nigdy nie wchodził, czekał w samochodzie.

– A na czym polegał problem Lilki? – Felicja zadała wreszcie kluczowe pytanie.

Kozłowska odstawiła filiżankę, przygryzła wargi, widać było, że zastanawia się intensywnie nad odpowiedzią.

– Nie wiem, jak by to ująć – odezwała się w końcu. – Z pewnością problem związany był z wiekiem dojrzewania...

– To znaczy, że buntowała się? Ale to chyba dość normalne u nastolatków?

– Nie to miałam na myśli... – Psycholożka jeszcze bardziej się zakłopotowała. – Wchodzimy tu w zakres danych poufnych. Powiedzmy, że dziewczynka... Lilka... nie akceptowała swojego ciała. Tak chyba mogę powiedzieć.

Felicja zastygła z kawą w dłoni, ręka jej zdrząła, kilka kropel wylało się na porcelanowy spodeczek.

– Chodziło o płęć? O identyfikację? Tożsamość płciową? – zapytała wreszcie, również dla bezpieczeństwa odstawiając filiżankę na stolik.

– Niestety, więcej nie mogę zdradzić. – Rozłożyła ręce Kozłowska.

– Takie rzeczy się zdarzają – odparła dziennikarka lekkim tonem, trywializując temat, żeby rozładować napiętą w tej chwili atmosferę. – Sama pamiętam, jaki miałam problem z zaakceptowaniem faktu, że mi rosną piersi, wstydziłam się tego. Nie wspominając już nawet o okresie. Fakt, że wtedy były inne czasy. A co jej matka na to? Czy... Lilka miała wsparcie ze strony rodziców?

Kozłowska pokręciła głową.

– Dla nich to z pewnością też było trudne – powiedziała ostrożnie. – Ojciec podobno umywał ręce. Udawał, że niczego nie dostrzega. Typowe wyparcie. Matka, niestety, nie potrafiła się z tym pogodzić, zaakceptować. Zupełnie nie radziła sobie z problemem, bardzo przeżywała tę sytuację, choć próbowała i z nią pracować. To nie pomagało dziecku, które żyło w ciągłym konflikcie, z rodziną, ze sobą.

– Teraz rozumiem. Biedna mała. – Felicja spochmurniała.

– Tak, to prawda. Miewała nawet myśli samobójcze, na szczęście kontrolowałyśmy je razem. Dlatego kiedy dowiedziałam się o jej śmierci, w pierwszej chwili pomyślałam właśnie o tym, dopiero później dowiedziałam się z mediów, co się stało.

– Czy ta matka... kochała córkę? – Dziennikarka, wbrew sobie, pomyślała w tym momencie również o własnej matce i łączących je obie relacjach.

– O tak, nawet za bardzo! – odparła Kozłowska. – Oboje rodzice zresztą... każde na swój sposób, choć z tego, co mówiła matka, on najbardziej kochał siebie. Nie udało mi się do końca zdiagnozować ich relacji, ale wydaje mi się, że ten mężczyzna był bardzo zakochany w swojej żonie i dziecko postrzegał trochę jak rywala. Trudno mi powiedzieć, co lepsze, bo z jej strony była to z kolei toksyczna i zaborcza miłość matki do dziecka. Nie dawała córce nawet skrawka prywatnej przestrzeni, nie pozwalała na rozwój osobowości. Dziecko było dla niej pępkiem wszechświata.

– Straszne życie miała ta mała. Nie próbowała pani przekonać matki, żeby nie rezygnowała z psychoterapii?

Psycholog się zachnęła.

– Oczywiście, że próbowałam! Ale nie mogłam naciskać, oskarżała mnie o naciąganie jej na pieniądze! Stwierdziła, że zamiast pomóc ich córce, szkodzę. Że nie jest zadowolona z moich usług. Tak się wyraziła. Oświadczyła też, że zaprowadzi dziecko do lepszego specjalisty – zdenerwowała się pani Ewa. – Pozbawiła mnie wszelkich argumentów. Co miałam robić w takiej sytuacji? Oponować?

– No i zaprowadziła – wyrwało się Stefańskiej ze złością. – Do księdza. Zamierzała zatrudnić egzorcystę!

– Boże drogi...

– No właśnie.

Obie zamilkły. Kozłowska zerknęła na zegar i zerwała się splotzona. Rzeczywiście, w tym samym momencie uchyliły się drzwi gabinetu i zajrzała recepcjonistka.

– Przyszła następna klientka – szepnęła. – Czeka.

– Już kończymy, za chwilę ją poproszę. Bardzo mi przykro – zwróciła się do Felicji, która już zaczęła się zbierać.

– To ja uciekam, nie przeszkadzam. Serdecznie dziękuję za pomoc. Dowiedziałam się ważnych rzeczy. I przepraszam za kłopot, zajęłam pani całą przerwę...

– Nie ma za co. Proszę pamiętać o naszej umowie. Oficjalnie niczego nie potwierdzę. Chyba że dostanę nakaz sądowy.

– Myślę, że nie będzie takiej potrzeby. Jeśli nawet, to nie z mojego powodu. Choć nie mogę się wypowiadać za sąd, kiedy dojdzie do procesu. Niech się pani nie martwi, będę dyskretna. Do widzenia.

Była tak poruszona tym, co usłyszała, że nie mogła prowadzić auta. Usiadła więc w pierwszej z brzegu kawiarni w centrum handlowym Manhattan. Zamówiła cejlońską herbatę earl grey i teraz obejmowała dłońmi gorącą filiżankę. Rozmyślała. Było jej żal małej Julii. Musiała się czuć zagubiona. Zdecydowanie rodzice ją zawiedli. Iluż tragedii i dramatów można by uniknąć, gdyby ludzie nie byli tak zaślepieni, ograniczeni, przesądni, nietolerancyjni. Małostkowi. Gdyby nie niszczyli cudzego życia, skoro ze swoim sobie nie radzą...

Pomyślała o Arturze. W zasadzie powinna mu powiedzieć o tej wizycie, jednak bała się jego reakcji. Jeszcze nie czas. Zresztą o tej porze i tak pracuje, nie warto go niepokoić. Nie bardzo wiedziała, jak to wszystko ze sobą powiązać. Gdy już się uspokoiła i uporządkowała myśli, sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do swojej asystentki. Miała dla niej zadanie.

Szybko wprowadziła Malinowską w temat, nie wyjawiając jednak wszystkiego, tylko tyle, ile wydawało jej się niezbędne.

– Trzeba by jeszcze raz wypytać kogoś, kto dobrze znał Julkę, o jej problemy – powiedziała do Kaśki. – Najlepiej jakiegoś rówieśnika, rówieśnicę, nikogo dorosłego. Zastanawiałam się, kto to mógłby być...

– Zdaje się, że Julia nie miała nikogo takiego – odparła ze smutkiem Kasia.

– A jednak o kimś zapomnieliśmy!

– O kim? Nikt mi nie przychodzi do głowy. Rozmawiałam z jej koleżankami z klasy, żadna nie była z nią blisko.

– Pamiętasz, że ta sąsiadka, która się zabiła, Kalińska, miała córkę mniej więcej w wieku Julki? Podobno obie dziewczynki znały się od dziecka i przyjaźniły. Jeśli Julia komuś się zwierzała, to chyba najprędzej jej.

– O, a to całkiem możliwe! – ożywiła się Malinowska. – Nie pomyślałam o niej, bo z tymi ludźmi rozmawialiście razem z Rybą. Mnie przy tym nie było.

– Wiem, nie musisz mi wypominać. – Felicja wyczuła lekki wyrzut w jej głosie. – Co prawda dziewczynki później się trochę od siebie oddaliły, ale i tak się spotykały, rozmawiały ze sobą. Mieszkały obok. Dobrze byłoby coś wyciągnąć z tej małej...

– Na pewno.

Felicja dosłyszała w tym coś jakby powątpiewanie, jednak zignorowała je.

– Pogadałaś z nią? Masz już wprawę, jesteś młodsza i lepiej ode mnie porozumiewasz się z dziećmi.

Malinowska odparła z wyraźnym wahaniem:

– No nie wiem. Ona mnie nie zna...

– Mnie także nie! Nie było jej wtedy w domu.

– Ale przynajmniej znasz jej ojca.

– Ty nie z ojcem masz gadać, tylko z córką. W cztery oczy. O to chodzi, żeby to się nie odbywało przy nikim z ich otoczenia. Musiałabyś złapać tę małą gdzieś samą, może jak będzie wracała ze szkoły. Więc jak, spróbujesz?

– Kurczę, jakoś mi głupio, pomyśl, ta dziewczynka sama jest po traumie, niedawno straciła matkę...

– Rozumiem, ale nic na to nie poradzę. Ona jest jedyną osobą, która mogłaby powiedzieć nam coś więcej o Julii.

– To aż takie ważne?

Stefanińska się zreflektowała. Przecież Kaśka nie wie wszystkiego, nie śledzi jej myśli. Ma prawo nie rozumieć.

– Uwierz mi na słowo, że tak – odparła. – To cholernie ważne. Później wytłumaczę ci dlaczego.

– No dobrze – westchnęła Malinowska. – Spróbuję, skoro tak. Tylko daj mi namiary na tę dziewczynkę.

– Super. – Felicja odetchnęła. – Tutaj ich nie mam, poszperaj w sieci, na stronie szkoły, może na Insta lub w innych mediach tego typu, nie wiem, czego teraz nastolatki używają. Ona ma na imię Daria. Daria Kalińska. Resztę ogarniemy, jak wrócę. Za chwilę wyjeżdżam z Gdańska, właśnie zasuwam na parking. Będę niedługo, oby tylko udało się ominąć korki...

– Nie spotkasz się z komisarzem?

– Nie dziś. On jest teraz w robocie, policjanci też mają zapierdziel. Zaczekaj na mnie w biurze, dobrze?

– Tak jest, szefowo!

Uzgodniły wszystko, po czym Malinowska poszła do domu, a Felicja wyprowadziła na spacer psa. Po powrocie wrzuciła do piekarnika mrożoną pizzę. Burego nakarmiła wcześniej Kaśka, ona tymczasem do tej pory nie jadła jeszcze obiadu, nie miała czasu. Za oknem zrobiło się ciemno, zbliżał się wieczór. Na zewnątrz zaczynały wyc wiatr, zanosiło się na zmianę pogody. Zabrała się do jedzenia, nie włączając nawet komputera ani tym bardziej telewizora – chciała w spokoju pomyśleć. Spokój jednak nie był jej dany, jak zawsze wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowała...

Około dwudziestej pierwszej zadzwonił Ryba.

– Ty, Fela, co jest grane?! – zaczął z pretensją w głosie. – Dostałem info, że prześladujesz księdza proboszcza!

– Co, kurde?! – Dziennikarka o mało nie udławiła się kęsem ciasta. – Że co ja niby robię? Powtórz!

– Sorry za Felę, wiem, że nie lubisz, ale się wkurwiłem. Podobno wciąż biegasz na plebanię i molestujesz księdza.

– Dobrze, że nie mam dwunastu lat – rzuciła jadawicę. – A może jednak źle. Skąd ten hejt? Ojczulek się sam poskarżył?

– Anonimowy donosik – odparł i po chwili parsknął śmiechem. – Spoko! Ktoś cię po prostu nie lubi. Pofatygowałem się i zadzwoniłem do proboszcza, żeby zapytać, o co tu chodzi. Był zdziwiony i powiedział, że absolutnie nic takiego nie miało miejsca. Dodał jeszcze, że on nie rości pretensji.

– Niemożliwe! – Odsunęła od siebie resztki pizzy i dopiła wino. Od dawna już prawie nie piła, mając w pamięci dół moralny w czasie szczytu pandemii w Albanii. Generalnie unikała alkoholu. Czasem jednak nie mogła odmówić sobie lampki wina czy piwa do obiadu.

– A jednak. Chłop stanął w twojej obronie!

– Co za zaszczyt. Widocznie ma w tym interes. A zakablować musiała ta nadgorliwa tłusta kwoka z plebanii. – Skrzywiła się z niesmakiem i wkurzona zapaliła papierosa. – Może się w nim kocha.

– To możliwe. Trafiłaś na rywalkę. Aha, ksiądz prosił, żeby ci przypomnieć, że masz się po coś do niego zgłosić. Podobno już to znalazł i czeka w tygodniu. Byle po mszy. Ty się chyba nie nawróciłaś? Bo mi się od razu Kopczyńska przypomniała...

– A idź w cholerę, Ryba. Nie wyciągniesz ze mnie ani jednego słowa na ten temat. Ale dzięki za przekazanie wiadomości. Nie wiedziałam, że nasza dzielna policja służy kościołowi nawet w takim charakterze – odparowała zgryźliwie.

– Już się boję, co będzie po twojej kolejnej wizycie w kościele. Uważaj, bo zazdrosna kobieta jest zdolna do wszystkiego! – Zarżał.

– Co najwyżej wydrapie mi oczy. I może nareszcie przejdę na rentę inwalidzką. Bo przecież nie zastосуje nelsona przeciwko takiej świętej niewieście...

Kiedy się rozłączyli, Stefańska z powrotem przysunęła do siebie blaszkę z pizzą i dołała sobie wina. Buremu wrzuciła do miski twarde brzegi, które bez problemu schrupała. Otworzyła swój notatnik i – studiując zapiski – zabrała się do jedzenia. Obie te czynności przerwał jej kolejny dzwonek telefonu. Tym razem zadzwoniła Greta, by ją poinformować, że dwie wrogie rakiety właśnie spadły na terytorium Polski i są ofiary...

Na szczęście zanim na dobre zdążyła wybuchnąć panika, sprawa się wyjaśniła. Nie były to „wrogie” pociski, tylko zabłąkane. Wojna toczyła się za naszą granicą – choć już opadły emocje – i nic nie zapowiadało bliskich zmian. Ale nawet zabłąkane zabiły dwóch mężczyzn, jakby mało było nieszczęść.

– W trudnych czasach przyszło nam żyć – podsumowała Greta dwa dni później. – Tyle się mówilo, że jesteście pierwszym pokoleniem, które nie zna wojny. No to już znamy. Bo nawet jeśli nie nasza, to i nas dotyka.

– Ile razy mam ci powtarzać, że nie ma świata bez wojny. – Felicja wzruszyła ramionami. – Ludzie wiecznie ze sobą wojują, nawet jeśli nie nazywają tego wojną. Zostaw dwie osoby na bezludnej wyspie, zaręczam ci, że po jakimś czasie na bank zaczną ze sobą toczyć wojnę, po czym jeden drugiego zabije. Taka jest ludzkość. Dość głupi, mało sympatyczny i agresywny gatunek ssaków.

– Masz rację, choć są różni ludzie. Ci zresztą też nie nazywają tego wojną, wymyślają jakieś synonimy, bzdurne słowotwórstwo...

– Bo jak nie nazwiesz rzeczy po imieniu, to możesz wierzyć, że tego nie ma. Takie kreowanie rzeczywistości. Słowo jest cieniem czynu, pamiętasz? Już Rzymianie w czasach antyku o tym wiedzieli. A ludzie są różni, owszem, ale tylko pojedynczo. Zbiorowo jesteśmy rakiem na tej ziemi. Idealistko...

Greta uśmiechnęła się smutno.

– Muszę być idealistką – odparła. – Jestem odpowiedzialna za moich ziomków. Mieszkańców mojej gminy.

– Oby tak myśleli wszyscy politycy. – Felicja się roześmiała. – Bo jak dotąd to właśnie wy... oni są głównym zagrożeniem.

– Mylisz pojęcia. To nie są politycy, tylko despoci. Ludzie z kompleksami, żądni władzy, nie postępu czy dobra świata.

– Jak zwał, tak zwał. Moim zdaniem niekoniecznie despoci, tylko zwykłe skurwysyny. Mają przewagę liczebną nad takimi politykami jak ty.

– Czyli na tej planecie nigdy nie będzie spokoju?

– Nigdy. Spokój to tylko w raju! Dlatego żaden nie istnieje. Wyłącznie piekło, które zbudowaliśmy tu, na ziemi.

– Ty to potrafisz pocieszyć człowieka!

– Artur też tak zwykł mawiać. – Felicja znowu się zaśmiała. – Trudno, moi mili. Bardziej ze mnie Kassandra niż pocieszycielka strapionych. Jestem realistką. A najbardziej mi żal, kiedy przez ludzi cierpią czworonogi.

– Tutaj się zgadzamy. One nie są niczemu winne, a cierpią, bo my odebraliśmy im ich świat i zawłaszczylimy go, żeby zniszczyć, co się da. Cholera, zmienimy temat. Co z naszą sprawą? Bo rozumiem, że to jest nasza wojna.

– Toczy się. Mam nadzieję, że do przodu. Ale na razie nic ci więcej nie powiem, jedną rzecz muszę najpierw sprawdzić...

* * *

Tym razem święta niewiasta była dla Felicji grzeczna, choć za tą ostentacyjną fasadą lukru kryła się potężna dawka jadu. Gdyby tylko wy dostała się na powierzchnię, Stefańska już leżałaby martwa u jej stóp.

– Dzień dobry, to znowu ja. Przekazano mi, że ksiądz proboszcz mnie oczekuje – oznajmiła dziennikarka po wejściu.

– Tak. Wiem. – Na pulchnej różowej twarzyczce pojawił się pełen słodczy uśmiech.

Felicja wolała nie przyglądać mu się zbyt uważnie.

– Czy można? – Wskazała z wahaniem na drzwi prowadzące do dalszych pomieszczeń parafii, ponieważ kobieta nie wykazywała już zainteresowania jej osobą. Kancelistka podniosła oczy znad komputera, lecz nie ruszyła się z miejsca. Odpowiedziała jednak:

– Proszysz...

– Mogę tam sama iść? – zdziwiła się dziennikarka.

– Chyba trafi, prawda? – Kobieta uśmiechnęła się jakby jeszcze promienniej. – Idzie się na prawo, dalej prosto, aż do końca korytarza i drzwi u szczytu. Dam znać księdzu. – Podniosła słuchawkę domofonu.

Felicja nie czekała, tylko wyszła na korytarz. Trafiła bez problemu, choć dziwnie się czuła sama w tych pustych, pełnych echa westybulach. Proboszcz już na nią czekał, bo drzwi kancelarii zastała uchylone. Mimo to zapukała, zanim weszła.

– Zapraszam, zapraszam naszą lokalną gwiazdę dziennikarstwa! – Ksiądz siedział na swoim miejscu za okazałym biurkiem.

– Dzień dobry.

– Szczęść Boże, odpowiem przekornie, choć wiem, że dla takich jak pani to nic nie znaczy – odparł nieco rubasznie. – Proszę usiąść, mam dla pani to, co obiecałem. – Zaczął szperać w szufladach biurka, aż wydobyl arkusz papieru.

– Cóż to jest? – Nie wytrzymała.

– Zraz wyjaśnię. To kserokopia. Otóż mój poprzednik, który wiele lat był tutaj proboszczem, prowadził na bieżąco kroniki parafialne, ale również prywatne notatki do nich. Lecz tych już osobom postronnym nie udostępniał. Pozostawił je mnie, zanim przeszedł na emeryturę. To bardzo ciekawy materiał. W tym przypadku dotyczy nielegalnej organizacji działającej w gminie na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. Nie wiem, jak ją nazwać. Sekta? Kasta? Bo sami siebie uważali podobnie za lożę wolnomularską. Pani dopytywała ostatnio o czarne msze oraz inne obrzędy odprawiane na terenie starej szkoły. Oni właśnie tam działali, powołując się na przeszłość tego wiekowego budynku, który był masonski. Ksiądz proboszcz skutecznie, choć przez lata, walczył z tymi heretykami. Tutaj zaś mamy odrębny rys historyczny dotyczący miejsca i budynku, który pier-

wrotnie był młynem, a także kompletną listę zbłąkanych owiec, czyli odszczepieńców uczestniczących wówczas w owym grzesznym procederze... – zawiesił głos, nadal jednak nie pokazał jej arkusza.

Felicji zrobiło się gorąco.

– Co to byli za ludzie? – zapytała.

– Z tego, co się zdołałem zorientować, sama inteligencja! – Ksiądz z jawną pogardą wzruszył ramionami. – Nazwiska znane w naszej parafii, elita rodzima, prawie wszyscy stąd, lokalni, choć też paru się znalazło z Gdańska. Ja bym ich nie nazwał „zbłąkane”, tylko czarne owce.

– Byli przestępcami? Rzeczywiście robili coś złego? Mam oczywiście na myśli czyny karalne...

– Milicja wówczas nic im nie udowodniła. Bo chyba była to jeszcze milicja, zresztą nie wiem, to stare dzieje, w tamtych czasach nawet nie byłem ministrantem. Lecz kto wie. Różne słuchy na ten temat krążyły, jak twierdził mój poprzednik. Niestety, już jest z Panem Bogiem, więc nie dopytam.

– Czyli zostali ujęci?

– Owszem. Ksiądz proboszcz się tego domagał. Jednak świecka władza niczego im w końcu nie zarzuciła. Stwierdzono, że była to tylko zabawa, taka gra. Im przeciwie szatan niegroźny! Władze mam na myśli, bo sami sekciarze, wiadomo: z diabłem za pan brat. Heretycy dostali wyłącznie zakaz używania do swoich praktyk miejsc publicznych, takich jak ta opuszczona już wtedy szkoła.

– Rozumiem. Pokaże mi ksiądz te zapiski?

– Proboszcz chrząknął i napił się wody ze stojącej obok szklanki.

– Po to je kazałem skserować. Jednak muszę zastrzec, że nie są to materiały jawne. Tylko do pani wglądu. Proszę ich, broń Panie Boże, nie publikować, nie kopiować, nie powoływać się na naszą wspólnotę.

– A gdybym chciała księdzu podziękować?

– To nie mnie osobiście, tylko Kościołowi, który reprezentuję – odparł skromnie. – To mile widziane. Ale tylko ogólnie, bez szczegółów.

– Jasne, w porządku. Obiecuję. Czy mogę teraz na to zerknąć? – Felicja wyciągnęła rękę po dokument.

Szybko przebiegła wzrokiem rys historyczny. Większość informacji była zgodna z tym, co już znała z publikacji i wspomnień mieszkańców gminy, a to potwierdzało ich wiarygodność. Starszy duchowny pisał wiecznym piórem, strzelistym, czytelnym – niemal kaligraficznym – charakterem pisma.

Początki młyna Holzrichterów to sam początek dziewiętnastego stulecia. Postawiono go na sztuczny kanał zasilany wodami rzeki Raduni i rozbudowano pod koniec wieku. Był to młyn oraz hamernia żelaza, a na początku wieku dwudziestego powstał tam także tartak oraz stolarnia. Gdańska rodzina Holzrichter była też w posiadaniu większości ziem okolicznych. Właścicielami budynku pozostali oni do 1920 roku, kiedy to Senat Gdański odebrał im prawo własności z powodu budowy elektrowni. Pomimo tego młyn działał jeszcze przez kilka lat na rzecz rodziny dzięki dzierżawie, jakiej zgodził się udzielić Senat. Pod koniec lat dwudziestych dzierżawa się zakończyła, a rodzina Holzrichter przeniosła się do Niemiec, gdzie do dziś prowadzi firmę handlującą stalą. Zaznaczyć należy, że Holzrichterowie byli masonami z dziada pradziada. W 1930 roku opuszczony obiekt został przekazany Stoczni Gdańskiej, która przekształciła go w ośrodek czasowy dla swoich pracowników. Każdy pracownik stoczni miał prawo raz do roku do dwutygodniowego pobytu w ośrodku wraz z rodziną. Wtedy też powstała restauracja oraz drewniana scena na położonej obok wyspie, gdzie mogli leżakować czasowicze, a także chorzy na gruźlicę, gdyż ponoć są tu dobre warunki klimatyczne do leczenia chorób płucnych. W czasie wojny wypoczywali tutaj również budowniczy łodzi podwodnych u-boot, które produkowała stocznia. Pod koniec wojny leczono tu niemieckich żołnierzy oraz esesmanów. Z tym związały się plotki o ukrytych skarbach albo o ważnych dokumentach niemieckich, których nigdy nie odnaleziono, jak też o masonskich praktykach odbywających się regularnie w podziemiach wiekowego budynku, także podczas wojny, hitlerowcy wszak pasjonowali się heretycką mistyką.

Po wojnie budynek niszczał, dopiero w 1950 roku przystosowano go dla potrzeb szkoły powszechnej. W 1986 roku szkołę przeniesiono do nowo wybudowanego budynku, a stary młyn miał zostać wyremontowany. Niestety, był to zły okres z powodu zmian zachodzących wówczas w naszym kraju, rozpoczęty remont został przerwany z braku funduszy. Budynek niszczał dalej, zamieszkiwany jedynie przez margines społeczny, mniej więcej do połowy lat dziewięćdziesiątych, kiedy to kupił go prywatny przedsiębiorca i rozpoczął przebudowę z przeznaczeniem na hotel. Pech chciał, że konserwator zabytków stwarzał trudności, więc już rozpoczęte prace stanęły w miejscu. Po paru latach firma tamtego przedsiębiorcy upadła, a budynek pozostawiono na zmarnowanie. Obecnie (tutaj dopisek innym charakterem pisma na marginesie: czyli

w początkach lat dwutysięcznych) zostały po nim jedynie tylko fundamenty oraz ściany piwnic. Porzuconą ruinę ponownie wzięły we władanie opętane przez szatana jednostki, które utworzywszy podejrzaną wspólnotę i powołując się na dawne tradycje masonów, skutecznie w jej murach diabelskie rytuały. Niektórzy mówią, że przy okazji też zajmowały się poszukiwaniem poniemieckich skarbów.

Gdy zerknęła niżej, na zapisane w równym rzędku nazwiska, załapała ją kolejna fala gorąca...

– Księdzu znane są te nazwiska? Co się dzieje obecnie z tymi ludźmi? – zapytała, próbując opanować emocje.

– Nie ukrywam, że też mnie one zainteresowały – odparł. – Ano, cóż, większość to nie moi parafianie, choć paru o tych nazwiskach u siebie mam, człowiek przecież nie odpowiada za swoją rodzinę, jeśli ta grzeszyła. Ci wierni nawet nie znają tamtej historii, lata od tego czasu minęły. Niektórzy się pokajali, wiem od poprzednika. Większość rodzin wymienionych osób już nawet tutaj nie mieszka, rozjechali się po Polsce albo emigrowali do Niemiec, gdzie ich korzenie. Inni to wciąż odszczepieńcy, tak jak, nie przymierzając, pani – dodał tryumfalnie z błyskiem w oku.

– Ja? A co ja mam z tym wspólnego? Bo nie rozumiem.

– W tym sensie, że z pani też odszczepieniec. Bo chyba była pani ochrzczona? – podchwycił szybko. Felicja udała, że się namyśla.

– Nie pamiętam – skwitowała z niewinnym uśmiechem i wzruszyła ramionami.

Ksiądz zachnął się, ale powstrzymał od odpowiedzi.

– A pani nikogo z nich nie zna, nie kojarzy? – Zamiast tego zadał pytanie. – Ja wiem, że pani też jest tutaj nowa. Tak samo jak ja. Ale parę lat już tu pani mieszka, pracuje, chyba zdążyła pani trochę poznać mieszkańców?

– Niestety – skłamała. – Chyba nikogo z tych ludzi nie znam.

– Jest tu na przykład niejaki Gut. Mażonek tej, co tu teraz sklep obok kwaciarni prowadzi, a wcześniej mieli kiosk z gazetami w Gdańsku...

– A, to rzeczywiście kojarzę! Choć nazwiska nie znałam. Czy to prawda, że ona była kiedyś zakonnicą?

– Prawda. Wychodzi na to, że ją mason do herezji nakłonił, skoro z klasztoru uciekła. – Ksiądz zmarszczył brwi.

– Musiała uciekać? Wydaje mi się, że po prostu dobrowolnie opuściła zakon. To przecież nie więzienie?

– Pani mnie nie łapie za słówka, pani żurnalistko!

– Macie też swoje... feudalne nawyki – zakpiła. – Mówię ogólnie, o klerze. Trochę pokory by się jednak w dzisiejszych czasach przydało. To wolny świat. Nikt nie jest już przywiązany ani do ziemi, ani do swego stanu.

– Na ten temat nie zamierzam z panią dyskutować. To ohydne lewackie poglądy. A wracając do tych Gutów, ona jest teraz wrogiem Kościoła numer jeden. Za to on to taki ścichapek. Od lat niby spokojny człowiek, jednak do kościoła nie chodzi, uważa się za ateusza. Ja bym mu za grosz nie ufała, znając jego przeszłość.

– Z powodu tej listy? A to na pewno ten sam?

– Ani chybi.

– Musiał być wtedy młody. Młodym ludziom czasem odbija. Takie „tajne grupy” to dla nich romanizmem, niezła zabawa...

– Młody, nie młody, to heretyk. I żadna zabawa. Grzech i tyle. – Ksiądz ostentacyjnie się nadał. – Sam Bóg ich pokarał brakiem potomstwa – dodał po chwili.

– Grzech to już nie moja dziedzina, tym się nie zajmuję. Dla mnie ważne, czy ich działalność miała znamiona czynów karalnych. Mogę zabrać ten wydruk? – zapytała. – Chciałabym skonfrontować informacje z kimś lepiej zorientowanym.

Proboszcz wyjął jej kartkę z rąk i rzucił na nią okiem. Następnie z szuflady wyłowił nożyczki, po czym odciął kawałek arkusza.

– Bez tej listy. – Wręczył go jej z powrotem. – Ale same nazwiska może pani przepisać do swojego notesu.

– Okej, to mi wystarczy. Dziękuję.

Stefańska nie zdradziła księdzu proboszczowi, że kojarzy więcej nazwisk z tej listy, a wśród nich jedno znaczące...

* * *

– Coś o tym wiesz? Mieszkałaś tu przecież w tym czasie! – Felicja zaatakowała Gretę po złożeniu jej szybkiej relacji ze spotkania z proboszczem. Poszła do niej bez uprzedzenia, prosto z plebanii. Wiedziała, że wójt jest tego dnia wolna i planowała porządkowanie ogrodu. I rzeczywiście zastała przyjaciółkę przy zamiataniu igieł opadłych z wysokiego modrzewia, rosnącego przy podjeździe.

– Kurczę, tony tego gówna, w życiu tego nie ogarnę... – wymamrotała pod nosem Greta i oparła się o miotłę. – Musisz jeszcze na mnie wrzeszczyć?

– Nie wrzeszczę, tylko mówię głośno, bo twój sąsiad raczy akurat przycinać swój żywopłot i warczeć tą cholerną maszyną. No więc? Pamiętasz coś z tego?

Pazikowa wrzusiła ramionami.

– To była połowa lat osiemdziesiątych, jeśli dobrze rozumiałam – odparła. – Wtedy byłam za młoda, żeby znać takie sprawy. Poza tym wtedy studiowałam na podyplomowych, więc rzadko siedziałam w domu, a moi rodzice raczej nie zajmowali się plotkami, ojciec miał swoje problemy, a mama chorowała. Więc nie, sorry, tego akurat nie pamiętam. Tylko tyle, co ci mówiłam, że takie pogłoski chodziły, nawet wtedy, kiedy byłam dzieckiem.

– Takie, czyli jakie?

– Ale ty tępa jesteś! – Roześmiała się Greta. – Ze sto razy o tym mówiłam. Te o masonach i o skarbach w podziemiach szkoły. Ale to były takie ogólne bajki, bez konkretów. Nikt w to na serio nie wierzył.

– Chciałam się tylko upewnić.

– No to więcej ci na ten temat nie powiem, bo nie wiem. Pokaż mi te nazwiska. – Pazikowa oparła miotłę o pień i zdjęła rękawice. – Niech no na nie luknę... .

Stefańska podała jej notes i zapaliła papierosa. Czekala, obserwując minę Grety, która czytała ze zmarszczonymi brwiami. W końcu zwróciła jej zapiski.

– Nie wszystkich nawet kojarzę – powiedziała z namysłem. – Ale niektórych po nazwiskach tak. Część już tutaj od dawna nie mieszka, a inni to... normalni ludzie. – Ponownie wrzusiła ramionami. – Jedynie ten Gut faktycznie się wyróżnia. To dziwny facet i ta jego żona jeszcze bardziej. Ale niby co im zarzucić? Mają prawo być dziwakami. Ty też jesteś dziwna. Pracują, płacą podatki, nie mają do czynienia z prawem. Zresztą z tego, co ci ten ksiądz mówił, nawet wtedy śledztwo niczego nie wykazało i policja czy tam milicja olała sprawę. Chyba ci księża mają jakąś obsesję...

– A że mają obsesję, to wiadomo od setek lat! – parsknęła dziennikarka. – Ameryki, stara, nie odkryłaś. Mnie ta sprawa jednak intryguje nie dlatego, że wierzę w te masońskie obrzędy czy inne takie. Coś jednak musiało się za tym kryć, skoro zapisali nazwiska i donieśli glinom. Ciekawe, o co tak naprawdę chodziło.

– Moim zdaniem o wpływy. To był jeszcze socjalizm, Kościół walczył o wiernych, a ci może podsłakiwali, w mniemaniu starego księżulka deprawowali innych, nie wiem. Wszystkich nie znam, ale większość to inteligencja, wykształceni, nasz kler nigdy za takimi nie przepadał. Ale nie łączysz tego chyba serio z „naszym” zbroczeniem i zabójstwem Julki Kopczyńskiej? – Greta przyjrzała się Felicji z zaciekawieniem.

Reporterka przydeptała papierosa i wrzuciła niedopałek do stojącego przy bramie śmietnika.

– Na razie tylko zbieram materiały. Wszystko, co mi się wydaje pasować do tematu. To jak puzzle. Potem spróbuję poskładać je w jeden obraz – wyjaśniła.

– Rozumiem, No to bierzaj, a potem może spróbujemy ułożyć te puzzle razem. Tymczasem chodź do mnie na kawę – zaproponowała Greta Pazik, obrzucając podjazd niechętnym spojrzeniem.

– A ta kupa igliwia?

– Przemek wróci z pracy, to dokończy. On ma więcej cierpliwości do takich robótek. Tylko porządnie buty otrzeć, bo to się jak cholera nosi do domu.

* * *

W tym samym czasie, kiedy Felicja z Gretą popijały kawę, dyskutując o Kościele i masonach, redaktor Kasia Malinowska czaiła się pod miejscową podstawówką, polując na małą Darię Kalińską. Stefańska dowiedziała się o tym po fakcie, z późniejszej relacji swojej asystentki. Malinowska nie była do tej pory przyzwyczajona do śledzenia kogokolwiek, więc głupio się czuła, stercząc pod szkołą i udając, że tylko spaceruje pomiędzy rachitycznymi drzewkami. Obawiała się, że ktoś zwróci na nią uwagę, jakiś rodzic albo nauczyciel, i doniesie na policję, że kręci się tutaj podejrzana osoba. Nikt jednak nie zareagował. Wiedziała dokładnie, o której dziewczynka kończy tego dnia lekcje, ale mała z jakiegoś powodu spóź-

niała się, nie wybiegła z tabunem innych dzieciaków. Może w ogóle nie było jej dzisiaj w szkole, zastanawiała się Malinowska, zerkając na wyświetlacz komórki, by sprawdzić czas i zamaskować swoją tutaj obecność.

Dopiero gdy boisko opustoszało, w drzwiach szkoły pojawiła się samotna drobna postać. Kaśka od razu rozpoznała małą Kalińską, którą znała tylko z sumiennie przestudiowanych social mediów. Daria, ubrana w pikowaną lawendową jesionkę oraz żółtą czapkę i tego samego koloru kalosze, nie była już wcale taka mała. Wysoka, lekko otęła dziewczynka w okularach, wyglądała poważnie na swój wiek. Młoda dziennikarka przypomniała sobie, że dziecko niedawno straciło przyjaciółkę, a zaraz potem matkę, i poczuła się jeszcze bardziej nieswoją. Nie, to nie będzie łatwa rozmowa. Kasia nie była nawet pewna, czy odważy się zacząć dziewczynkę.

Na razie poszła w ślad za nią, pilnując dystansu, byle oddalić się od terenów szkolnych. Daria nie zatrzymała się na przystanku autobusowym, jak inne dzieci, nie musiała: na swoje osiedle miała blisko, może z kwadrans, trzeba było tylko pokonać kawałek drogi poboczem wzdłuż głównej szosy. Dziewczynka szła wolnym krokiem zamyślona, a dziennikarka kilka metrów za nią, zastanawiając się gorączkowo, jak zagaić rozmowę, zanim jedenastolatka dotrze na miejsce. Miała farta, gdyż w pewnym momencie jakiś nieuważny kierowca przejechał pędem obok nich i ochlapał dziecko błotem. Kaśka zdążyła uskokczyć i pogrozić debilowi zacisniętą pięścią. Mała w tym czasie usiłowała doprowadzić do porządku swoje pobrudzone ubranie. Odstawiwszy na bok plecak, wycierała kurtkę chusteczką. Malinowska podeszła i przystanąła obok niej.

– Co za głupek! – zagała. – Pomóc ci?

Daria zerknęła na nią z kwaśną miną, po czym rozejrzała się niepewnie. Widocznie została uczulona na zaczepki obcych ludzi, zresztą słusznie. Po przeciwnej stronie szosy stał jednak sklep i kręcili się ludzie, więc już odważniej przyjrzała się młodej życzliwej kobiecie, która patrzyła na nią zatroskanym wzrokiem.

– A mogłaby pani zobaczyć, czy jestem bardzo brudna z tyłu? – zapytała.

– Pewnie! – Kasia otrzepała jej kurtkę z błota i się uśmiechnęła. – Nie jest tak źle! – dodała. – Tylko musi wyschnąć.

Dziewczynka odwdzieczyła się uśmiechem.

– Dziękuję. Tata by się chyba popłakał, gdyby znowu musiał prać tę kurtkę. Dopiero co była wyprana!

– Nie ma sprawy. Myślę, że to nie będzie konieczne. Kiedy wyschnie, wystarczy ją otrzepać z piachu. – Malinowska kuła żelazo, póki gorące, bo dziewczynka założyła z powrotem plecak i zbierała się do odejścia. – Nie wiesz może, gdzie tu jest osiedle Złoty Róg? Podobno gdzieś blisko...

Daria lekko drgnęła zaskoczona, lecz od razu ponownie się uśmiechnęła.

– Wiem, bo tam mieszkam! – odparła zadowolona. – Może pani iść ze mną, zaprowadzę. A pani tam kogoś szuka?

– No właśnie tak. – Dziennikarka się zawahała. – A ty znasz może... pana Kalińskiego? – zaryzykowała w końcu.

Tym razem mała stanęła jak wryta.

– To mój tata. Ale co...

– Ty jesteś Daria?! – Kaśka udała zdumienie.

– Tak. – Dziewczynka znowu przyglądała się jej niepewnie.

– Co za zbieg okoliczności! Super. To znaczy, oczywiście źle, że cię ochlapał ten palant, ale dobrze, żeśmy się przypadkiem spotkały – brnęła Malinowska. – Bo tak naprawdę to ja chciałam właśnie z tobą pogadać, z twoim tatą już rozmawialiśmy. Bardzo ci współczuję z powodu mamy...

– Kim pani jest? – zapytała dziewczynka nad wyraz dojrzałe.

– Przepraszam. Mam na imię Kasia, jestem redaktorką naszej gminnej gazety.

– Pani z tej gazety miała inaczej na imię! Tata mi mówił. Tak jakoś śmiesznie, trochę staroświecko...

Malinowska nie mogła opędzić się od myśli, jak zareagowałaby szefowa, gdyby to usłyszała. Na punkcie swojego imienia była wyjątkowo przewrażliwiona.

– Felicja. Masz dobrą pamięć – pochwaliła Darię. – Felicja Stefańska. Pracujemy razem, we dwie. Łatwo to sprawdzić, jeśli masz internet w komórce. Możemy od razu wejść na portal, tam jest stopka redakcyjna. Ja mam na nazwisko Malinowska.

– Nie trzeba, wierzę pani.

– Nie musisz. Lepiej nie wierzyć obcym na słowo...

– Pani dobrze z oczu patrzy! – wypaliła mała. – Ja się znam na ludziach. No to chodźmy, po drodze możemy pogadać. To jeszcze kawałek. Mnie się aż tak bardzo nie spieszy, i tak tata jest jeszcze w pracy.

Tylko może zadzwonić. A o czym chce pani ze mną rozmawiać? O mamie?

– Raczej o twojej przyjaciółce, Julii.

– O Julce? – Twarz dziecka spochmurniała. – Ona nie żyje. Tak jak moja mamusia. I jej mama też.

– Wiem. Robimy o tym reportaż, żeby takie rzeczy więcej się nie zdarzały. Żeby ostrzec inne dzieci, a także ich rodziców. Dlatego właśnie chciałabym ci zadać kilka pytań. Bo słyszałam, że się przyjaźniłyście.

Przez chwilę szły obok siebie w milczeniu, brodząc w gnijących liściach.

– Właściwie to ostatnio już nie – odezwała się wreszcie Daria.

– Nie przyjaźniłyście się ostatnio? A dlaczego?

Mała Kalińska rozkopała liście butem, a następnie wzruszyła ramionami. Kaśka obserwowała ją kątem oka.

– Nie wiem. Ona nie chciała – wyznała z cieniem pretensji w głosie. – Chyba była na mnie obrażona.

– Pokłóciliście się?

– Trochę.

– A może ona wcale się na ciebie nie gniewała, tylko wiesz... była od ciebie starsza, miała pewnie koleżanki ze swojego rocznika albo kolegów...

– Na pewno nie! – Daria energicznie pokręciła głową. – Julka była tylko o rok starsza, nawet niecały!

– Miała dwanaście lat, prawda?

– No. Teraz by już miała prawie trzynaście. A ja mam prawie dwanaście. – Mała podkreśliła z dumą.

– Więc o co się pokłóciliście? Zdradzisz mi?

Dziewczynka milczała, widać było, że gorączkowo się nad czymś zastanawia. Kasia nie poganiała jej. Przez dłuższą chwilę szły obok siebie wolnym krokiem, przezornie odsuwając się na bok, gdy zbliżał się do nich kolejny pirat drogowy.

– My z Julką zawsze fajnie się razem bawiłyśmy i mówiłyśmy sobie o wszystkim – odezwała się w końcu Daria, w jej głosie słychać było niepewność. – A później mama Julki zaczęła jej strasznie pilnować.

– Wiesz dlaczego?

Mała wzruszyła ramionami.

– Julka zrobiła się jakaś dziwna! – wypaliła z determinacją.

– Zmieniła się?

– Tak jakby.

– Ale w jaki sposób?

– Nooo... – Mała zagryzła wargi. – Nie wiem.

– Wiesz – powiedziała Malinowska łagodnie. – Powiedz mi to tak, jak potrafisz. To może być bardzo ważne.

Dziewczynka pokiwała głową i odparła cicho:

– Dziwacznie się zachowywała. I mówiła takie dziwne rzeczy, aż zaczęłam się jej trochę bać...

Kryszewo, koniec listopada

Felicja była wściekła. Nie mogła dodzwonić się ani do Palczyńskiego, ani do Ryby. Tyle ma wieści, a oni obaj niedostępni, niech ich szlag! Zrezygnowała w końcu, wyłączyła komputer i postanowiła dla odmiany choć raz zrobić sobie normalny obiad. Spróbuje zadzwonić później. Niestety, jak się okazało, lodówka znowu świeciła pustkami. Nie miała ochoty iść po zakupy do zakonnicy, nie teraz, kiedy miotają nią emocje. A zasuwać dalej, do supermarketu, tym bardziej jej się nie chciało. Najważniejsze, że Bury ma co jeść. Znalazła paczkę chipsów o smaku chili, więc wyspała je do głębokiego talerza i zjadła je z ketchupem oraz resztkami majonezu, popijając sokiem. Po jedzeniu zeszła z psem do ogrodu, by zapalić papierosa na powietrzu. Stała przy wejściu, obserwując biegającego radośnie kundelka. I wtedy zadzwonił telefon.

Przeklinając pod nosem, nabuzowana, wyszarpnęła aparat z kieszeni spodni i zerknęła na wyświetlacz. Uff, nareszcie Zyg! Odetchnęła, choć złość i frustracja jej wcale nie przeszły. Przeciwnie, znajdowała się na granicy furii.

– Hej, no co jest, Ryba, dlaczego nie odbierasz telefonów, tak samo jak Pałka?! – wydarła się na dzień dobry. – Dzwonię do was, na zmianę, od samego rana! I nic, głuchy telefon, cholera! Mam...

– Nie wrzeszcz na mnie, tylko posłuchaj! – odparował aspirant. – Bo nie mam czasu, zaraz muszę kończyć. Zobaczyłem, że dzwonicz, i oddzwaniam na szybko, z kibla, kurczę, jakbyś chciała wiedzieć.

– Nie chcę. Chcę wiedzieć, co jest grane!

– A jest, żebyś wiedziała... Bomba wybuchła. Kończymy sprawę Kopczyńskiej. Godzinę temu aresztowaliśmy jej męża – oznajmił z satysfakcją Ryba. – Potem pogadamy, muszę kończyć!

Felicja zastygła zaskoczona, aż palący się jeszcze niedopałek wypadł jej z ręki. Schyliła się, by go podnieść, i bezwiednie znowu się nim zaciągnęła.

– Zaraz, zaraz! Kurwa mać, co ty bredzisz, młody? Jak to aresztowaliście? Kopczyńskiego? – powstrzymała Rybę oszołomiona.

– No, dokładnie. Ciesz się, że w ogóle dzwonię, komisarz na szczęście wie o tym, sam chciał do ciebie zadzwonić, ale się nie wyrobił. No. Nic więcej ci teraz nie powiem, mowy nie ma, bo mnie wypierniczą ze służby. I tak już za długo siedzę w tym cholernym srazcu. To reszta później. Rozłączam się! – Zrobił to pospiesznie, zanim bojowa rzeczniczka gminy zączyła go ponownie zaatakować.

Wkurzona do granic możliwości zgasiła niedopałek i zawołała psa. Kiedy wrócili na górę, natychmiast wybrała numer Palczyńskiego. Raz, drugi, trzeci. Postanowiła wydzwaniana do skutku.

Odezwał się za piątym razem.

– Felicja, nie szalej! – ochrzanił ją na wstępie. – To nie jest dobry moment. Dużo się dzieje. Ryba nie dodzwonił się do ciebie?

– Zamknij się, Pałka, zdrajco jeden! Ty też siedzisz w kiblu?

– Nie, a dlaczego?

– Bo coś mi tu jak cholera śmierdzi. To jest świństwo, normalne świństwo, żeby mnie nawet nie poinformować, że aresztowaliście Kopczyńskiego!

– Kochanie, wybacz, wszystko potoczyło się tak szybko, właściwie nagle...

– Czemu?!

– Co, czemu? – Palczyński był wyraźnie zdezorientowany, jakby jeszcze nigdy nie dostał od nikogo takiej reprimendy.

– Czemu go aresztowaliście? Tak nagle? Co się stało?!

– Aha, no dobra – chrząknął. – Nie da się tego tak łatwo... ale spróbuję streścić. Wczesnie rano skontaktowała się z nami sąsiadka Kopczyńskich z osiedla Złoty Róg. Ryba mówił, że rozmawialiście z nią wcześniej. Kazaliście jej dzwonić, gdyby sobie coś przypominała. No i przypominała sobie. Czasem cierpi na bezsenność i wtedy wychodzi do ogródka zaczerpnąć świeżego powietrza. I podobno w noc zabójstwa, około północy, ale raczej przed, widziała na osiedlu wóz Kopczyńskiego, szary nissan metalik. Stał nie pod ich domem, tylko na uboczu. On już tam wtedy nie mieszkał, ale był, i to wcale nie u żony, jakbyś chciała wiedzieć, tylko podobno u Kalińskiej. Ta sąsiadka twierdzi, że miał z nią romans. Jest tego pewna, bo raz widziała ich razem, jak się obejmowali. Mówi, że nie chciała plotkować, bo romans nie przestępstwo. No i co? Wszystko się zgadza!

– Że co? Dobrze słyszę? Baba sobie nagle coś przypomina, a wy już myk, zamykacie faceta? Dlaczego wcześniej nic nie mówiła? Miała amnezję?

– Twierdzi, że zapomniała, za dużo było bodźców. Teraz sobie przypominała, bo on znowu przyjechał, no i wtedy zajarzyła. Samochód zostawił tak samo, na uboczu, a sam przemknął się, ponoć jak złodziej, do domu. Tym razem swojego.

– Do swojego domu nie musi się przemykać ani włamywać – zauważyła cierpko. – Jest jego własnością. Zostawił tam swoje rzeczy. On sam wspominał, że będzie go chciał sprzedać. To chyba zrozumiałe, trudno byłoby mu tam dalej mieszkać w tej sytuacji.

– Sprawdziliśmy to. Przepytaliśmy innych sąsiadów. Jeszcze dwie osoby twierdzą niezależnie od siebie, że przypuszczalnie też widziały to auto.

– Przypuszczalnie?

– Na dziewięćdziesiąt procent. Nie są na sto procent pewni dnia, a raczej nocy, ale z wyliczeń im się zgadzało.

– I to wystarczy, żeby go aresztować?

– Skarbie, wszystko się zgadza, a gość mógłby nam się urwać. To przecież tylko areszt, nie pudło. Bardzo możliwe, że po upływie czterdziestu ośmiu godzin prorok i tak każe nam go wypuścić. Chcemy faceta przycisnąć, żeby się przyznał. Może się uda. A co ty go tak bronisz jak niepodległości?

– Nie bronię, tylko jestem drobiazgową. A wy koniecznie chcecie pozbyć się problemu, żeby zamknąć śledztwo i odrząbić sukces. Przecież on miał alibi. Z tego, co pamiętam, odprowadzała na chatę

sąsiadkę, koleżankę matki, a potem był z innym sąsiadem, który to potwierdził? – Nie ustępowała dziennikarka.

– Tamten też był narąbany, mógł coś popieprzyć. Albo skłamać. Felicja, wybacz, kochanie, ale naprawdę muszę kończyć. Mamy tu niezły zasuw. Nie gniewaj się, zadzwonię do ciebie później, a może nawet przyjadę...

– Nawet nie chcesz usłyszeć, co nam się udało odkryć?

– Chętnie wysłucham, ale nie teraz, naprawdę nie ma na to czasu. Odpocznij, masz wreszcie okazję.

Stefańska jednak nie zamierzała odpoczywać. Czuli, że sprawa wymyka jej się z rąk, a miała tu coś jeszcze do powiedzenia. Natychmiast odszukała w książce adresowej swojego telefonu numer starszej pani Kopczyńskiej. Modłać się w duchu, żeby kobieta odebrała, liczyła kolejne sygnały...

– Kto tam, czy to pani z gazety? – Usłyszała w końcu zachrypnięty głos, a zaraz potem urywany szloch.

– Tak, to ja. Proszę mnie posłuchać...

– Zabrali moje dziecko, mojego synka! Przyszli tu jak do siebie i mi go odebrali! – łkała kobieta.

– Proszę pani, nie mamy czasu do stracenia...

– Zabrali go! Skuli w kajdanki! Jak jakiegoś bandytę!

– Może go jutro lub pojutrze wypuszczą. Proszę się uspokoić, płacz tu teraz nic nie pomoże. – Felicja przerwała jej stanowczo. – Niech mi pani da namiary na tego sąsiada, z którym pani syn spędził resztę tamtej nocy w dniu zabójstwa żony.

Szloch na moment ustał.

– Zaraz... Nie wiem, gdzie ja to teraz znajduję... – Kopczyńska nie mówiła do końca przytomnie.

– Jak on się nazywa?

– Grzyb. Grzyb się nazywa. Grzyb Tomasz... chyba...

– Gdzie mieszka?!

– Na Wesołej, w takiej żółtej kamienicy...

Felicja już chciała zakończyć rozmowę, ale się powstrzymała.

– Musi pani doprowadzić się do pionu – poradziła. – Jest pani wykształconą osobą, lekarką, więc wie pani, o co chodzi.

– Tak... ja... muszę coś zrobić...

– Proszę nic na razie nie robić – weszła jej w słowo dziennikarka. – Nic. Pani bardzo kochała wnuczkę, prawda?

– Była moim największym skarbem. Ona i mój syn. Tylko dla nich żyłam. Nikogo więcej nie miałam... nie mam. Od dawna – dodała cicho.

– Dobrze panią rozumiem. Ale syn jeszcze pani pozostał. Więc niech się pani teraz weźmie w garść. Dla niego.

– Sławkę ma firmę, kto się nią teraz zajmie? – Głos kobiety znowu się załamał. – O tym nikt tam nie pomyślał? Bo co ich to obchodzi, prawda? Złamią go do końca, choć on już złamany! Mój syn jest niewinny, nikogo nie zabił, a już zwłaszcza jej! To dobry chłopiec, choć może czasem błędził, ale...

– Firma w tej chwili nie jest najważniejsza, pracownicy sobie poradzą. Proszę zająć się sobą i czekać, zadzwonię do pani później. – Felicja się rozłączyła i chwyciła z biurka kluczyki do swojego vana. Po namyśle przypięła smycz Buremu, który, zapewne wyczuwając napięcie opiekunki, popiskiwał u jej nóg.

– No dobrze, chodź, piesku, pojedziemy razem! – powiedziała, zamykając biuro.

Kaśka Malinowska miała dziś wolne, a jeśli nawet tu przyjdzie, to ma własne klucze.

Zbiegli oboje po schodach.

– Jest pan tego pewien? Potwierdzi pan to na policji, w prokuraturze, w sądzie? – dopytywała się, trzymając psa krótko na smyczy, żeby nie zalizał faceta na śmierć. Od pierwszego wejścia się z Burem polubili.

Grzyba odnalazła bez problemu, stara żółta kamienica stała przy tej ulicy samotnie, a w niej zaledwie cztery mieszkania, w tym jedno na parterze puste, od prawie roku przeznaczone na wynajem po śmierci schorowanej staruszki. Na imię miał, jak się okazało, nie Tomasz, tylko Tymoteusz. Tymek tak jej się przedstawił. Rzeczywiście, można pomylić z Tomkiem, brzmi podobnie. Niski, krępy, wąsaty brunet, niestary, na oko może koło czterdziestki, wciąż jeszcze kawaler. Pracował jako kierowca busa i akurat dostał kilka dni wolnego po dłuższym kursie. Dopisało jej więc szczęście, bo jeszcze wczoraj musiałyby go łapać co najwyżej przez telefon.

– Oczywiście, przecież już na policji potwierdziłem! – odparł. – Nawet dwa razy. No to nie rozumiem. Jeśli chcą, mogą mnie nawet zbadać wariografem! Nie mam nic przeciwko temu, wiem, co gadam! Nie chce pani kawy?

– Nie, nie, dziękuję, szkoda zachodu.

– To może piwka?

– Nie mogę, prowadzę. – Pokręciła głową. – Czy mógłby pan jeszcze raz mi to wszystko po kolei opowiedzieć?

– To ja się sam napiję. – Wstał i podszedł do lodówki, by wyjąć z niej puszkę piwa. – Jak nie w drodze, to mogę sobie pozwolić. Znaczy o tamtej nocy? Mam streścić?

– Tak.

– Okej... – Wzruszył ramionami. – Co tu dużo gadać. Wtedy też z trasy wracałem, można to sprawdzić w grafiku. Dlatego późno, bo musiałem busa odstawić na parking firmy i stamtąd zabrać mój wózek. A że zawsze potem mam wolne, to chciało mi się trochę rozerwać, napić. No wie pani, żeby się odprężyć po robocie. No i patrzę: sąsiad poboczem idzie. Troszkę się zataczał, ale nie aż tak bardzo. No to myślę sobie, podwiozę gościa, w końcu mam niedaleko. I tak żeśmy się zgadali, bo on też robi w branży, tyle że w dostawczakach, a ja w przewozie osób. No i on szef na swoim, a ja tylko za kierowcę. Nawet mi proponował pracę u siebie, ale ja na razie nie chcę zmieniać. Aha, no więc jakieś się zgadali, to go zaprosiłem na kielicha, żeby samemu do lustra nie pić, zawsze w towarzystwie milej. Zgodził się chętnie, bo facet po przejściach, słyszałem o tym. Córkę stracił. Straszne przeżycie, wie pani, zamordowali mu ją. I żona go opuściła. Albo on ją, tego już nie dociekałem. Pewnie dlatego tak pił. Tęgo popijał, nie nadążałem za nim, a już, tak jak mówiłem, wstawiony był wcześniej, bo jakąś imprezkę w domu mieli, u jego matki, tej dentystki. Mówił mi, że odprowadzał do domu koleżankę matki, która też się nabzdryngoliła. Od razu uprzedzam pytanie, bo mi je gliny też zadawały: nie, nie mógł wtedy wracać ze Złotego Rogu, całkiem z innego kierunku szedł. No i za daleko by miał na piechotę, nie doszedłby w takim stanie, nawet na trzeźwo zajęłoby to kupę czasu. No i tak my do świtu pociągali gorzałkę, którą po drodze zakupiłem na stacji benzynowej. Wyplakał mi się biedak do rękawa, ale to mu pewnie dobrze zrobiło. Tak się chłop urznął, że go potem do domu musiałem doholować...

– Pod sam dom go pan odstawił?

– No, jo! Pod drzwi. Na szczęście światło się paliło na ganku, ale matka już spała, bo on się bał awantury jak dzieciak, który się narąbał w dyskotecce!

– A jego samochód stał wtedy na podjeździe?

Mężczyzna podrapał się w głowę.

– A niech mnie, to mnie pani zaskoczyła! – odparł z zakłopotaniem. – Tego, proszę pani, nie pamiętam. Nie zauważyłem. No, nie przyglądałem się za bardzo, chciałem go tylko odstawić na miejsce i wracać do domu, wyspać się wreszcie. Też trochę wypiliśmy. Jak tak teraz myślę, to chyba stały tam jakieś auta, ale pewności nie mam...

– Trudno, rozumiem. A jak pan myśli, mógł potem wsiąść do samochodu i pojechać na tamto osiedle? – zapytała na wszelki wypadek.

– Za kółko? Zapomnij, pani! Ledwie szedł, prawie musiałem go nieść. Jego kluczem drzwi mu otworzyłem i padł jak długi w korytarzu. Zamknąłem za nim i klucz mu wrzuciłem przez luft do środka. On do niczego nie był już wtedy zdolny.

– Pamięta pan godzinę? Bury, siad! Zostaw pana w spokoju, nie widzisz, że rozmawiamy? – strofowała psa, ale Grzyb tylko się roześmiał, drapiąc go za uchem.

– Godzinę? – upewnił się. – Niedokładnie, bo kto by tam się gapił na zegarek! Ale jak go zbierałem z ulicy, musiało być po jedenastej, bo o jedenastej byłem na stacji benzynowej. A jak go na chatę doprowadziłem, to już nad ranem, bo ja wiem, druga, trzecia? Około. Później zgadałem się z ich znajomą, a raczej przyjaciółką jego matki, dawniejszą sąsiadką, co to z nią do spółki imprezowali, że całkiem sporo on wtedy wytrąbił. Nawet mówiła, że był bardziej od niej nawalony, tyle że ona bała się po nocach sama do domu wracać, dlatego ją odprowadzał. Ponoć popijali winko domowej roboty, ale za to cały gąsiorzek poszedł. No to sobie pani może wyobrazić, w jakim był stanie. – Grzyb ze smakiem pociągnął długi łyk ze swojej puszkki. Też nie wyglądało, żeby wylewał za kohnierz.

– To czemu policja panu nie dowierza, jak pan uważa? – zapytała w nadziei, że może on się domyśla.

Mężczyzna wzruszył ramionami i się nadaśał.

– A skąd ja mam to wiedzieć, pani kochana! Czy oni w ogóle komu wierzą? Może myślą, że jak wypił, to nie wie, co mówi. A ja mam mocny łeb do alkoholu. Wszystko łapię i pamiętam. Poza tym aż tak wtedy nie zachlałem, żeby nie wiedzieć, co się dokola mnie dzieje – odparł z godnością. – Zawsze staram się kontrolować. Żal sąsiada. Wygląda, że się na niego zawzięli. Możliwe, że innego jelenia nie mogą znaleźć...

Wskazówkę, jak trafić do Barbary Kowal, bliskiej znajomej Kopczyńskich, tej samej, która spędziła z nimi pamiętny wieczór, otrzymała od Grzyba. Kobieta mieszkała kawałek drogi od nich, już na obrze-

zach, w wiosce, choć dawniej ze sobą sąsiadowali. Nic dziwnego, że matka kazała Kopczyńskiemu odprowadzić ją aż do samego domu. Autobusy o tej porze nie jeżdżą. Trasa na piechotę, po ciemku, musiała im zająć ze dwadzieścia minut, zważywszy, że oboje nie byli zbyt trzeźwi.

– Ona się wyprowadziła za mężem – objaśnił kierowca. – Znam go dobrze, czasem woźę z nim towar, chłop dorabia sobie do emerytury. Ją też znam, ale słabo. Tu z widzenia prawie każdy każdego zna. Choć teraz to już się zmieniło, niestety...

– Kryszewo się rozrasta. – Rozłożyła ręce, szykując się do wyjścia. – Cóż, taka kolej rzeczy. Dziękuję za szczerość. I za to, że mój pies pana polubił. Do widzenia.

– Nie ma sprawy. Fajny psiak. Do widzenia szanownej pani, cieszę się, jeśli w czymś wam pomogłem!

Samochodem dotarła na miejsce już po chwili, odszukanie pani Kowal także nie stanowiło większego problemu. Kobieta musiała być mniej więcej rówieśnicą starszej Kopczyńskiej, choć z twarzy wyglądała od niej gorzej, nie była tak zadbana, poza tym miała tendencję do tycia. Na rozmowę zgodziła się z ociąganiem, raczej nieufnie. Nie zaprosiła dziennikarki do środka swojej „gierkówki”, czyli klocka z lat siedemdziesiątych. Burego w ogóle jakby nie zauważała, choć próbował się z nią przywitać. Widocznie należała do gatunku „to tylko pies”. Stały zatem przed domem.

– To prawda, z Krysią znaliśmy się od młodości, mieszkaliśmy prawie obok siebie, bo nasze rodziny były sąsiadami. Z tym, że to trochę inne progi, państwo Rogowscy to taka elita, więc w dzieciństwie nie kolegowałyśmy się za bardzo, dopiero później, jak byłyśmy dorosłe. Kiedy Krysia otworzyła swój gabinet stomatologiczny, zatrudniła mnie jako pomoc dentystyczną. Ja z zawodu jestem pielęgniarką. Ona lekárką, ale nie szkodzi, szybko zbliżyłyśmy się do siebie, potem zaprzyjaźniłyśmy. I tak już nam zostało, nawet na emeryturze. Odwiedzamy się często, razem spędzamy różne święta. Tamtego wieczoru zostałam sama, taka słomiana wdowa, bo mąż akurat na dwa dni wyjechał, więc Krysia zaprosiła mnie na wieczór do siebie na kolację. Zabrałam ze sobą cały gąsiorek naszego domowego wina z porzeczki i poszłam. Wiedziałam oczywiście o tragedii, jaka dotknęła tę biedną rodzinę. Sławek, syn Krysi, też tam był, bardzo dużo wtedy pił... Miał depresję, nic dziwnego. Żeby mu dotrzymać towarzysztwa, piłam z nim razem z wino. Sporo poszło, choć my tylko do niego. Krysia ledwie skosztowała, ona od lat trzyma się z daleka od alkoholu, z powodu serca. Co jeszcze pamiętam z tamtej nocy? Ano, w zasadzie wszystko, choć przyznaję, że trzeźwa nie byłam. Mam słabą głowę, szybko zaczyna mi w niej szumieć. Rozmawialiśmy, również o tej tragedii, tak... Zrobiło się późno, wino się skończyło, nie czułam się najlepiej. Postanowiłam się zbierać. Chyba jakoś około dwudziestej trzeciej. Chcieli mnie przemocować, ale mam w obojętności swoje obowiązki, kurki do nakarmienia, hodujemy na jajeczka, to nie mogłam zostać. Kręciło mi się w głowie, więc Krysia powiedziała do syna, żeby mnie odprowadził, żebym po ciemku sama nie szła, a jemu też dobrze zrobi świeże powietrze. No to poszliśmy sobie spacerkiem, na skrót, przez łąki. Odprowadził mnie i już, to wszystko...

– I od razu poszedł? Nie wchodził z panią do środka?

– Może jeszcze przez chwilę postaliśmy przed bramą. Zaczekał, aż wejść i zapalę w domu światło.

– W jakim był stanie pan Sławek?

– Noo, napity był. Zataczał się trochę na nogach, ale gadał całkiem jeszcze do rzeczy, tyle że płakał dużo, wie pani, jak to pijany. Po pijanemu człowiek robi się skliwy, chyba każdy, a on miał powody...

– Jaka to była rodzina, państwo Kopczyńscy?

– Dobra rodzina. Zamożna, kochająca. Sławek matkę szanował, a żonę wielbił, choć Krysia mówiła, że potem się między nimi zepsuło. Ale w każdym małżeństwie tak bywa, są kryzysy. Z moim to się z dziesięć razy chciałam rozwodzić, a dalej trwamy razem. Ta dziewczyneczka to było ich oczko w głowie. Śliczne dziecko... Straszne, co ich spotkało! Krysia od zmysłów odchodziła. Wnusia była dla niej ważniejsza nawet od synka, choć synka też bardzo kochała. Ubolewała, że po tym wszystkim jeszcze im się małżeństwo rozpadło, próbowała ich godzić ze sobą...

– Mam jeszcze jedno pytanie dotyczące przeszłości. Czy pani Krystyna Kopczyńska była w młodości religijna?

– Krysia? O nie, nigdy. Przeciwnie! Zawsze się buntowała przeciwko Kościołowi. Ale nie była żadną komunistką, ani ona, ani jej rodzina. Co to, to nie. Po prostu nie byli wierzący. Krysia do dziś uważa się za ateistkę. Ona zresztą zawsze była taka... inna, może i trochę dziwna, indywidualistka, jak to się mówi. Ale to wspaniała kobieta!

– A jej syn?

– Sławek był taki jak ona. A potem taki jak jego żona! – Kobieta roześmiała się, ale szybko przestała, czując zapewne niestosowność sytuacji. – Był wpływowy – dodała. – I ugodowy. Taki trochę pantoflarz. Ulegał kobietom...

– Dziękuję. – Stefańska chciała się już pożegnać, ale pani Kowal nagle przyciągnęła ją do siebie.

– Proszę zaczekać! – zawołała. – Coś jeszcze pani powiem, bo mnie gryzie... choć w to nie wierzę. Brzmi jak w delirium.

Gdy wyszeptwała jej do ucha to, co ją gryzło, Felicja tylko pokiwała głową i odpowiedziała ze smutkiem:

– Szkoda, że nie poinformowała pani o tym wcześniej policji. Nawet jeśli pani nie uwierzyła. Można było uniknąć wielu nieszczęść...

W samochodzie zapaliła papierosa i szybko wystukała numer pani Kopczyńskiej, ponownie zaklinając ją w duchu, żeby odebrała. Nie musiała długo czekać. Odebrała, tym razem nawet dość szybko.

– Pani Krystyno, to znowu ja, Stefańska z urzędu gminy. Już chyba wszystko zrozumielałam. Chciałabym do pani od razu podjechać. Mogę? – zapytała, nerwowo zaciągając się dymem.

Odpowiedziała jej cisza.

– Pani Krystyno? Jest pani tam?

– Niechże się już pani nie fatyguje. – Usłyszała w końcu spokojny głos Kopczyńskiej. – Wiem, co mam robić.

– Proszę na mnie poczekać, zaraz będę! Właśnie jadę! – zawołała dziennikarka, choć już w połowie wypowiedzianej kwestii uświadomiła sobie, że rozmowa została przerwana. Szlag by to trafił, wymamrotała pod nosem, włączając silnik.

Już w drodze zadzwoniła do Pałki, jednak nie odebrał, spróbowała więc do Ryby. To samo. Klnąc teraz, na czym świat stoi, stanęła na chwilę na poboczu, by wysłać do nich obu choć esemesa z informacją, gdzie będzie i po co. Jeśli nie odczytają, to... to nie miała pojęcia, co zrobi.

W drodze przypominały jej się zastłeszane słowa, zdania, obrazy. Te przekazane przez Kaśkę Malinowską, a wypowiedziane przez jedenastolatkę: *Jak byliśmy male i bawiliśmy się w teatrzyk, to ja w każdej bajce byłam królową, a ona zawsze królewiczem! Ale to było już dawno, potem Julka mówiła, że naprawdę jest chłopakiem i że jak dorośniemy, to się z mną ożeni. Myślałam, że sobie tak tylko żartuje, ale... ale...* – Mała prawdopodobnie nie potrafiła nazwać tego, co czuła, bo była wyraźnie przerażona i zaszokowana. To nawet dla większości dorosłych temat, który ich przerasta.

Albo nazwisko „Krystyna Rogowska” na czarnej liście poprzedniego proboszcza. *Rogowscy to taka elita, więc w dzieciństwie nie kolegowaliśmy się za bardzo, dopiero później, jak byliśmy dorośli...* No i przede wszystkim to, z czego zwierzyła jej się na koniec Barbara Kowal.

Stefańska jechała szybko, za szybko, na szczęście boczne drogi były raczej puste i udało jej się nie spowodować wypadku. Może i na piechotę skrótami był to kawałek, ale samochodem musiała zrobić niezłe koło. W końcu minęła ostatnie lasy i tak jakby od końca – bo początek Kryszewa liczy się od strony Gdańska – wjechała do miasteczka. Była już prawie na miejscu. Gdy nareszcie dotarła pod dom Kopczyńskiej, ze zdumieniem dostrzegła tam dwa policyjne radiowozy...

Przy jednym stał mundurowy, ukradkiem pałac papierosa. Był z miejscowego komisariatu, podwładny Ryby. Poznał ją – a przynajmniej jej samochód – i natychmiast przydeptał peta butem. Felicja wyskoczyła z wozu, pozostawiając piszczącego psa w środku. Bury także coś czuł.

– Co jest? – Nie bawiła się w uprzejmości, tylko gestem wskazała budynek. Policjant jeszcze bardziej się zakłopotał.

– Kocioł, pani rzeczniczko! – odparł z niepewną miną. – To się znowu porobiło. Wieszak... znaczy, samobójstwo, zdaje mi się. Nasi weszli na rympał, bo osoba nie otwierała. Ja nic więcej nie wiem, tam jest szef.

– Niech to szlag, nie zdążyłam... Niech to, kurwa, jasny szlag! – Załamała się, ignorując zdumione spojrzenie posterunkowego. – Szef? To znaczy, że Ryba tam jest? Mogę wejść? Przepuściłbyś mnie?

– Nie można. Pan nadkomisarz jest już w drodze. Nie pozwolili mi pani wpuszczać. Ale... – W tym momencie coś się zakotłowało przy drzwiach, oboje usłyszeli przytłumione męskie głosy oraz szloch kobiety.

Odwrócili się jak na komendę. Ze środka domu dwóch innych mundurowych wyprowadzało szamoczącą się i opierającą kobietę. Parę kroków za nimi szedł Ryba. Oszołomiona Felicja z trudem rozpoznała Kopczyńską spuchniętą i rozczochraną. Ona ją również poznała, bo na jej widok krzyknęła z płaczem:

– No i widzi pani, widzi pani! Nawet odejść człowiekowi w spokoju nie dadzą! Tak, to ją ja zabiłam! Nie on! Tę wywołkę, dzieciobójczynię! Za moją wnuczkę zabiłam! Za syna! Ona go umoczyła, rozumie pani? Opętała go, morderczyni!

Ucichła dopiero, gdy funkcjonariusze zapakowali ją siłą do radiowozu. Dziennikarka się trzęsła, emocje wzięły górę. Jakby ją nagle wszystkie siły opuściły. Podszedł do niej Ryba i objął mocno za ramiona.

– Póki Pałki nie ma! – zażartował. – No, już po wszystkim, uspokój się, staruszko.
– Ja ci dam staruszko, smarku... – Usiłowała się uśmiechnąć, ale głos jej się załamał. Z vana dobiegało szczekanie Burego.

– W ostatniej chwili weszliśmy, już miała naszykowaną pętlę w garażu. Dzięki tobie żyje. Choć myśmy już wiedzieli, że to ona zabiła synową. Kopczyński pękł i wyśpiewał. Ale nie przewidzieliśmy, że babka będzie się chciała wieszać, szykowaliśmy raczej wjazd na sanki. To znaczy aresztowanie. Właśnie wracałem z fabryki, z komendy, byłem w drodze, kiedy dostałem twojego esemesa. Od razu wezwałem moich ludzi na miejsce, a sam dojechałem już po nich. Na szczęście zdążyli. Kobitka nieźle się szarpała, chłopaki mieli z nią problem. Dzięki, Felicja. Uratowałeś nam wszystkim dupy. Choć i tak byś pewnie wolała, żeby ci Palczyński osobiście podziękował, co nie?

– Przestań świntuszyć, Ryba. Zawsze ci tylko jedno w głowie.

– Jak ty to wszystko przewidziałaś? – Aspirant spojrział na nią ze szczerym podziwem, popijając pepsy z niedużej butelki, którą wyjął z kieszeni kurtki. – Moja zaległa dawka kofeiny – wyjaśnił. – Chcesz łyka?

Nie skorzystała, wolała zapalić.

– Później opowiem. To długa historia. Tylko jednego nie kumam, może ty mi wyjaśnisz. O co jej chodziło z tym synem? Dlaczego go niby „umoczyła”? Ze co? To on w końcu jest winny czy nie jest?

– Kopczyński? Odpowie za współudział. Ale uważaj, w życiu byś się nie domyśliła, za co konkretnie...

Kryszewo, początek grudnia. Epilog

Doszły do końca alejki, za nią rozciągała się już tylko pusta przestrzeń sięgająca aż pod lasek po przeciwnej stronie parku. Latem trawnik, na którym biwakowali leniwie mieszkańcy miasteczka, a teraz wielka biała pustka. Poprzedniego wieczoru spadł pierwszy śnieg, nocą przemroziło i świat od razu stał się piękniejszy. Czysty i niewinny. Biel symbolicznie przykryła wszelkie niedociągnięcia, brudy i usterki, po raz kolejny od tysięcy lat ofiarowując ludziom okazję do naprawy siebie.

Felicja spuściła Burego ze smyczy i obie z rozrzewnieniem obserwowały, jak psiak radośnie puszczą się pędem i bryka z nosem uwalanym w białym puchu.

– Ależ on odmłodził z tobą! Zachowuje się prawie jak szczeniak. Masz fajkę? – zapytała Greta.

– Ja zawsze mam fajki. – Felicja wyjęła z kieszeni paczkę i poczęstowała przyjaciółkę, a następnie ściągnęła z dłoni rękawiczkę i sama zapaliła. – Tylko łapska nam zgrabiej bez rękawiczek – westchnęła, przytupując.

– Przeżyjemy. – Uśmiechnęła się pobłażliwie pani wójt. – Nie takie mrozy się przeżywało, moja miastowa damulko.

– Idź, bo cię trzepnę! – Roześmiała się dziennikarka.

– Nie stójmy tak w jednym miejscu, bo faktycznie zmarzniemy. Przejdźmy się, a przy okazji opowiedz mi jeszcze raz wszystko po kolei, bo niektórych rzeczy ciągle nie ogarniam, a nie chce mi się czekać na wasz reportaż. Wczoraj było za dużo emocji, jak dla mnie. – Pazikowa zdecydowanie ruszyła naprzód, pociągając towarzyszkę za rękaw.

– Spróbuj. – Felicja ogarnęła wzrokiem teren wokół, zlokalizowała psa, który bawił się jak szalony z drugim kundelkiem, i uspokojona ruszyła wolnym krokiem w ślad za Gretą. – Od czego by tu zacząć...

– Od początku! Sama zawsze tak mawiasz.

FELICJA

Od początku, czyli od małej Julki. To było bardzo nieszczęśliwe dziecko. Dowód na to, że nie zawsze pozornie idealna rodzina spełnia prawidłowo swoją funkcję. A czego zabrakło w tej konkretnej? Miłości. Zbyt często nie rozumiemy tego pojęcia, widzimy tylko błyszczącą z wierzchu kolorową bombkę, lecz nie zauważamy pustki w środku. Niedojrzała matka z problemami emocjonalnymi, która chciała mieć sliczną córeczkę na pokaz, jak lalkę. Tego typu osoby kochają siebie, nie dziecko... czy kogokolwiek. Gdyby zechciała psa lub kota, byłyby to rasowce z hodowli, idealne, najlepiej po medalistach, oddane do schroniska w momencie, gdy staną się chore, stare, kalekie, albo w inny sposób zawiodą. Niewiele lepiej było z ojcem. Ten z kolei przede wszystkim był do szaleństwa zakochany w pięknej żonie. To ona znajdowała się w centrum jego wszechświata, była powodem „męskiej” samczej dumy. Dziecko pozostawało gdzieś obok, w tle, na drugim planie. Bezwarunkowo kochała wnuczkę tylko babcia, matka Kopczyńskiego, bo tylko tę jedną miała. Sabina Kopczyńska wychowała się w domu dziecka.

Wszystko układało się dobrze, dopóki Julka była mała i zaspokajała ambicje matki. Lata jednak mijały, dziecko zaczynało dorastać. I nagle okazało się, że nie jest takie, jakie Sabina Kopczyńska sobie wymarzyła. Julia była najprawdopodobniej dzieckiem transseksualnym. Jedną z tych osób, których istnienia wolimy nie zauważać, bo podważają społeczne wzorce, które nam zaszczerpiono. Transseksualizm to brak akceptacji własnej płci, z którym człowiek się rodzi, choć w dzieciństwie można go nie zauważyć. Dopiero gdy dziecko wchodzi w wiek dojrzewania. Jak Julka. Dziewczynka – będę ją tak umownie nazywać – nie akceptowała siebie, swojego ciała, strojów, miejsca w społeczeństwie. Dramatem były dla niej objawy pokwitania, brzydziła się rosnących piersi, pierwsza miesiączka spowodowała u niej szok. Sabina Kopczyńska zareagowała w typowy dla niedojrzałych ludzi sposób: odrzuceniem, agresją i przekonaniem, że dziecko należy leczyć oraz wszelkimi możliwymi metodami wybić mu te „fanaberie” z głowy. Pod przymusem. Na siłę. Chodziła nawet do księdza po porady, bo jej akurat przypasowały brednie o „cnotach niewieścich”. Podobno była gotowa wzywać do córki egzorcystę, to proboszcz w przebłyску zdrowego rozsądku odwiódł ją od tego zamiaru. Julia wstydyła się siebie, bo matka wstydyła się jej. Zaczynały się nawzajem nienawidzić. Ojciec tymczasem uciekał w pracę i udawał, że to nie jego problem. Ich dom zamienił się w piekło.

Jako pierwsza zwróciła mi na ten fakt uwagę psycholożka, do której Julia chodziła z matką, później potwierdziła to relacją małej Darii Kalińskiej. Julia uważała się za chłopca. Czula się w swojej skórze źle, szukała pomocy, ale nikt jej niczego nie ułatwiał. Coraz częściej, coraz bardziej się buntowała. Cierpiała, i to podwójnie. Broniła, jak mogła, swojego wewnętrznego „ja”. Miewała myśli i podobno nawet próby samobójcze. Uciekała z domu. Z dnia na dzień było coraz gorzej...

Aż nadeszło ostatnie w jej życiu lato. Wakacje. Przypadek chciał, że akurat wtedy wybuchła afera seryjnego gwałciiciela i mordercy dzieci, nawiedzonego pedofila ogarniętego obsesją religijną, którego ofiarą padło już kilka nastolatek. Sabina Kopczyńska miała więc dodatkowy pretekst, by zniewolić córkę, trzymając ją pod kluczem. Jednak Julia już jej nie słuchała. Była inteligentna, znalazła sposób, by wyrwać się z zamkniętego domu. Niestety, nie przyjaźniła się już wówczas z Darią, nie z powodu różnicy wieku, lecz dlatego, że Daria również jej nie akceptowała. Poszła na przystań, gdzie tego dnia odbywały się zawody w pływaniu. Od trenera wiemy, że mierzyła się nie z dziewczynkami, tylko z chłopakami. I nie była od nich gorsza.

Jednak matka nie odpuszczała. W reakcji na nieposłuszeństwo, ze strachu, że „się wyda”, jaka naprawdę jest Julia, wpadła w ślepą furję. Kazała jej natychmiast wracać do domu, a kiedy córka przestała odbierać telefon, wydzwaniała na przystań. Tam od kierowniczkii dowiedziała się, że dziewczynka już wyszła. Gorzej, usłyszała przy okazji, że Julka wygrała w zawodach z chłopakami! Właśnie przelała się czara goryczy. Ogarnięta szaleństwem Sabina, obawiając się, że to kolejna ucieczka z domu, podczas której znów straci nad córką kontrolę, pojechała jej szukać.

I pechowo znalazła – samą na pustej drodze...

Julka wracała znad jeziora nie główną szosą, tylko na skrót, starą boczną drogą. Jej matka wjechała w nią od głównej, z przeciwnego kierunku, czyli musiały zbroczyć tam w przypływie impulsu albo domyślać się, że córka może tamtędy iść. To słabo uczęszczana trasa, rzadko kto z niej korzysta, bo właściwie donikąd nie prowadzi, co najwyżej do przystani, a i tak wszyscy dojeżdżają do niej normalnie szosą. Nie ma tam żadnych zabudowań. Tamtego dnia panował nieznośny, ponadtrzydziestostopniowy

upał, komu by się chciało brnąć w pełnym słońcu kawał drogi po pustkowiu. Chyba tylko zbuntowanemu dziecku. Co tam się dokładnie wydarzyło, jakie słowa padły, tego pewnie nigdy się już nie dowiemy. Nie ma świadków, nikt na tym odludziu nie widział ani Sabiny, ani Julii. Być może doszło do szarpaniny, bo policja ostatnio jeszcze raz przeczesała teren i znalazła w zaroślach blisko drogi porzuconą komórkę Julii.

Koniec końcem – według relacji męża – Kopczyńska kazała córce wsiąść do samochodu, dziewczynka stawiała opór, wściekłość matki rosła. Tragedia rozegrała się, gdy dotarły do domu. Kopczyński zrelacjonował to, co powiedziała mu żona, więc być może i tak to wersja ocenzonej. Sprowadza się do tego, że w domu wciąż się kłócili. Julka pyskowała matce, krzyczała, że nie będzie się stroić w żadne głupie sukienki i kokardki, żeby się od niej odczepiła, bo pójdzie do sądu, w końcu dzieci też mają swoje prawa i tak dalej. Kopczyńska wpadła w furję, a że znajdowały się wtedy na piętrze, na podeście – bo matka chciała zamknąć Julkę za karę w pokoju na klucz – uderzyła ją i pchnęła z całej siły, niby niechcący. Dziewczynka spadła ze schodów na dół, podobno zmarła na miejscu. To możliwe. Wtedy Kopczyńska próbowała ją cucić, ale nic to nie dało, w panice zadzwoniła więc do męża. Gdy przyjechał, zaaranżował swoją wersję wydarzeń. Z mediów już wiedzieli, że w okolicach grasuje morderca pedofil, wykorzystali sytuację. On twierdzi, że to ona wszystko wymyśliła, a on, będąc w szoku, zgodził się jej pomóc, ponieważ ją kochał. Nie chciał, żeby poszła do więzienia. Dopiero później, gdy przejrzał na oczy, miłość zmieniła się w nienawiść. To drugorzędne, na razie odegrał scenę na przystani, potem oboje poruszyli całe miasteczko, niby to szukając dziecka, które nie wróciło do domu. Dopiero na koniec zawiadomili policję o zaginięciu, wciskając im kit o przystani – że tam widziano Julię po raz ostatni – żeby na tym skupili uwagę.

W tym czasie zwłoki dziewczynki przez cały czas czekały ukryte w domu. Dopiero gdy zapadła noc, Kopczyński leśnymi traktami wywiózł je do opuszczonego budynku starej szkoły, bo już wcześniej przypomniało się im, że matka Sławka opowiadała im kiedyś o czarnych mszach i obrzędach, które kiedyś tam odprawiano. W których zresztą, jako młoda dziewczyna, uczestniczyła dla zabawy. Tam, w ruinach, porzucił ciało, pozorując morderstwo na tle seksualnym i, na wszelki wypadek, religijnym. Plotki o tym, że seryjny jest opętany manią religijną, krążyły już, choć policja starała się temu zapobiec. Niestety, przed ludźmi nic się nie ukryje, gdy chodzi o sensacje. Było jasne, że podejrzenie o kolejne morderstwo nastoletniej dziewczynki zostanie jemu przypisane. I tak się stało, na dodatek pedofil, gdy został złapany, przyznawał się do każdej zbrodni. Widocznie to podbijało jego ego. Dopiero później, na polecenie adwokata, odwołał zeznania, lecz i tak nikt mu już nie uwierzył. Mimo że nie doszło do zgwałcenia, a był to jedyny taki przypadek...

Co było dalej? Mniej więcej to, co wiemy z zeznań Kopczyńskiego i świadków. Ta część tej historii jest przynajmniej bliska prawdy. Nagle całe ich życie się zmieniło. Wszystko im przypominało zmarłą córkę. Zgodni do tej pory małżonkowie zaczęli się ustawicznie kłócić, oskarżać, narastała wzajemna niechęć, później wrogość. Ona, udając ból, biegła codziennie na cmentarz, on ją stamtąd ściągał, ale już wtedy docierała do niego jej nieludzka hipokryzja. Ideał sięgnął bruku. W tym samym mniej więcej czasie, by się pocieszyć, nawiązał romans z sąsiadką i przyjaciółką młodości obojga. Nieszczęsna, słaba, skłonna do depresji Kalińska zaangażowała się uczuciowo. Pytanie, czy wiedziała, co się stało? Nie przypuszczam, ale mogła się przeczyć czegoś domyślać, uznać, że to jej kochanek zabił własne dziecko, a już na pewno była przekonana, że zamordował swoją żonę. Może myślała, że przez nią. Możliwe, że właśnie z tego powodu popełniła samobójstwo targana emocjami i wyrzutami sumienia. Ale wyprzedzam fakty...

Z pewnością całą prawdę znała, niemal od samego początku, jedna osoba: babcia. Matka. Teściowa. Krystyna Kopczyńska, z domu Rogowska. Była socjalistka, która za młodu zabawiała się „w masonów” na przekór proboszczowi – bo z jej relacji wynika, że nie było w tym nic poważnego, ot, po prostu grupa znudzonych młodych ludzi znalazła sposób na wyrafinowaną rozrywkę z dreszczykiem. Później szanowana lekarka, osoba pozbawiona przesądów, praktyczna, oddana matka i babcia. Od kilku lat wiodła spokojne życie na emeryturze. Kochała jedyne go syna i bezwarunkowo uwielbiała wnuczkę. Jej nie przeszkadzała „inność”. Natomiast nie akceptowała synowej, fochów, kwasów, wygody, próżności. Od początku, jak twierdzi, nie pochwalała tego małżeństwa, a po śmierci Julki jej świat runął. Gdy zrozpaczony syn przeprowadził się do niej i po pijanemu zwierzyl z tego, co zrobiła Sabina i do czego „zmusiła” jego, panią Krystynę ogarnęła żądza zemsty, a przede wszystkim ślepa nienawiść. Zabiła z premedytacją, wszystko zaplanowała. Przyznała się do tego. Choć z kolei Kopczyński w obronie matki zeznaje, że morderstwo popełnione na Sabinie było zabójstwem w afekcie. Jego zdaniem matka pojechała do synowej, żeby tylko z nią porozmawiać, a wyszło inaczej, gdyż to synowa ją sprowokowała. No cóż, to już sprawa dla sądu, jednak z relacji Kopczyńskiej wynika co innego...

Tamtego wieczoru zaprosiła przyjaciółkę na kolację i pozwoliła jej oraz synowi, by upili się jak bąki. Ona nie wypila nawet kropli, zasłaniając się rzekomą abstynencją z powodów zdrowotnych, co było nieprawdą. Jest zdrowa, wcale nie choruje na serce, jak wmówiła podziwiałej ją koleżance.

Następnie pozbyła się Sławka z domu, każąc mu odprowadzić gościa. Spory kawałek drogi na piechotę. Nie mógł tej kobiety odwieźć, bo był nietrzeźwy. Zyskała czas. Zabrała samochód syna, ponieważ jej stare punto jest niesprawne, i pojechała na osiedle. Zaparkowała na uboczu i przez oplotki poszła do synowej. Ta jeszcze nie spała, dopiero szykowała się do snu, więc otworzyła, myśląc pewnie, że to mąż przysłał matkę, bo może chce się pogodzić, wrócić do niej. Faktycznie z początku przez chwilę tylko rozmawiały. Teściowa wymogła na Sabinie przyznanie się do winy, a gdy młodsza z kobiet zaczęła przy niej obwiniać o wszystko męża, jego beztroskę, brak zainteresowania dzieckiem, wściekła się jeszcze bardziej i przystąpiła do dzieła.

Sabina w pewnym momencie odwróciła się, zapewne by po coś sięgnąć, a wtedy Krystyna zaatakowała, chwytając za pogrzebacz, który zawsze wisiał w tym samym miejscu, obok kominka. Była w rękawiczkach, co potwierdza, że działała z rozmysłem. Uderzyła synową z rozmachem w tył głowy. Wiedziała, gdzie i jak walnąć, w końcu była lekarką. Sprawdziła, czy na pewno nie żyje. Pozacierała wszelkie ewentualne ślady swojej bytności, zakrwawiony pogrzebacz porzuciła, domyślając się słusznie, że nikt jej nie będzie podejrzewał, a syn ma zapewnione alibi. Jeszcze nie wiedziała, że lepsze niż początkowo zakładała, bo w drodze powrotnej spotkał sąsiada, z którym spędził resztę nocy. Wyszła, zostawiając otwarty dom, żeby było na ewentualnego przypadkowego złodzieja, po czym w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wróciła do siebie. Oczywiście nie miała pojęcia, że o tej porze ktoś zobaczy i rozpozna samochód pod lasem. Cała akcja nie zajęła jej nawet godziny. Syna w domu nie było, więc w końcu zadzwoniła do niego i dowiedziała się, że siedzi bezpiecznie u tego sąsiada. Wszystko poszło jak po maśle. Uspokojona poszła spać. Nie miała wyrzutów sumienia. Do końca uważała, że postąpiła słusznie. Wierzyła też, że nikt nigdy nie wpadnie na jej trop.

I szczerze mówiąc, niewiele się pomyliła. To wszystko naprawdę mogłoby nigdy nie wyjść na jaw...

– Gdyby nie twoja determinacja – zauważyła Greta, rzucając śnieżką w szalejącego Burego, który pociesznie usiłował złapać ją w zęby. Na tle bieli jego złotoruda wbrew imieniu sierść prezentowała się wręcz ogniście.

– Wiesz, że jestem uparta. – Felicja wzruszyła ramionami, otrzepując kurtkę ze śnieżnego puchu. Kilka minut wcześniej zaczęło znów sypać wielkimi płatkami. – Znasz mnie przecież. Czują, że coś jest mocno nie tak w tym wszystkim. Nie przekonywały mnie policyjne teorie ani teorie spiskowe. Od początku uważałam, że te dwie zbrodnie musiały być ze sobą ściśle i logicznie powiązane. A że pedofil siedział, więc...

– Szukałaś innych powiązań.

– No właśnie. Fakt, że policja prędzej czy później doszłaby do tych samych wniosków, tyle że ich obowiązują procedury, zasady, których uczą w szkołach policyjnych. Muszą je po kolei odhaczać, są po prostu mniej elastyczni. Ale Artur jest inteligentnym facetem, inaczej bym się z nim nie związała. Sam wpadł na to, że to nie ten seryjny zabił Julkę, tylko że był to rodzaj naśladowictwa – wyjaśniła lojalnie dziennikarka.

– No, moja kochana, to akurat chyba nic odkrywczego! – Zaśmiała się pani wójt. – Nie było przecież gwałtu.

– To akurat żaden argument.

– Dobra, dobra. On po prostu ciebie słuchał. Ceni twoją intuicję. I chwala mu za to. Powiedz mi jeszcze, jak ty na to wszystko wpadłaś, jak udało ci się powiązać fakty? W życiu bym tego nie ogarnęła. Naprowadziła cię Teresa Gut, nasza była zakonnica ze sklepu?

Stefańska bawiła się z Buryem, podsakującym entuzjastycznie i zataczającym kółka w śniegu wokół niej.

– Nie, w sumie ta Gut nie odegrała w tym większej roli. Nie przypuszczam, żeby naprawdę coś konkretnego wiedziała. Ona ma po prostu obsesję na punkcie Kościoła. Tyle że zwróciła moją uwagę na księdza i na tę grupę okultystów, świrów czy czymkolwiek tam oni byli. Jej mąż się w to bawił w młodości, był na liście proboszcza, stąd znała tę historię, ale chyba przywiązywała do tego zbyt wielką wagę. Ma skłonność do teorii spiskowych. Przełomem była raczej rozmowa z psychologką Julii – odparła po namyśle. – Ale spotkanie z proboszczem też, to prawda. I ta ich czarna lista, na której, oprócz Guta, znalazłam nazwisko panienskie Kopczyńskiej. Potem to, co Daria powiedziała Kaśce na temat Julki. Najpierw tylko coś mi zaczynało świtać, intuicja, jak mówisz. Dopiero z czasem powiązałam fakty. I jeszcze na koniec coś, co potwierdziło moją teorię, a co mogłoby zapobiec drugiej tragedii, gdyby ta głupia baba, przyjaciółka Krystyny, raczyła w porę otworzyć japę... – Stefańska skrzywiła się z niechęcią.

- O tym wcześniej nie wspomniałaś! O co chodziło?
- O to, że Sławek w pijanym widzie zwierzył się jej, kiedy ją odprowadzał tamtej nocy do domu. Bekkotał, ale wyspiewał wszystko. Że Sabina zabiła córkę, a on na jej polecenie sam ukrywał ciało.
- I ona nie poszła z tym na policję?!
- Twierdzi, że mu nie uwierzyła, pomyślała, że bredzi po pijaku. Ale moim zdaniem, nawet gdyby o tym pomyślała, to po zabójstwie Sabiny świadomie milczała jak grób. Przecież ona musiała się kapnąć, że jej ukochana Krysia maczała w tym palce. A wielbiła Kopczyńską, bo wielka pani dopuściła ją do swych łask – dokończyła Felicja ze złością.
- No tak... Ale wiesz co, jakoś mi teraz tej Sabiny wcale nie żal – powiedziała Greta. – Była potworem!
- Była chora. To ona potrzebowała pomocy specjalisty, nawet bardziej niż córka. Tyle że w naszej kulturze takie postawy, jakie prezentowała, są uważane za normę. Mało tego, przez część społeczeństwa są wręcz pożądane. Nikt więc nie zareagował. Ksiądz pochwalał, jednocześnie potępiając dziecko, które przecież nie było niczemu winne, że takie się urodziło. Jak strasznie nieszczęśliwa i zdezorientowana musiała być Julka, nie rozumiała przecież całej sytuacji...
- Masz rację. Brak tolerancji może nieść ze sobą straszliwe tragedie. Serce boli, jak się myśli o tej małej – westchnęła Pazikowa. – Biedne dziecko. Miała przed sobą całe życie, a zginęła przez średnio-wieczne zabobony. I to z rąk własnej matki. Potworność! Nie, sorry, rozumiem twoje argumenty, ale nie potrafisz współczuć Sabinie. To już chyba lepiej rozumiem Krystynę. Wracamy już? Ręce mi zmarzły i nóg nie czuję.
- Wracajmy. – Stefańska gwizdnęła na Burego i zgrabiętymi rękami przypięła mu smycz do szelek. W coraz gęściej syjącym śniegu bez pośpiechu zawróciły w stronę parkowej bramy. Było zimno, ale pięknie. Jakby świat przeniósł się w jakiś inny wymiar.
- Co planujesz na święta? Jedziesz do rodziców czy spędzasz je z Arturem? – zapytała Greta po chwili. – Bo pamiętaj, że jakby co, to u nas zawsze jesteście... oboje jesteście zawsze mile widziani.
- Felicja się zmiesziała.
- Dzięki, Gretko. Wiem, ale... Do rodziców oczywiście będę musiała choć na chwilę zajrzeć. Starzeję się. Jeszcze nie wiem, czy zabiorę Pałkę, raczej wolałbym mu oszczędzić złośliwości swojej matki. A potem wsiadamy we trójkę z Burem do kampera i jedziemy w siną dal na dwa tygodnie, o ile dasz mi wolne. Dasz?
- Greta aż się poślizgnęła z wrażenia, jednak na jej zarumienionej od mrozu twarzy pojawił się uśmiech.
- Znowu zimą?! Wariaci! A jednak go zabierasz, to znaczy Artura, zламаłaś się w końcu! Nie mówiłam, że tak będzie? – rozwodziła się podekscytowana. – Pewnie, że dam ci ten cholerny urlop, tylko wracajcie cali i zdrowi! Po tym wszystkim jeszcze bardziej się cieszę, że wam się układa, że wreszcie jesteście szczęśliwi...
- Na razie ciężko mi myśleć o szczęściu. Czuję się zmęczona. To była chyba najtrudniejsza i najbardziej dołująca sprawa w całej mojej dotychczasowej karierze zawodowej – przyznała z zadumą Felicja. – Emocjonalnie najtrudniejsza i z całą pewnością wyjątkowo wyczerpująca psychicznie.
- Wierzę. Dotyczyła dziecka.
- Nie tylko dlatego. I ja byłam w podobnej sytuacji co Julka. Jedyńca niespełniająca oczekiwań wymagającej apodyktycznej matki. Na szczęście u mnie tylko apodyktycznej, nie szalonej. Jednak wiem aż za dobrze, co czuła ta mała. – W pozornie spokojnym głosie Felicji wyraźnie zabrzmiała gorz.
- Greta zatrzymała się i objęła przyjaciółkę. Nieczęsto to robiła, obie nie były zbyt wylewne ani skore do okazywania czułości.
- Zostawmy to już, Felicja – powiedziała. – Nie zmienimy losu. Życie jest jak gra, każdy z nas prędzej czy później wypadnie z planszy. Ale grać trzeba dalej...

KONIEC

OD AUTORKI

Najnowsza książka z Felicją Stefańską w roli głównej jak zwykle opowiada o wydarzeniach i postaciach fikcyjnych, które nie mają odniesienia do rzeczywistości, choć fabuła została oparta na przekazach dziennikarskich i zasłyszanych, zapamiętanych – czasem tylko fragmentarycznie – którymi karmi się wyobraźnia pisarza. Z opowieści i obrazów układam mozaiki swoich literackich światów, uruchamiając jednocześnie własną wyobraźnię. Powieściowe miejsca natomiast są w większości zlepkiem miejsc realnych, którym staram się nadać bardziej uniwersalny wymiar i charakter, stąd fikcyjne nazwy. Wtajemniczeni domyślają się, jakie są ich pierwowzory. W większości prawdziwe są wydarzenia, a także fakty dotyczące miejsc historycznych, zabytków, w tym przypadku historia pewnej „starej szkoły”, której mury dziś są zmurszałe, a budynek grozi zawaleniem. Nie są fikcją problemy społeczne, z którymi moja bohaterka mierzy się w powieściach, tej również. Nie unikam ich, gdyż uważam, że o tych sprawach należy rozmawiać bez uprzedzeń, by czynić świat lepszym miejscem do życia dla nas wszystkich.

Co jeszcze jest ważne? Książkę pisałam w czasie rzeczywistym, stąd odniesienia do naszych ogólnych realiów geopolitycznych.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wszystkim osobom, którym zawdzięczam powstanie tej książki.

Andrzej Kruk, mój sąsiad, zaprzyjaźniony archiwista i nieformalny dokumentalista, uzdolniony fotograf, kolekcjoner lokalnych antyków i starych pocztówek. Lokalny patriota (jak Greta Pazik), któremu zawdzięczam nie tylko informacje, ale także pasję. Prowadzi na Facebooku stronę zatytułowaną „Kocham Kolbudy”. Warto ją obserwować, podziwiać piękne zdjęcia, co pomoże lepiej poznać klimaty Felicji.

Aldona i Daniel Saganowie, zaprzyjaźnieni kampermaniacy. To im Felicja zawdzięcza swoją podróż kamperem przez świat, a ja rady i wsparcie moralne. Zapraszam do śledzenia świetnych filmów Aldony i Daniela na ich kanale na YouTube oraz ich stron w mediach internetowych. Oto linki:

www.kampermaniak.pl

<http://www.instagram.com/kampermaniak>

<http://www.fb.com/KamperManiakOfficial>

<https://www.youtube.com/@KamperManiak>

Joanna Pomorska, moja siostra (prawie rodzona). Była redaktorka, która zawsze jako pierwsza fachowo i bezlitośnie sprawdza całość. Bez niej miałabym więcej pracy, jako że musiałabym sama nad wszystkim panować i poprawiać błędy.

Ponadto:

Koleżanki i koledzy autorzy, z którymi „dzielię los”, a także blogerzy, recenzenci, krytycy, którzy zawsze mnie wspierają i towarzyszą mi w pracy.

Krzysztof, mój mąż, który sprawdza rozdział po rozdziale na bieżąco w trakcie pisania.

Paweł, brat, któremu stale zaśmiecam skrzynkę mailową swoimi plikami w celu ich zabezpieczenia.

Magda, dorosła bratanica, studentka dziennikarstwa, współprowadząca moją stronę na Instagramie.

Moja Mama Danuta oraz Lucyna Wilkoszewska, przyjaciółka od dziecka – obie mnie mobilizują i podtrzymują na duchu.

Nasze zwierzaki: koty Sylwus i mały Rudzio, sunia Niunia, miks jamnik, adoptowana po stracie poprzedniej opiekunki. Cudowna, mądra i czuła dziesięciolatka. Bez czworonogów nie wyobrażam sobie życia, pocieszają, dodają sił.

Na koniec – by utrwaliło się w pamięci – mojemu fantastycznemu wydawcy wydawnictwu Purple Book. Wszystkim redaktorom, pracownikom na ręce pań: Igi Rembiszewskiej, Anny Kubalskiej oraz Renaty Bogiel-Mikołajczyk.

Osobno pani Joli Kucharskiej za pieczę nad tekstem, a także ulubionej graficzkę za fantastyczne okładki.

Oraz WAM, Czytelnikom. Za to, że jesteście.

Kochani, dziękuję. Za wszystko.

Anna Klejzerowicz